

WKRAČZAMY W 20. ROK

MIEŚCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

20.
ROK
ZE SŁĄSKIEM

SŁASK

ISSN 1425-3917



9 771425 391400

Nr 11 (228) • ROK XX • LISTOPAD 2014

ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X

CENA 5 ZŁ (w tym 5% VAT)



Prof. Jan Miodek został laureatem I Nagrody i Medalu Zygmunta Glogera przyznanego po raz 25. przez Społeczne Stowarzyszenie Prasoznawcze Stopka w Łomży. Gala odbyła się 17 października br. – Jestem dumny i szczęśliwy, bo laureatem tej nagrody jest m.in. intelektualny bóg mojej młodości Julian Krzyżanowski – podkreślił prof. Jan Miodek, którego kapituła pod przewodnictwem prof. Janusza Tazbira nagrodziła za szerzenie kultury języka i rozwijanie świadomości językowej Polaków.



Fot. Jerzy Chaberek

Fot. Zbigniew Sawicz



25 października arcybiskup senior Damian Zimoń obchodził 80. urodziny. Uroczystą Mszę jubileuszową w kościele pw. Niepokalanego Poczęcia NMP w Katowicach koncelebrowali biskupi z Katowic, Opola, Gliwic, Wrocławia, księża archidiecezji katowickiej i spoza jej granic, a kościół wypełniał tłum wiernych, przyjaciół abp. Zimonia, diecezjan i parafian z kościoła Mariackiego, którego przez 10 lat Jubilat był proboszczem. Podczas urodzinowej Mszy św. słowo do zgromadzonych wygłosił abp Wiktor Skworc, a kazanie wygłosił przewodniczący Episkopatu Polski, abp Stanisław Gądecki.

Następnego dnia odbył się w Akademii Muzycznej dedykowany Jubilatowi uroczysty koncert w wykonaniu Akademickiej Orkiestry Kameralnej pod batutą Michała Klauzy, która wykonała m.in. utwory ulubionych kompozytorów Jubilata: Henryka Mikołaja Góreckiego i Wolfganga Amadeusza Mozarta.

I zespół redakcji „Śląska” składa Jubilatowi najpiękniejsze życzenia urodzinowe!

W Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach, podczas inauguracji roku akademickiego 2014/2015 odbyła się uroczystość nadania prof. Tadeuszowi Grabowskiemu (w środku), prof. Romanowi Nowotarskiemu (nie był obecny osobiście), prof. Romanowi Starakowi (z prawej) i prof. Stanisławowi Wieczorkowi (z lewej) statusu Profesora Honorowego Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Tytułami zostali wyróżnieni wybitni profesorowie ASP, którzy swoją twórczością i działalnością w sposób wyjątkowy zapisali się na kartach historii nie tylko samej uczelni, ale i sztuki polskiej.



Fot. Arkadiusz Ławrywaniec

W odrestaurowanym i zmodernizowanym pałacyku z 1907 roku, w Świętochłowicach przy ulicy Polaka 1, mieści się Muzeum Powstań Śląskich. Remont obiektu z myślą o muzeum rozpoczął się w 2011 roku. Oficjalne otwarcie Muzeum Powstań Śląskich odbyło się 18 października. Jest to nowoczesna, interaktywna ekspozycja muzealna, ukazująca losy śląskich powstańców. Wśród eksponatów znajduje się samochód pancerny „Korfanty”, odrębne sale przeznaczone na klasę szkolną z okresu powstań, można wejść do zabytkowego tramwaju, zobaczyć broń, dokumenty, można przejść się odtworzoną uliczką, a także zrobić sobie zdjęcie w mundurze powstańczym. Wszystkie pomieszczenia muzealne zostały tak zaprojektowane, by jak najciekawiej opowiedzieć nie tylko o powstaniach, ale także o tamtym czasie.



Fot. Zbigniew Sawicz

Nasz partner



Rybnik. Miasto z ikrą.

JERZY LUCJAN WOŹNIAK

Matka

na środku kaplicy
trumna
jak zastygła łza

podnoszę nie zagwożdżone jeszcze wieko
dotykam twarzy
zimna jak kawałek lodu

parzy moją pamięć
dziwię się że teraz widzę
wszystko wyraziście

jej śmierć we mnie tak obecna
jak w jej pamięci było
moje narodzenie

krążący smutek
spadł na mnie nagle
żywy po piętnastu latach



Jerzy Lucjan Woźniak – urodzony w 1939 r., mieszka w Sosnowcu. Autor tomików wierszy: *Pod skórą* (1991), *Różga światła* (1991), *Szelest czasu* (1993), *Z oczu bielmo z serca strach* (1998), *W Tatrach* (2001, wydanie poszerzone i zaktualizowane – 2014), *Korowanie pokory* (2003), *Samotność kota* (2005), *Ślimak na asfalcie* (2009), *Drzewa przy drodze* (2014 – wybór wierszy).

Aktualnie pracuje nad nowym tomikiem *Ciężar cienia*.

Nr 11 (228). Rok XX. LISTOPAD 2014 r.

WYDAWCA:

GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO
LITERACKIE W KATOWICACH
TADEUSZ SIERNY

prezes

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13

Tel. 32 253-62-21

e-mail: zarzad@slaskwn.com.pl

gtl@gtl.home.pl

www.gtl.org.pl

WSPÓLWYDAWCA:

BIBLIOTEKA ŚLĄSKA

40-021 Katowice, plac Rady Europy 1

Tel. centr. 32 20 83 700

informacja: info@bs.katowice.pl

sekretariat: bs1@bs.katowice.pl

Redaguje zespół:

DARIUSZ ROTT

Redaktor naczelny

WIESŁAWA KONOPELSKA

Zastępca redaktora naczelnego,

Sekretarz redakcji

KATARZYNA BERETA

Dział krytyki literackiej

portal www.slaskgtl.pl

FELIKS NETZ

Dział poezji i prozy

MARIA SZTUKA

Dział kulturalny

BOGDAN WIDERA

Dział społeczno-historyczny

WOJCIECH ŁUKA

Dział graficzny

IRENA FALKIN-SIBIGA

Korekta

ADRES REDAKCJI:

40-012 Katowice, ul. Dworcowa 13

Tel./fax 32 206-82-71

e-mail: redakcjask@onet.pl, msk.slask@gmail.com

DTP: STP „KorGraf”

40-081 Katowice, ul. Dąbrówki 15/12

Tel. 32 354-09-88, 32 781-06-48

e-mail: korgraf@korgraf.com.pl

Druk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.

ul. Piwna 1, 61-065 Poznań

tel. 61 633 71 65

Materiałów nie zamówionych nie zwracamy. Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie korespondencji.

Warunki prenumeraty: poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU” – na terenie całego kraju. Bezpośrednio – w sekretariacie Redakcji oraz w urzędach pocztowych. Wpłaty należy dokonywać na konto: GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”, PKO PB SA I O/Katowice 92 102023130000 3302 00202176. Prenumerata roczna – 60 zł, półroczna – 30 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod wskazany adres bez dodatkowych opłat.

Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział S.A. Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31 www.ruch.com.pl

Cena egzemplarza – 5 zł (w tym 5% VAT)

ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328X

Czasopismo

„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”

jest dostępne w wersji elektronicznej

w ŚLĄSKIEJ BIBLIOTECE CYFROWEJ

pod adresem:

<http://www.sbc.org.pl/dlibra/publication?id=19462>

W NUMERZE:

PUBLICYSTYKA

7. *Wiesław Koterski* PO CHOLERĘ NAM TAKIE GÓRNICZTWO?
8. *Beata Tomaneł* PRZEŻYĆ GÓLGOTE
11. *Wojciech Michalewicz* DZIEŃ OTWARZY NOTARIATU
12. *Wiesława Konopelska* WKRACZAMY W 20. ROK „ŚLĄSKA”
16. *Ryszard Koziół* O DZIWNOCI UNIWERSYTETU
20. *Grzegorz Sztol* LISO, WRÓĆ DO KRAINY KWIATÓW
24. *Katarzyna Bereta* BYĆ KOBIETĄ NA ŚLĄSKU
31. *Witold Turant* BESTIE WOOSTER W TOŚZKU
34. *Jan Cofalka* Z KOŃCZYC DO KANADY
40. *Adam Regiewicz, Michał Wilk* MASZYNY KRUSZENIA SŁOWA

FELIETONY

23. NOTATNIK SPÓŹNIONEGO PRZYBYSZA
Marek S. Szczepański MNIEJSZOŚCIOWE POTYCZKI
27. Z MOICH GÓREK
Witold Turant SZKOCKI DYLEMAT
33. PORADNIA JĘZYKOWA
Katarzyna Wyrwas POLSKI ZWIĄZEK CZY ZWIĄZEK POLSKI
53. ŚLĄSKA OJCZYŻNA POLSZZYŻNA
Jan Miodek Z CHEŁMU ŚLĄSKIEGO I Z WIRKU
54. KOLEKCJA MALARSTWA POLSKIEGO
Wojciech Grabowski JAN MATEJKO
65. MIĘDZY NUTAMI
Magdalena Dziadek MUZYKA FORTEPIANOWA STEFANA KISIELEWSKIEGO W NAGRANIU MAGDALENY LISAK. „KARŁOWICZ” PRZEDSTAWIŁ MŁODYCH KOMPOZYTORÓW.
76. *Henryk Bzdok* ANEGDOTY

PLASTYKA

48. *Wiesława Konopelska* W ŚWIECIE PLAKATU MICHAŁA KLISIA
49. *MICHAŁ KLIŚ. ZNAK/ŚLAD.* Rondo Sztuki Katowice
50. *JERZY DUDA-GRACZ*
51. *Michalina Wawrzyczek-Klasik* POZOSTAĆ WIERNYM SOBIE
76. „ŚLĄSK” KOLEKCJA JUBILEUSZOWA. JOANNA PIECH

KINO

42. *Ryszard Bednarczyk* FILMOWA DRUGA LIGA W BYTOMIU

TEATR

55. *Maria Sztuka* PAN ŻYCIA I ŚMIERCI
56. *Joanna Warońska* KRZYK HAMLETA
57. *Witold Kociński* ZELENKA BAWI I PRZERAŻA
58. *Aneta Głowacka* TEATR – MEDIUM HISTORII LOKALNYCH

KSIĄŻKI

60. *Henryka Andrzejczak* O LITERATURZE DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
61. *Marek Kosma Cieśliński* INNA HANNA
62. *Agnieszka Sikora* ROZBIERANIE ŚREDNIOWIECZA
63. *Bogdan Widera* PODRÓŻ W MUZYCZNY KOSMOS
64. *Bogdan Widera* KRÓTKO O KSIĄŻKACH

POEZJA I PROZA

1. *Jerzy Lucjan Woźniak* MATKA
18. *Jerzy Lucjan Woźniak* WIERSZE
28. *Géza Csáth* ZAPOMNIANY SEN W NIEZNANYM DOMU. Przełożył Feliks Netz
38. *Zenon Karol Bajorowicz* CENTOL POLSKI

EKOLOGIA

43. *Jolanta Matiakowska* NASZA ZIEMIA, NASZE MIEJSCE
44. *Jolanta Karmańska* PIETROWICE WIELKIE I EKOLOGICZNE!
46. *Małgorzata Kłoskiewicz* ZBIORNIK GOCZAŁKOWICKI DLA ŚLĄSKA

STAŁE RUBRYKI

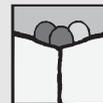
6. ŚLĄSKA MIESIĄC
66. Z ŻYCIA BIBLIOTEK
Anita Nalepa PO PIERWSZE DLA MIESZKAŃCÓW
67. ZNAKI I TWARZE MIASTA KATOWICE. DĄB MA NOWY DOM KULTURY!
68. OPOLSKIE

NOTATNIKI KULTURALNE

69. *Janusz Wójcik* OPOLE
70. *Wiesława Konopelska* KATOWICE
72. *Maria Sztuka* ZAGŁĘBIE
73. *Jan Picheta* BIELSKO-BIAŁA
74. *Joanna Kotkowska* CZĘSTOCHOWA
75. *Jacek Sikora* ZAOLZIE

NA OKŁADCE

Henryk Bzdok, 20 lat „Śląska”, grafika, 2014



20.

ROK
ZE „ŚLĄSKIEM”

Drodzy Czytelnicy!
Dwudziesty rok istnienia miesięcznika społeczno-kulturalnego „Śląsk” naszym Czytelnikom proponujemy rozpocząć od zamówienia prenumeraty na 2015 rok!

Zatem:

Prenumerata roczna wynosi 84 zł
Prenumerata półroczna wynosi 42 zł
Prenumerata kwartalna wynosi 21 zł

Cena 1 egzemplarza od stycznia 2015 roku wynosić będzie 7 złotych!

*

Załączony obok blankiet należy wyciąć, i wysłać pod adres redakcji.

*

Prenumerata redakcyjna gwarantuje terminowe dostarczenie pisma!

*

Dziękujemy wszystkim dotychczasowym prenumeratorom, zapraszamy nowych!

*

„Śląsk” ukazuje się przez 12 miesięcy w roku!

*

Zachęcamy także do odwiedzania strony internetowej „Śląska” oraz wydawcy – Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego!
www.slaskgtl.com

*

**POLEĆ „ŚLĄSK”
SWOIM ZNAJOMYM I PRZYJACIOŁOM
– WSZYSTKIM, KTÓRYCH INTERESUJE
ŚLĄSK!**



odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy	M I E S I Ę C Z N I K „ Ś L ą S K ”
nazwa odbiorcy od.	
4 0 - 0 1 2	K A T O W I C E , D W O R C O W A 1 3
l.k.	nr rachunku odbiorcy
9 2 1 0 2 0 2 3 1 3 0 0 0 3 3 0 2 0 0 2 0 2 1 7 6	
	kwota
	W P P L N
	nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)
	nazwa zleceniodawcy
	nazwa zleceniodawcy od.
	tytułem
	P R E N U M E R A T A M I E S I Ę C Z N I K A
	tytułem od.
	” Ś L ą S K ”

Polećcie przelew / wpłatę gotówkową

Oplata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

odcinek dla instytucji przyjmującej zlecenie

nazwa odbiorcy	M I E S I Ę C Z N I K „ Ś L ą S K ”
nazwa odbiorcy od.	
4 0 - 0 1 2	K A T O W I C E , D W O R C O W A 1 3
l.k.	nr rachunku odbiorcy
9 2 1 0 2 0 2 3 1 3 0 0 0 3 3 0 2 0 0 2 0 2 1 7 6	
	kwota
	W P P L N
	nr rachunku zleceniodawcy (przelew) / kwota słownie (wpłata)
	nazwa zleceniodawcy
	nazwa zleceniodawcy od.
	tytułem
	P R E N U M E R A T A M I E S I Ę C Z N I K A
	tytułem od.
	” Ś L ą S K ”

Polećcie przelew / wpłatę gotówkową

Oplata:

pieczęć, data i podpis(y) zleceniodawcy

SLASK

SLASK

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

20. ROK ZE „ŚLĄSKIEM”

W 75 ROCZNICĘ POWROTU ŚLĄSKA DO POLSKI

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CBWA 4-11

Nr 6/201 ROK III • CZERWIEC 1987

DOROTA SIMONIDES – Górnośląska samowiedza
E. DELUGAJCZYK – Wstąpienie w Polskę
J. F. LEWANDOWSKI – Tragedia Korfańtego
T. KŁONKA – Gdy przebrzmiał Dzwon Zygmunta
JACEK LYSZCZYŃA – Misja Józefa Lompy
Dzieje autonomii Śląskiej
GRAŻYNA SZEWCZYK – Utracona ojezyczna Niemców



PO PROCESIE „WUJKA”

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CBWA 4-11

Nr 1/271 ROK IV • STYCZEŃ 1988

ŚLĄSKA MATA HARI — Sprawa Matyjaszki
Listy JANA CYRBA
KOSSAK-SZCZUŁKA: Z Wołynia na Śląsk
Jubileusz Polskiego Radia w Katowicach
1 telewizji śląskiej
Świat wielomedialny
SPIS TREŚCI za rok 1997



PIERWSZA BITWA III WOJNY ŚWIATOWEJ

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CBWA 4-11

Nr 11 (75) • ROK VI • LISTOPAD 201

„Głębie Jaszczółki”
JERZEJO BUDYŃCZYK
MACIEJ KRZANOWSKI
Raport „o „śląskim zrywaniu”
AGNIESZKA GRISZKA
Kombinat
ERYSTYNA JANKOWIAK
Soślat teatru w Żywiecie
Rozmowa z prof. TROMBESKI
ŻWA KUŚOWSKA
O grupach teatralnej kultury
Praca BOGDANA WIDERY
Rozmowa z MARKIEM PEREPCZAKĄ



80. ROCZNICA ZWIĄZKU POLAKÓW W NIEMCZECH

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CBWA 4-11

Nr 1 (87) • ROK IX • STYCZEŃ 200

TABUŚ BÓŻEWICZ - Wiersze
MARK S. SZCZEPAŃSKI - Śląsk w zapiskach
J. SKWIRDEK: „Różowy stampan”
GRZEGOŹ SZTOLER: „Wios sprawa”
Rozmowa z reżyserem US - JANUSZEM JANECZKIEM
Wystawa MARKOWSKIEGO w Muzeum Śląskim
75 rocznica teatru w Częstochowie
SPIS TREŚCI za rok 2002 rok

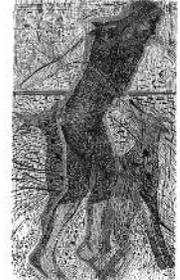


DYREKTOR Z KONKURSU

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CBWA 4-11

Nr 11 (216) • ROK XX • LISTOPAD 2010

Nekropolis czterech wymiarów
Dziękuję za rachunek sumienia
Rozmowa z nowym dyrektorem Muzeum Śląskiego
Dmitriem Abramowiczem
Demokracja wygrała z... rają - o festiwalu „Kawowce dzieciom”
Przebiegi i próżnia
Jan Paweł Krasnowicki
Janusz Sroczek
Maciej M. Szczawiński



PIERWSZE, CZĘŚCIOWO WOLNE...

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY **SLASK** CBWA 4-11

Nr 6 (223) • ROK XXII • CZERWIEC 2012

MARCIN GACEK
koncertuje w teatrze do Parlamentu Europejskiego
Rece engage de zła - rozmowa z prof. MARIANEM ZEMBAŁĄ
HENRYK SZCZEPAŃSKI
- Cyklid i Katowice
JOZEF SWIDLER
o wypracowaniach
JULIANA GEMBAJSKIEGO
FELIKS NETZ
Gdy wyśle BÓŻEWICZ
Pamięć
BARBARA GRISZKA-ZYCH
PIOTR TONCZAK




U progu 20-lecia

Ktoś powie, że „Śląsk” 20 lat będzie miał dopiero za rok! Ależ oczywiście, bowiem pierwszy numer ukazał się w listopadzie 1995 roku. Chcemy jednak, inaugurując tym wydaniem *Rok ze „Śląskiem”*, w sposób szczególny zaznaczyć liczącą dwie dekady obecność miesięcznika w przestrzeni kultury. Kulminacją, rzecz jasna, będzie listopad 2015 roku. Zatem przed nami 12 jubileuszowych wydań!

Aby nasze wejście w „dwudziestkę” było huczne, poprosiliśmy najdłużej współpracującego z nami grafika, naszego przyjaciela – Henryka Bzdoka, znanego Czytelnikom z publikowanych od lat (nie liczyliśmy od ilu, ale chyba od zawsze!) anegdot o środowisku artystycznym Śląska, a od jakiegoś czasu spełniającego się również w roli znakomitego autora „Pogwarów artystycznych”, by do listopadowego numeru przygotował specjalną okładkę. No i jest! Tak oto Henryk Bzdok widzi redakcję, współpracowników i Czytelników pisma. Jakoś i nam zrobiło się różniej na duszy, bo czas dla „Śląska” niełatwy.

Lecz urodziny – i to zaplanowane na cały rok – nie mogą skupiać się na biadoleniu, chcemy dzielić się z Przyjaciółmi i wiernymi nam od lat, a także nowymi, Czytelnikami wszystkim, co najlepsze, czego mamy pod dostatkiem. A nie brakuje nam znakomych piór, a także redakcyjnych pomysłów na jak najciekawszą zawartość kolejnych numerów.

Z okazji rozpoczynającego się jubileuszu mamy dla naszych Czytelników niespodziankę: przez kolejnych (co najmniej) 12 wydań publikować będziemy – na trzeciej stronie okładki – *Kolekcję Jubileuszową „Śląska”*, na którą złożą się grafiki i malarstwo autorstwa znakomych artystów związanych z naszym regionem. Inauguruje ją grafika Joanny Piech. Kolekcja została tak pomyślana, by można było pracę wyciąć, oprawić i zachować.

Nie mogło się też na otwarcie *Roku 20-lecia* zabraknąć opowieści o tym, jak zmieniał się Śląsk w ciągu dwudziestu lat a jaki jest obecnie, bo przecież każdy numer odnotowywał bieżące problemy regionu i skupiał się na poszukiwaniu odpowiedzi na pytania dotyczące Śląska i jego tożsamości: począwszy od deklaracji Tadeusza Kijonki – założyciela i pierwszego redaktora naczelnego pisma – zatytułowanej „Po pierwsze: Śląsk”, opublikowanej w numerze 1/1995. Z zamieszczonej w ciągu tych lat poezji i prozy, często najwybitniejszych polskich autorów, mogła by już powstać odrębna „Biblioteka Śląska”. Opowiemy też jak zmieniało się pismo, kto nam przez te lata towarzyszył, jakie nurtowały nas tematy, jakie i komu zadawaliśmy pytania, kto komentował ważne sprawy społeczne, a kto zajmował się artystyczną stroną życia w regionie.

Lecz nie sam jubileusz nas zaprzęta. W listopadowym wydaniu krótko i ostro o stanie górnictwa pisze Wiesław Koterski, Beata Tomanek w reportażu „Przeżyć Golgotę” wraca do wywózek Górnoszlązaków, drukujemy pierwszy z trzech odcinków reportażu pszczyńsko-amerykańskiego Grzegorz Sztolera, Jan Cofałka poświęca swój tekst wybitnemu iberyście Florianowi Śmieci. Piórem Ryszarda Koziółka zastanawiamy się nad potrzebą istnienia uniwersytetów. Piszemy też o znakomitym plakaciszcie Michale Klisiu i pamiętamy o 10. rocznicy śmierci Jerzego Dudy-Gracza. Mamy też dla Państwa węgierskiego prozaika Gézę Csátha w przekładzie Feliksa Netza, prozę lingwistyczną Zenona Bajorowicza oraz wiersze Jerzego Lucjana Woźniaka. Jak zwykle sporo jest recenzji teatralnych i omówień książek.

Nie zapomnieliśmy zamieścić blankietu na prenumeratę „Śląska”, który – szczególnie w roku jubileuszowym – serdecznie Państwu polecamy!

Od numeru grudniowego proponujemy cykl „Rozmów na 20-lecie”. Gościć będziemy osoby, które swym autorytetem i niezwykłym postrzeganiem rzeczywistości w rozmaitych kontekstach, uczą nas Śląska, wskazują drogę do jego poznania i zrozumienia. Poprzez te spotkania chcemy również prześledzić, jak w ciągu mijającego dwudziestolecia zmienił się region.

ŚLĄSKI MIESIĄC

Zapis wydarzeń
z miesiąca
poprzedzającego
zamknięcie
numeru

■ ZYGUŚ to nazwa ostatniego z rodziny 30 Twistów, jakie kupiły Tramwaje Śląskie w bydgoskich zakładach Pesa. Zygusia – jak i innych jego pobratymców – spotkać będzie można na liniach 15, 16 i 6. Dlaczwaje Śląskie na tych odcinkach są na tyle w dobrym stanie (czytaj wyremontowane), że mogą obsługiwać je bez przeszkód tramwaje niskopodłogowe.

■ JAWORZNO jako pierwsze miasto w Polsce kupiło całkowicie elektryczny autobus. I już planuje zakup całej takiej elektrycznej floty. Elektrobuses (dokładnie Solaris Urbino 12 Electric) ma zacząć kursować od przyszłego roku.

■ ACHIM Godej! To tytuł ilustrowanej książki wydanej przez szacowny PWN, która ułatwić ma zrozumienie i naukę śląskiej gwary. Jej bohaterem jest Achim, śląski chłop i jego ślubna, którzy z Czytelnikami odkrywają zabawne sytuacje wynikające z niezrozumienia śląskiej mowy przez – powiemy ogólnie – nietutejszych. Cztery lata temu PWN wydał ilustrowany słownik śląszczyzny i właśnie ta publikacja przetarła Achimowi ślaki w tym poważnym naukowym wydawnictwie. Autorką książki jest Joanna Furgalińska.

■ „BOGOWIE”, czyli film o śp. prof. Zbigniewie Relidze i dokonywanych przez niego przeszczepach serca, święci triumfy. Dopisuje widownia, zachwyceni są krytycy, sypią się nagrody. 2 października miała miejsce prapremiera filmu w Zabrze, gdzie w 1985 roku dokonano pierwszego udanego przeszczepu serca. „Bogowie” zostali też uhonorowani Złotymi Lwami na 39. Festiwalu Filmowym w Gdyni. Reżyż zabrał brawurowo Tomasz Kot. Premiera kinowa miała miejsce 10 października.

■ PARAFIANIE sosnowieckiej cerkwi świętowali 125-lecie jej powstania. Do prawosławnej parafii pw. św. Wiery, Nadziei, Luby i Matki ich Zofii należą wierni z aglomeracji śląskiej, rybnickiej, Śląska Cieszyńskiego i Podbeskidzia. Głównym celebrazem jubileuszowego nabożeństwa był arcybiskup łódzki i poznański Szymon.

■ ZAPALIL się metan w kopalni Wesoła. Do tragicznego w skutkach wypadku doszło 6 października o godz. 20.55 na głębokości 665 metrów. W rejonie zagrożenia było 37 górników. W wyniku wybuchu kilkunastu górników odniosło obrażenia. Pięciu poniosło śmierć. Do jednego z nich ratownicy dotarli dopiero po tygodniu, 18 października. Tym dlaczwego fedrowano mimo znaczącego przekroczenia stężenia metanu zajmuje się prokuratura.

■ BEZCENNE relikwie św. Walentego i bł. Karoliny Kózkówny skradziono ze słynnej bazyliki pw. NMP w Rudach. Ale dla zwykłego złodzieja nie mają większej wartości, bo „złote relikwiarze” wykonane zostały ze zwykłej stali. Relikwia bł. Karoliny w postaci kości palca trafiła do rudzkiej bazyliki w 2010 roku, natomiast relikwia św. Walentego w XVII wieku.

■ UKAZAŁA się nowa płyta Śląskiej Grupy Bluesowej pt. „Kolory Bluesa”. Nagrania do niej odbyły się w lutym i marcu w Jasnowicach koło Istebnej, a także w studiu Katofonia Workshop w Katowicach. W albumie prezentuje się trzon grupy w składzie: Leszek Winder, Jan „Kys” Skrzek, Mirosław Rzepa, Michał „Gier” Giercukiewicz i goście (wśród nich m.in. Sebastian Riedel).

■ ODSWIEŻONY został również Pałac Kultury Zagłębia w Dąbrowie Górniczej, zbudowany w latach 1951-1958, po trzy i pół letnim remoncie, który kosztował ok. 60 mln zł. Pałac od 1979 roku wpisany jest do rejestru zabytków.

■ WYSTĄPIENIA w Sejmie prof. Zbigniewa Kałużka, pisarza, regionalisty, naukowca, skądinąd świętnego, wysłuchała w piątek 10 października ledwie garstka posłów. Profesor, który wypowiadał się w imieniu twórców ustawy (m.in. Rady Górnośląskiej), apelował o zrozumienie dla aspiracji Ślązaków. Posłowie postanowili zgodnie o przekazaniu do komisji projektu obywatelskiej ustawy, w której 140-tysięcy mieszkańców Górnośląskiego Śląska domaga się uznania śląskiej mniejszości etnicznej oraz zmiany statusu śląszczyzny i ustanowienia jej językiem regionalnym.

■ RAWA Blues Festival odbywała się w Katowicach po raz 34. przez dwa dni, 10 i 11 października. Pierwszego dnia, nietypowo w nowoczesnej sali NOSPR,

a potem, drugiego dnia – jak zawsze – w Spodku.

■ UNIA stawia teraz na tramwaje a nie autostrady. Nawet kilkadziesiąt kilometrów zupełnie nowych linii tramwajowych może powstać na terenie naszego województwa.

■ GWIAZDA kina niemieckiego lat 70. i 80. ubiegłego wieku rodem z Chorzowa, Hanna Schygulla odwiedziła swoje rodzinne miasto. W planach był spacer po Chorzowie i wzruszające spotkanie z panią Urszulą Skop, nianią małej Hani. Schygulla gościła już w 1998 roku w chorzowskim Teatrze Rozrywki, gdzie wystąpiła z recitalem. Widzowie przyjęli ją owacyjnie – zwłaszcza wykonanie „Lili Marleen” pozostanie w pamięci. Aktorka grała przeciw Marlenie Dietrich w głośnym filmie Fassbindera.

■ PROFANACJA zabytkowego, XVIII-wiecznego obrazu Matki Boskiej z Dzieciątkiem miała miejsce w Skoczowie. W płótnie, w miejscu twarzy MB ktoś ordynarnie, ostrym narzędziem zrobił dziurę i głęboką rysę. Policja poszukuje sprawców tego aktu wandalizmu.

■ KATOWICE i Gliwice znowu rywalizują – tym razem o wpis na prestiżową listę UNESCO. Na razie jednak katedra Chrystusa Króla w Katowicach i Radiostacja w Gliwicach starają się o nadanie im statusu Pomnika Historii.

■ ŚNIEG z deszczem spadł co prawda pod koniec października w Beskidach, ale generalnie miesiąc ten był ciepły i pogodny, złocisty – typowy dla polskiej złotej jesieni.

■ CZTERY przeszła z zabytkowej konstrukcji katowickiej przedwojennej hali targowej, zaprojektowane jeszcze przez prof. Stefana Bryłę ze Lwowa, umieszczone zostały w powstającej galerii „Nowy Super-sam”. Każde z nich waży 12 ton, ma 15 metrów wysokości w kluczu i rozpiętości na 40 metrów.

■ WIELKA przeprowadzka jeszcze przed Muzeum Śląskim. Otwarcie 26 czerwca 2015 roku, ale przedtem trzeba zaangazować 90 ciężarówek do przemieszczenia zbiorów ze starej siedziby, do nowej, od dawna już gotowej. Trzeba w sumie przemieścić 115 tysięcy eksponatów, a także przygotować sześć wystaw stałych, w tym malarstwa polskiego, plastyki, sztuki sakralnej i historii Górnośląskiego Śląska. Czekamy z niecierpliwością.

■ POGRZEB ofiar wybuchu kamienicy w Katowicach odbył się 28 października. Transmitowały go obszernie media. Setki osób pożegnało w katowickiej katedrze małżeństwo śląskich dziennikarzy, Brygidę i Dariusz Kmiecików oraz ich dwuletniego syna Remigiusza. Kamienica przy ul. Chopina zawałiła się w wyniku wybuchu gazu nad ranem 23 października. Ewakuowano kilkadziesiąt osób. To tragiczne zdarzenie wstrząsnęło wszystkimi.

■ KRWISTA luna nad Sosnowcem. 29 października zapaliła katedra Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny w Sosnowcu. Zniszczeniu uległ dach, zawałiła się wieżyczka, od której prawdopodobnie zaczął się pożar. Zniszczeniu uległy bezcenne freski Włodzimierza Tetmajera, z sufitu spadły zyrandole. Wszyscy – nie tylko sosnowiczanie – byli poruszeni tym zdarzeniem. I z miejsca ofiarowywali swą pomoc i wsparcie w odbudowie dopiero co wyremontowanego zabytku.

Z wielkim smutkiem żegnamy tragicznie zmarłych dziennikarzy,
którzy zginęli w katastrofie

śp. **BRYGIDĘ FROSZTĘGĘ-KMIECIK**

Jej Męża

śp. **DARIUSZA KMIECIKA**

oraz Ich

synka śp. **REMIGIUSZA**

Rodzinie Zmarłych i wszystkim Bliskim
składamy wyrazy najgłębszego współczucia

ZESPÓŁ REDAKCJI miesięcznika „ŚLĄSK”



Po cholere nam takie górnictwo?

Konflikt wokół kopalni „Kazimierz Juliusz” bezlitośnie obnażył wszystkie słabości górnictwa węgla kamiennego, uruchamiając kolejną falę dyskusji nad uzdrowieniem branży. Usypano hałdę recept, liczb, koncepcji, rozwiązań. Tych samych od lat. Proponuję wyrzucić to wszystko na śmietnik i zacząć od zera.

Przed wszystkim państwo polskie, jako właściciel kopalń, musi sobie w końcu odpowiedzieć na fundamentalne pytanie, czy za cenę spokoju społecznego godzi się na utrzymanie nierentownego górnictwa, czy też chce mieć w ręku przemysł, do którego nie będziemy dokładać. To podstawa. I punkt wyjścia do rozmowy o jakichkolwiek liczbach.

Ponieważ jednoznacznej decyzji nie ma, ćwiczymy wariant trzeci, najgorszy z możliwych, który jest próbą pożenienia wody z ogniem. To pułapka bez wyjścia, w którą wpakowano górnictwo, przeżywające w efekcie stosowania półśrodków cykliczne dęjà w wywoływane kolejnymi kryzysami.

Do zdecydowanego postawienia sprawy potrzeba jest wola polityczna i determinacja w jej urzeczywistnieniu. A tego nie ma. Jedynie gabinet Jerze-

go Buzka odważył się na zamknięcie nierentownych kopalń, którym kończyły się złoża. Na stanowcze kroki nie zdobył się potem żaden inny rząd, ani PiS-u ani teraz PO-PSL.

Bo koalicja rządząca, tak jak jej poprzednicy, boi się wybuchu górniczego gniewu, a jeszcze bardziej perspektywy utraty elektoratu i klęski w wyborach. Umie kalkulować i wie, że stawiając branżę z głowy na nogi naruszy interesy nie tylko górników i straci kilkaset tysięcy głosów. Mamy rok do wyborów, więc poza czołganiem nic się nie wydarzy.

Oportunizm i partykularne interesy partii politycznych wciąż biorą górę nad koniecznością uporządkowania branży i potrzebami gospodarki, opartej przecież na energii pochodzącej w większości z węgla. W takiej atmosferze łatwo o patologię.

W branży rządzą w myśl zasady – im ciszej tym lepiej -zamknięte grupy interesów, powiązane ze sobą węzłami różnych zależności, złożone z kręgu kilkudziesięciu, może kilkuset nazwisk. Ci sami reformują, ci sami kierują, ci sami psują, ci sami w końcu komentują. Padają te same argumenty, a nowe pomysły, jeśli już są, przypominają leczenie dżumy cholera.

Kopalnie obsiadły związki zawodowe, dowodzone od lat przez tych samych ludzi, dynastie związkowe, jak zaczęto już o nich mówić. Tzw. uzwiązkowienie przybiera postać stanu chorobowego, w JSW sięgnęło absurdalnego poziomu prawie 130 proc. Sprawę, o czym wszyscy wiedzą, przeciąć może zmiana ustawy o związkach zawodowych, ale nikomu na tym nie zależy.

A co z przepisami o rentach i emeryturach górniczych, deputatach węglowych, tzw. węgla emeryckim, który kosztuje setki milionów złotych? Próbę ograniczenia przywilejów, także tych rodem z PRL, związki traktują jak zamach na górników i grożą czwartym powstaniem śląskim. Siła, która rozprawiła się ze starym systemem, jest teraz tego systemu kontynuacją w najgorszym wydaniu.

Wypada zapytać o nadzór właścicielski. Przecież nie może się on sprowadzać wyłącznie do rzucania na pożarcie głów szefów spółek węglowych, by wyciszać konflikty w branży, co zrobiono w przypadku Romana Łoży, prezesa KHW. Jego odwołanie nic nie zmieniło, tym bardziej że zdymisjonowany prezes nie działał na własną rękę, lecz odwrotnie – za wiedzą i przyzwoleniem ministra gospodarki zamykał kopalnię „Kazimierz Juliusz”. Głowy powinny się sypać jak piłki tenisowe.

Od węgla nie uciekniemy. Przez kilkadziesiąt najbliższych lat, nawet jeśli jego znaczenie ograniczy polityka klimatyczna, nadal stanowić będzie podstawę polskiej energetyki. Podobnie jest w wielu krajach świata. Więc?

Czesi w „Silesii” pokazali, jak dużo można zmienić. Zainwestowali, uproszcili system wynagrodzeń, dogadali się ze związkami. Mają rocznie ponad tysiąc ton wydobycia na jednego pracownika, podczas gdy my średnio około 700 ton. I o czym tu gadać. Gdyby nie oni, na przynależącej za czasów KW około 100 mln strat rocznie „Silesii” trawa by już wyrosła.

Jesteśmy w tej sytuacji, że nie musimy za wszelką cenę utrzymywać wszystkich kopalń węgla kamiennego i sięgać po coraz głębsze pokłady, mnożąc koszty i zagrożenia. Mamy alternatywę – gigantyczne złoża węgla brunatnego po Legnicy i Gubinem, które na dziesiątki lat zapewnią bezpieczeństwo energetyczne Polski. Kierunek musi wybrać państwo. I zdecydować, co chce zrobić.

A do tego potrzebny jest jeszcze ktoś taki, jak Zbigniew Religa. Człowiek z wizją i charakterem. Ci, którzy nie wiedzą, o czym mówię, niech obejrzą „Bogów”, bo może coś zrozumieją.

WIESŁAW KOSTERSKI



„Krowiok” na radzionkowskim rynku

Przeżyć Golgotę

BEATA
TOMANEK

Uwagę zwracały ręce. Mówiąc wyrzucał je w górę jakby tracił równowagę. A przecież siedział. Były rozłożyste jak gałęzie zdrowego drzewa. Duże. Mocne, owinięte wyraźnymi pod kruchą skórą żyłami jak kablem. Dłonie unoszące się w rytmie wypowiedzianych z trudem słów wyrzucały z siebie energię z mocą, która przykuwała uwagę. Elektryzowała słuchaczy pobudzając ich wyobraźnię. Zapewne to ona uratowała życie panu Ignacemu 70 lat temu.

Pan Ignacy opowiadał nieporadnie. Dziś 80-latek, urodzony w małej wiosce pod Gliwicami mówcą nigdy nie był. Szukał słów, czasem długo, ale wszystkie brzmiały banalnie. Mówił:

– Pracowaliśmy w lesie. To my gadali, zielanki. Taka zielanka to było ze 5 ha tego lasa, i to wszystko wyrabować. I to roztomajtem było – sosna, świerk i takie liściaste drzewo. Ta sosna i świerk to się rzło na 6,5m a te drugie na 4,5, ale to też do pewnych grubości. No i to potem to przyszedł dziesiątnik i odbierał nam to drzewo. Mieli my takie miarki, jako grube było, no to mu się podało sorok to było czterdzieści. Jeszcze tak trocha pamiętam – tu uśmiechnął się przepaszając i wyjaśnił, że te słowa rosyjskie tak zaszyły w pamięć że nie potrafi ich za-

mienić na inne. Po czym kontynuował opowieść: – A potem wrzucaliśmy je na wóz, te drzewa. Sami, z powrozem, albo bez. Gołymi rękami, bo tam nie było jak dzisiaj dźwigów, urządzeń. Samemu trzeba było.

Mówił właściwie beznamiętnie, jakby nie było o czym. Szukał w pamięci wydarzeń, które zainteresowałyby słuchacza. To oddalanie się w czasie trwało dość długo. A po powrocie do teraźniejszości znów wysypywały się z ust słowa suche.

– Pierwszy rok to pomarli. W tej Ratomce. To było te najgorsze. To tam umierali, ho ho, 6–7 chopa dziennie. Umierali też na biegunka. To nos wykończyło do reszty. Pracowali my wtedy na torfach. Kopali my te torfy i na take kanały ciepali, potym suszyli te całe tereny tam. Mieli my takie wysokie szpadle, ucinali ten torf i wyciągali a zaś inksi to brali i do suszenia dawali. I potem jak to uschło i zrobili takie choćby stogi. Tam było najgorsze. A jak potem my byli w tym lesie, to już tam, za ten czas, to 2 albo 3 umarło, w tym lesie. Jeden był komendantem i też umarł. Ale co tam się stało, to się nikt nie dowiedział. Kaj my ich chowali? A gdzie tam na cmentarzu. Gadali „na górce”. Tak jak umarł, jaki był, tako dziura wykopali, na twarz trocha paproci i żegnaj duchu.

Po każdym fragmencie następowała cisza. Wiedzieliśmy, że pan Ignacy właśnie teraz odbywa daleką wędrówkę między obrazy przeszłości. Co widzi, przy których się zatrzymuje? Tego się nie dowiemy, ale wyobrażamy sobie jak przerażające musi być to, co widzi, jak trudno wrócić stamtąd. Może twarze przyjaciół zatrzymują go próbując o sobie przypomnieć? Więc czekamy cierpliwie.

– Kuzyna od mojej żony zastrzelili na moich oczach. W Ratomce. Ale to były te pierwsze dni. Jak my byli w Ratomce. Oni we dwójka chcieli uciec. To było, to było we wtorek. Jak dziś pamiętam. Ten Rusin taki, myśmy jeszcze z nim rozmawiali, to on go strzelił z karabina, pierwszy raz to go trafił tukej – pan Ignacy pokazał miejsce pod pachą – to mu potem ta ręka... ach – machnął ręką – nie godom tego, to nie ma sensu. To som takie rany nie do zapomnienia, nie chcę tego wspominać więcej... On był dwa lata starszy ode mnie. On był rocznik '25 zdaje się. Ze października albo coś.

Ignacy Kowol, rocznik 1927, miał 18 lat kiedy wraz z innymi mieszkańcami Ostropy został wywieziony do obozu pracy w Ratamce na Białorusi, potem do Mińska i Krasnorocza. Tak wspomina chwile wywózki:

– ... nas było może 700 chopa. Do Pyskowic i tam do wagonów, takich krowich i heja. Do jednego coś, nie wiem, 20, 25 osób. No to była zima, pośrodku był taki piecyk. A ustęp to niech pani nie mówi. Tam my jechali 10 dni, do Ratomki. W Ratomce nas wyładowali. Tam były takie baraki ustawione. No i do tych baraków, ale jakie te baraki były, ho, ho, ho. Takie klocki z drzewa to były na podłogach, a jeszcze nie były obstrugane do porządku. Ani koca, nic, ino gołe doły. Potem co chwila nas kaj indziej dawali.

W tamtych dniach, kiedy w krowich wagonach jechał na Ukrainę był młodym, silnym chłopakiem i miał szczęście. Przeżył swoją „Golgotę” i wrócił do domu 23 grudnia 1949 roku.

Górnośląska Golgota,

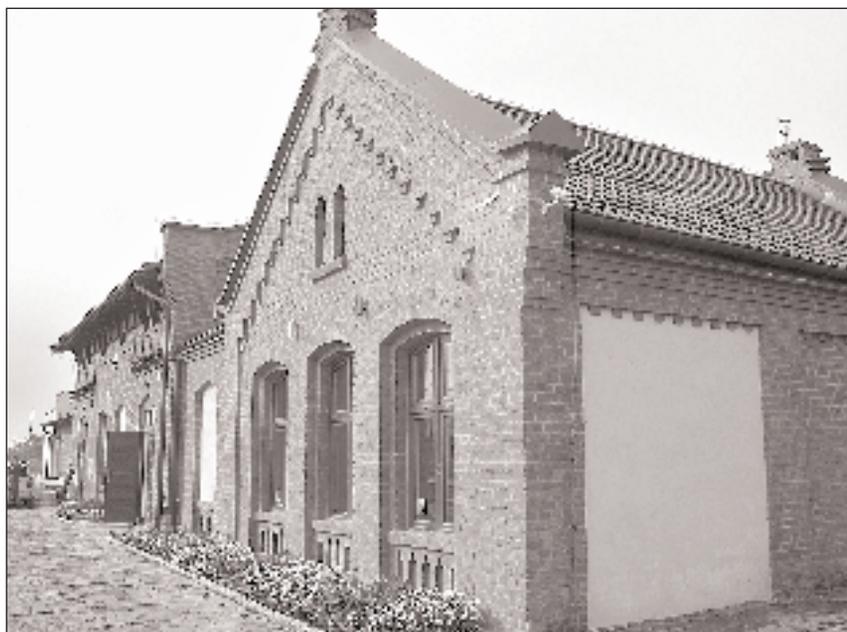
lub „tragedia śląska” tak określane jest często przez publicystów czas wywózek na Górnym Śląsku w 1945 roku. Nazwy te powstały w środowiskach najbardziej dotkniętych represjami wkraczających na ziemię śląskie Sowietów. Niszczenie mienia, kradzieże, gwałty, morderstwa oraz wywózki do obozów pracy dotknęły mieszkańców Górnego Śląska często jako odwet za niemiecką okupację. Okrucieństwo wkraczających wojsk radzieckich „niosących wyzwolenie” podyktowane było chęcią zemsty za wojenne przeżycia, ale było też częścią polityki. Tak więc nie dla wszystkich mieszkańców Śląska

zakończenie wojny było czasem radości. Zwłaszcza w tej części, która przed wojną stanowiła część Rzeszy Niemieckiej, czyli na przykład w Bytomiu, Zabrze, Gliwicach, Opolu, Raciborzu i wioskach w tym rejonie. Tam wszyscy zostali potraktowani jak Niemcy, na których należy się odkuć za zbrodnie wojenne. Dla nich koniec wojny był początkiem kolejnej fali represji. Jednak ten podział na Niemców i Polaków w przypadku Górnego Śląska nie był oczywisty. Przed 1939 rokiem obszar ten był rejonem pogranicznym rozdzielonym pomiędzy Rzeczpospolitą Polską i Rzeszę Niemiecką. Historyk, pracownik śląskiego oddziału IPN, dr Dariusz Węgrzyn w książce pt. „Wywózka” zwracał uwagę na to, że podział był sztuczny i po obu stronach granicy mieszkały osoby deklarujące się narodowościowo jako Polacy oraz Niemcy. Charakterystycznym zjawiskiem regionu była też spora grupa o nieokreślonej narodowości, definiująca się poprzez przynależność regionalną, związek z ziemią, na której żyła. Po zajęciu polskiej części regionu we wrześniu 1939 roku, sytuacja jeszcze bardziej się skomplikowała, kiedy wprowadzono Niemiecką Listę Narodowościową. Zdecydowana większość, 70% otrzymała III grupę DVL (obywatelstwo niemieckie „na odwołanie”).

Sebastian Rosenbaum, współautor książki „Wywózka” odnosząc się do określeń: „Golgota Górnośląska” oraz „Tragedia śląska” podkreślił, że trzeba pamiętać, iż są one terminami publicystycznymi. Zawierają emocje i ocenę, a historycy muszą się z nimi konfrontować. Jest to też termin obecny w polityce regionu. Śląski Sejmik podjął ustawę o tym, że przyszedł rok poświęcony będzie deportacjom 1945 roku. Analizując jednak to zagadnienie głębiej można zauważyć, że ma ono dwojakie znaczenie. W pierwszym dominuje tendencja do zawężania całego kompleksu represji określanych jako „Tragedia Śląska” do zbrodni radzieckich towarzyszących przejściu wojska przez ziemie śląskie traktowane jako teren wrogi. Druga rozciąga interpretację określenia „Tragedia, Gulgota Górnośląska” na sferę działań podjętych przeciw rodzimej ludności przez władze już komunistyczne polskie. Były one eksportem interesów radzieckich i w ramach rozliczeń tworzyły sieć obozów, w których również ginęli ludzie.

40 lat milczenia

Deportacje mieszkańców Górnego Śląska do obozów pracy przymusowej w Związku Radzieckim objęły przypuszczalnie ponad 50 tysięcy ludzi. Nieznana jest dokładna liczba. Niemal połowa nie wróciła. Są też inne szacunki. W książce „Wywózka” można prze-



Stacja kolejowa Radzionków

czytać, że według statystyk sowieckich ogólna liczba Niemców deportowanych między grudniem 1944 a końcem kwietnia 1945 określona została na ok. 300 000 osób. Niemiecki Czerwony Krzyż podnosi te liczby do ok. pół miliona. Wywózka dotyczyła głównie młodych i zdrowych mężczyzn, ale ostatecznie brano wszystkich, którzy nadawali się do pracy. Stanowili oni pozabawioną praw tanią siłą roboczą, którą można było wykorzystywać na rzecz odbudowy ZSRR. I tak na przykład górnośląscy górnicy jako siła fachowa trafili do zagłębia węglowego w Kazachstanie i Donbasie. Jednak śląscy cywile pracowali w wielu innych obozach od Ukrainy, Białorusi, poprzez Gruzję, Kazachstan po Syberię i daleki wschód; Kamczatkę i Wroclaw. W obozach panowały katastrofalne warunki higieniczno-sanitarne. Głód, ciężka, ponad siły praca, choroby, zimno i brud dziesiątkowały deportowanych. Losu wielu z nich nigdy nie poznamy. Ci, którzy przeżyli obozową gehennę i wrócili do swoich domów – milczeli. Milczeli również ich rodziny, skutecznie zastraszone przez komunistyczny system. Każdy mógł wtedy pewnego dnia po prostu „zniknąć”.

Bernard Ciszewski pracował w 1946 roku w Fabryce Maszyn i Kotłów Parowych w Mikołowie. Żołnierze sowieccy zabrali go z zakładu, wraz z innymi pracownikami, najpierw do więzienia, potem do wywózki. Po latach wspominał: *Pod koniec marca załadowano nas do wagonów towarowych, a następnie pociąg odjechał. Kiedy przejeżdżał przez stację Mysłowice i zatrzymał się, na stacji zobaczyłem stojącego cywila na peronie, który dał mi znak bym w pewnym momencie wyrzucił napisany przeze mnie gryps do mojej matki. Gryps ten zawierał in-*

formacje, że jadę do Rosji i że jestem zdrowy i nie mają się martwić. Wiele takich wiadomości pisanych na karteczkach owiniętych na kamykach, przypadkowych, dostępnych przedmiotach, kawałkach deseczek wylatywało z pociągów jak tylko zwolnił, czy zatrzymał się na stacji. Czekają wzdłuż torów aż ktoś je dostrzeże i życzliwie dostarczy adresatowi. Dzięki uprzejmości przypadkowych ludzi część rodzin wiedziała gdzie „zniknęli” ich bliscy. Część takich wiadomości zachowała się i jest zdeponowana w archiwach Instytutu Pamięci Narodowej. Bernard Ciszewski po tułaczce po obozach pracy w Dżezkazaganii w Kazachstanie, potem w Karagandzie, Brześciu, szczęśliwie wrócił do domu. W jego protokole przesłuchania świadka spisanego 30 lipca 1990 roku czytamy m.in.: *Przed zwolnieniem zostaliśmy pouczeni, żeby nic nie wspominać skąd wracamy, co z nami czyniono, bo w przeciwnym razie wrócimy do obozu.*

W okresie Polski Ludowej dramat deportacji, wywózek, tragicznych przeżyć i śmierci w sowieckich obozach były tematami tabu. Nie rozmawiało się o nich w domach, tym bardziej nie omawiane były publicznie. Nie były również obecne w badaniach naukowych. Przetrwaly w ludzkiej pamięci. I kiedy wydarzenia roku 1989 przywróciły w Polsce demokrację niemi dotąd świadkowie tamtych wydarzeń mogli swoimi relacjami uzupełnić brakujący rozdział w najnowszej historii Górnego Śląska.

Stacja kolejowa Radzionków

Niewielki budynek dworca prezentuje się dumnie ze świeżo odnowioną elewacją z czerwonej cegły i drewnianymi wzmocnieniami charakterystycznymi dla architek-

tury przemysłowej końca XIX wieku. Trudno uwierzyć, że jeszcze kilka miesięcy temu był nieciekawą ruiną. Trudno w to dzisiaj uwierzyć, zwłaszcza tym, którzy są w tym miejscu pierwszy raz. Jak my, uczestnicy Dnia Otwartych Drzwi przyszłego Centrum Deportacji. Patrę na stacyjkę, na przejeżdżające raz po raz pociągi towarowe. Stoję na malutkim peronie, przed torowiskiem.

– Przypuszczam, że wiem, o czym pani myśli – usłyszałam zza pleców – ale to nie stąd odjeżdżały pociągi z deportowanymi. Sowieci wywozili ich ze stacji w Bytomiu, Gliwicach Łabędach. Stąd do łagrów wywieziono 250 osób, głównie górników – zobaczyłam obok siebie burmistrza Radzionkowa Gabriela Tabora, który osobiście oprowadza zainteresowanych tematem wywózek po zabudowaniach dworcowych roztaczając przed nimi wizję przyszłego Centrum Dokumentacji.

– To będzie miejsce symboliczne – dodaje. Udajemy się do pomieszczeń zawiadowcy stacji. – Tutaj będzie archiwum – wchodzimy krętymi, drewnianymi schodami na piętro. Przed nami otwiera się widok na dwa duże pomieszczenia. Już wykończone, ale puste. – To będzie miejsce dla badaczy. Powstanie tu biblioteka oraz miejsce do pracy dla studentów, historyków. Temat deportacji jest nie tylko niezagojoną raną w świadomości mieszkańców Górnego Śląska, ale też niezbadanym do końca zagadnieniem. To temat otwarty wymagający studiów, podobnie jak nasze centrum, które ma formułę otwartą.

Burmistrz Radzionkowa ma osobisty powód, by tak bardzo angażować się w powstanie tego miejsca pamięci o deportowanych i zamęczonych w rosyjskich obozach pracy. Jego dziadek był jednym z nich. Pewnego lutowego dnia 1945 roku miał się stawić na wezwanie władz sowieckich do kopania rowów. Kiedy przyszedł do pracy okazało się, że był to pretekst. Wraz z innymi został wywieziony do Donbasu. Nie przeżył i nie wiadomo, gdzie został pochowany. Podobnie jak wiele tysięcy Ślązaków, którzy tam zginęli. W ubiegłym roku burmistrz był w Donbasie i przywiózł z Doniecka oraz z terenów w okolicy kopalni „Rosija” symboliczną garść ziemi.

Krowiok dla każdego

Przed stacją w Radzionkowie zbierają się ludzie. Są ciekawi, co powstaje na ich dworcu, na rogatkach miasteczka. Zwłaszcza że niedawno na skwerze przed budynkiem postawiono na fragmencie szyn wagon towarowy. Taki, jak się kiedyś mówiło, „krowiok”, bo

do przewożenia bydła. Idziemy w jego kierunku.

– Braci mojego ojca wzięli z kopalni Bytom, jak tylko wyjechali z szychty na powierzchnia – mówi starszy pan – prosto do wagonów. Już nie wrócili.

– A ja słyszał łód ujka – włącza się do rozmowy ktoś z grupy formującej się przed wagonem – ja słyszał, że z Huty Baildon w Katowicach to wzięli cała zmiana, ludzi i maszyny łoz i razem wywieźli. Bo ruskie tych maszyn nie potrafili obsługiwać. Podobno do Magnitogorska pojechali.

– Mój sąsiad – odzywa się inny – to łon tam był, ale godać o tym nie chce. Rozdrapywać te straszne czasy, grzebać w tych ranach, nie chce do tego wracać. Pado, że te przeżycia już zakopół do sarkofagu.

Po krótkiej drabince wchodziliśmy do wagonu. Po bokach prycze. Dziura w podłodze, czyli ubikacja. Dookoła mrok. Tylko przez szpary w deskach próbuje się wdrzeć słoneczny dzień. Tłoczno.

– A ich tak po osiemdziesiąt wciskali – ktoś próbuje podzielać na naszą wyobraźnię. Jarosław Wroński, szef Działu Promocji w Urzędzie Miasta Radzionków wyjaśnia, że nie jest to oryginalny „krowiok” z lat wywózek, że został specjalnie wystylizowany. Jednak robi wrażenie.

– Pamiętam takiego starszego Pana – opowiada – który wszedł tutaj i się rozplakał. Przypomnił sobie, jak pewnego dnia odprowadził ojca do pracy na kopalnię. Kiedyś był taki zwyczaj. Pożegnali się i jak zwykle czekał na niego wieczorem, ale ojciec wrócił dopiero po prawie dwóch latach. Był nie do poznania. Skrajnie wyczerpany fizycznie i psychicznie. Bardzo długo trwała rehabilitacja i jego powrót do normalnego życia. Milczał przez wszystkie lata komuny. Dopiero, kiedy czuł, że odchodzi, przed śmiercią opowiedział swojemu synowi o piekle, jakie przeżył na ziemi, w sowieckim łagrze.

– Wciąż szukamy ludzi, świadków tamtych dni, albo bliskich, którzy wysłuchali ich historii. Szukamy dokumentów, listów, fotografii, przedmiotów, jakichkolwiek okruchów przeszłości związanych z wywózkami – dodaje burmistrz, Gabriel Tabor. – Uruchomiliśmy specjalną stronę internetową oraz grupę, która w każdej chwili pojedzie do każdego, kto zaoferuje nam współpracę. Tworzymy niezwykle muzeum, bo prawie pozbawione eksponatów. Ich nie może być, bo ci którzy przeżyli, wracali bez niczego.

Wchodzimy na stację. Zasadniczy budynek dworca za pięknie odnowioną, klinkierową fasadą odkrył przed nami na razie „konceptyjny rozmach” wyra-

żający się w surowym betonie. Jednak, tylko my, odwiedzający, widzimy puste przestrzenie. Orowadzający natomiast już „widzą” to, co znajdzie się tu w niedalekiej przyszłości.

– To będzie muzeum emocjonalne – wyjaśnia Mieczysław Koszka, współautor koncepcji na realizację Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoślązaków do ZSRR. – Tutaj, gdzie pani stoi, będą zaznaczone miejsca „Odjazdów”, w których znajdowały się obozy pracy. Tam, gdzie powinny być „Przyjazdy” zostanie wymowne puste miejsce. Na tej ścianie powiesimy zdjęcia rodzin, takich typowo śląskich: ojciec, matka, dużo dzieci. Z drugiej strony przy wyjściu, na tych zdjęciach nie będzie już ojców. Z peronu będzie się wchodzić do wagonu, który nieoczekiwanie się zamknie i ruszy. Oczywiście będziemy imitować ten ruch, ale przez szpary między deskami wagonu będzie można zobaczyć mijane miejsca, na suficie wyświetlimy film... w kolejnej sali będzie można zobaczyć nieliczne eksponaty: tekturowe walizki, nóż, listy, szczoteczki do zębów, łyżka, kubek itd. A tam na końcu, symboliczny cmentarz z ziemią przywiezioną z Donbasu...

Koszka mówi z pasją, obrazowo. Za oknem przejeżdżają raz po raz pociągi. Towarowe wagony wystukują głośno znajomy rytm. Betonowe ściany ozywają. Widzimy ludzi, którzy wchodzą do wagonów. Słyszymy jak zasuwiają się z trzaskiem drzwi. Rozpoznajemy rosyjskie słowa. Czujemy, jak rusza pociąg wyrrywając z normalnego życia ludzi, którzy chcieli się cieszyć końcem wojny.

14 lutego

1945 roku wyruszył pierwszy transport. W tym dniu 2015 roku planowane jest uroczyste otwarcie Centrum Dokumentacji Deportacji Górnoślązaków. Ma ono formułę otwartą, każdy może wzbogacić zbiory i wziąć udział w poszerzaniu wiedzy o „Górnośląskiej Golgocie”.

www.deportacje45.pl

Cytaty pochodzą z książki „Wywózka. Deportacje mieszkańców Górnego Śląska do obozów Pracy przymusowej w Związku Sowieckim w 1945 roku. Faktografia-konteksty-pamięć” pod redakcją Dariusza Węgrzyna i Sebastiana Rosenbauma. IPN. Katowice. 2014.

Słowa Ignacego Kowola spisane według relacji zrealizowanej przez Ewelinę Małachowską i Annę Skiendziel, pracownicy IPN 9.06.2014.

Już po raz piąty w ostatnią sobotę listopada (29.11.2014 r.) odbędzie się kolejna edycja organizowanego przez Samorząd Notarialny Dnia Otwartego Notariatu.

Akcja ta, organizowana już po raz kolejny, jest odpowiedzią Samorządu Notarialnego na zapotrzebowanie związane z poszerzeniem w społeczeństwie wiedzy o istotnych dla rodzin kwestiach majątkowych i spadkowych.

Notariusze wielokrotnie w swojej działalności zawodowej spotykają się i pomagają w rozwiązywaniu problemów majątkowych swoich klientów, dotyczących ich majątków rodzinnych, spadkobrania, nabywania nieruchomości, testamentów i dziedziczenia.

Zdarzają się jednak i takie sytuacje, gdy nie jest możliwe rozwiązanie problemów klientów w kancelarii notarialnej, a niezbędne jest rozstrzygnięcie sądowe, ze względu na wcześniej podjęte błędne decyzje i pominięcie przy tym notariusza.

Decyzja Samorządu Notarialnego o prowadzeniu Dni Otwartych miała na celu przybliżenie problematyki związanej z ochroną majątków rodzinnych, rozporządzaniem tymi majątkami w sposób zgodny z interesami klientów oraz zabezpieczający ich prawa i spotkała się z ogromnym odzewem, o czym świadczy kilkanaście tysięcy porad udzielonych przez notariuszy w ramach tej akcji.

Tematem pierwszego Dnia Otwartego było spadkobranie, a jego celem było poszerzenie wiedzy o sposobach sporządzania testamentów, formach tych testamentów i spadkach. Drugi Dzień Otwarty Notariatu poświęcony był majątkom rodzinnym i ich bezpieczeństwu. Kolejna edycja Dnia Otwartego Notariatu (trzecia) to tematyka związana z księgamami wieczystymi i ochroną własności. Ubiegłoroczny Dzień Otwarty Notariatu dotyczył przekazywaniu majątku w rodzinie. Zakresy tematyczne kolejnych Dni Otwartych Notariatu miały na celu poszerzenie wiedzy osób, które przybyły na miejsca spotkań z notariuszami, jak również i tych którzy mieli możliwość zapoznania się z materiałami pomocniczymi, na temat nabywania nieruchomości, sposobów zbywania tych nieruchomości, sposobów sporządzania testamentów oraz ogólnej problematyki dotyczącej dziedziczenia majątku.

Akcja ta ma charakter ogólnopolski i biorą w niej udział

„Porozmawiaj z notariuszem o bezpiecznej jesieni życia. Majątek a prawo.”



Dzień Otwarty Notariatu

notariusze zrzeszeni w Izbach Notarialnych na terenie całego kraju.

Na terenie województwa śląskiego, objętego działaniem Rady Izby Notarialnej w Katowicach, pierwsze trzy edycje Dnia Otwartego Notariatu odbywały się w jednym miejscu, w stolicy województwa śląskiego, w Katowicach. Każdego roku Dzień Otwarty Notariatu cieszył się ogromnym zainteresowaniem, o czym świadczyły długie kolejki oczekujących na uzyskanie porady notarialnej. Należy podkreślić, że zainteresowani przybywali z różnych części województwa śląskiego. W ubiegłym roku Rada Izby Notarialnej postanowiła, że Dzień Otwarty Notariatu odbywał się w trzech głównych ośrodkach naszego województwa, czyli w: Katowicach, Częstochowie i Bielsku-Białej. Dzięki tej decyzji więcej osób niż w latach ubiegłych mogło skorzystać z porad udzielanych podczas Dnia Otwartego Notariatu.

Akcja naszego Samorządu nie odbyłaby się bez zaangażowania naszych kolegów i koleżanek – notariuszy, którzy w ten listopadowy dzień, kosztem swojego wolnego czasu, licznie przybywali

na Dzień Otwarty Notariatu, aby dzielić się swoją wiedzą i doświadczeniem z przybyłymi osobami. Nie tylko notariusze, lecz także asesory i aplikanci notarialni, zaangażowani są w organizację Dnia Otwartego Notariatu.

Chcąc poszerzyć dostęp do notariuszy i wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu, kolejną piątą, jubileuszową edycją Dnia Otwartego Notariatu w tym roku, tj. 29 listopada, odbywać się będzie w czterech miastach naszego województwa, czyli w:

– Katowicach na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Śląskiego przy ulicy Jordana 18,

– Częstochowie w gmachu Muzeum Częstochowskiego przy Alei NMP 45,

– Bielsku-Białej w gmachu Książnicy Beskidzkiej przy ulicy Słowackiego 17A,

– Gliwicach w gmachu Sądu Rejonowego przy ulicy Powstańców Warszawy 23.

Dzień Otwarty Notariatu rozpocznie się o godzinie 10⁰⁰ i będzie trwał do godziny 16⁰⁰, a hasło przewodnie tegorocznego Dnia Otwartego Notariatu brzmi *Porozmawiaj z notariuszem o bezpiecznej jesieni życia. Majątek a prawo*. Tematyka ta skierowana jest nie tylko dla osób w wieku podeszłym, lecz również dla wszystkich tych, którzy chcą skutecznie zabezpieczyć swój majątek w jesieni swojego życia.

Na zainteresowanych czekać będą, jak co roku, notariusze, którzy na zadane pytania udzielą rzeczowych porad. Samorząd notarialny przygotował również na ten dzień publikację i broszury tematyczne, między innymi dotyczące umowy dożywocia, umowy renty, przewłaszczenia, czy też pełnomocnictw, które na pewno przybliżą przybyłym tematykę czynności notarialnych.

Wszystkie osoby pragnące poszerzyć swoją wiedzę prawniczą zapraszamy na Dzień Otwarty Notariatu do miejscowości wskazanych powyżej.

Akcja Samorządu Notarialnego ma charakter *pro publico bono*, służy bowiem edukacji społeczeństwa w istotnej dla nas wszystkich wiedzy na temat spraw majątkowych. Warto również podkreślić, że porady prawne udzielane w trakcie wizyt w kancelariach notarialnych są również nieodpłatne.



Zdjęcia: RIN w Katowicach

WOJCIECH
MICHALEWICZ
Notariusz
Rada Izby Notarialnej
w Katowicach

Od czego zacząć pisanie o 20. latach „Śląska”?
 Na pewno ktoś spoza redakcji, niezależny obserwator, wiedziałby znacznie lepiej, widziałby może ostrzej, bo nie związany emocjonalnie, bo bardziej chłodnym umysłem ogarnąłby kolejne wydania, kolejne lata.
 Ale to mnie, od początku związanej z naszym pismem, przypadła rola sprawozdawcy.

JAK BYĆ POLAKIEM W NIEMCZECH?

MIESIĘCZNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

ŚLĄSK

Nr 1 ROK I • LISTOPAD 1995 CENA 3 zł /30 000 zł

RÓŻEWICZ w Gliwicach

Diagnosty prof. **Henryka MARKIEWICZA**

Proza **KUTZA**

Jacek WÓDZ *Główny Śląsk – przegadanie bez przyszłości*

KOBIELA *kawkalety śmiešności*

Miśnię Śląska według księdza **SZRAMKA**



jawiają się w publikowanych od lat na łamach pisma „Anegdotach” Henryka Bzdoka. A ile opowieści i wspomnień związanych z dawnym, życiem artystycznym Katowic... z czasem, niestety, ubywa postaci z panteonu stworzonego przez Dudę-Gracza, ale w „Śląsku” bardzo wielu z nich ma swoje trwałe miejsce.

Fenomen trwania

Początek lat 90. był czasem boomu nowych gazet codziennych i pism, których tytuły dziś pamiętają tylko nieliczni. „Śląskowi” też nie wróżono długiego żywota – ot, najwyżej kilka lat. Ile trzeba było włożyć wysiłku, by z uporem wydawać miesiąc w miesiąc kolejne numery o całkiem sporej objętości, na przyzwoitym poziomie poligraficznym, by zdobywać pieniądze (nie istniały jeszcze konkursy i granty ministerialne czy tzw. „marszałkowskie”), wie tylko Tadeusz Kijonka. Ile wydeptanych ścieżek, ile nie zawsze szeroko otwieranych drzwi, ile rozmów mających przekonać potencjalnych sponsorów i mecenasów do tego, że warto postawić na „Śląsk”. Z czasem, kiedy pismo ugruntowało swoją pozycję, zyskało wielu wiernych przyjaciół – wśród samorządowców różnych szczebli, przedsiębiorców, ludzi, którym na sercu leżała sprawa tego regionu.

Pierwszą siedzibę redakcja otrzymała od Urzędu Miasta Katowice – przy ulicy 3 Maja 7. Po czterech latach nastąpiła przeprowadzka pod nowy adres: na Dworcową 13 (także dzięki Miastu Katowice), do niezwykle pięknej, choć wówczas nieco podupadłej kamienicy, w której swoje lokum od lat ma katowicki Oddział Związku Polskich Artystów Plastyków. Na reprezentacyjnej ścianie Sali Portretowej zawisł oczywiście obraz Jerzego Dudy-Gracza.

Dobrym duchem „Śląska” była też przez długie lata Drukarnia im. Karola Miarki w Mikołowie, należąca do Przedsiębiorstwa „Tolek” Adolfa Jańczyka. Nie bez kozery wybraliśmy właśnie tę drukarnię na naszego partnera – jej rola i znaczenie dla historii Śląska znakomicie wpisywały się w wizerunek pisma. Niezwykle cenny był dla nas kontakt z obdarzającymi pismo ogromną życzliwością i... cierpliwością ludźmi – właścicielami i pracownikami drukarni. Dzisiaj możemy im wszystkim podziękować za wiele lat wspaniałej współpracy.

Kiedy do poligrafii zaczęły wchodzić pierwsze tzw. składy komputerowe, rzecz można, że na własnej, redakcyjnej skórze odczuwaliśmy mękę uczenia się tego wszystkiego, co dzisiaj jest tak oczywiste, a nikt nie wyobraża sobie, że zdjęcia mogą przechodzić przez chemigrafię (co to takiego?), że kolejne strony powstawały w tzw. „gorącym” składzie na terkoczących, śmierzących ołowiem linotypach. A to wszystko także nasza historia. Przez meandry komputerowych tajników, a później internetu przeprowadzał nas będący do dzisiaj z nami Mirosław Korbel i pracownicy jego Studia Typografii Profesjonalnej „Korgraf” – współpracę zaczęliśmy jeszcze jako skład Fibak Marquard Press przy ulicy Opolskiej, co dokumentują stopki redakcyjne pierwszych wydań.

* * *

Trwamy... mimo zakrętów, burz, wzdętów – ale nie upadków, trochę na przekór niedowiarkom, ku radości tych, którzy oczekują na kolejny numer.

Ale samo trwanie nas nie satysfakcjonuje – mamy wielką potrzebę rozwinięcia skrzydeł, pójdźmy nowymi drogami, z coraz to nowymi autorami z młodego pokolenia, pokazywania Śląska przeszłego i przyszłego ich oczami. Zrobiliśmy pierwszy, wielki krok – od niedawna mamy portal www.slaskgtl.pl i możemy spotykać się w przestrzeni wirtualnej społecznościowego Facebooka. Nie dopada nas jednak dylemat dwiistości istnienia: „Śląsk” drukowany czy „internetowy”. Jesteśmy i tu, i tu. Lubimy naszą staroświeckość – to może nieco zrozumieli

Wkraczamy w 20. rok „Śląska”

WIESŁAWA KONOPELSKA

Najważniejszej niewątpliwie jest i będzie przekazanie główne pisma: po pierwsze... ŚLĄSK... i myślę, że nam nie zdarzy się grzeszyć przeciw niemu, choć nie zawsze nasze diagnozy i opinie zostaną uznane za słuszne. Ale i o to także chodzi: o szeroki, społeczny dialog i spory, w słusznej sprawie.

TADEUSZ KIJONKA
 „Śląsk” Nr 1/95

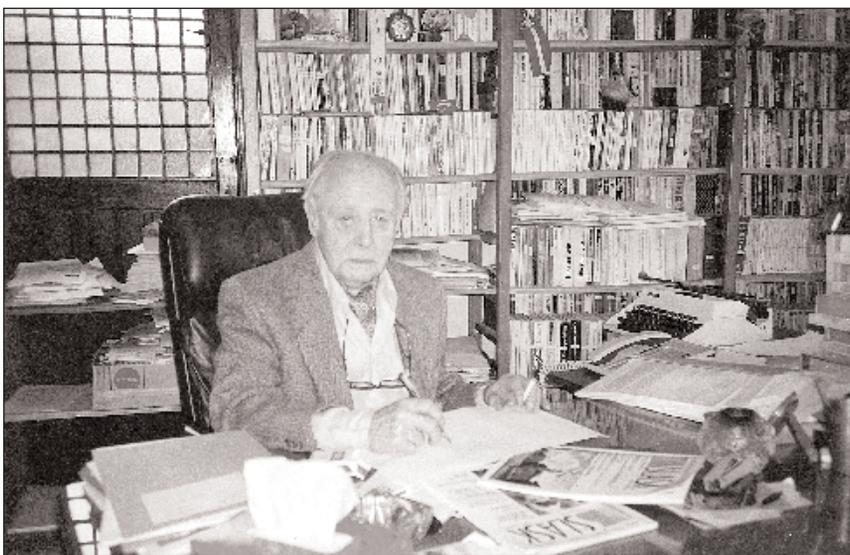
Rola to niezmiernie trudna, bo – powtórzę pytanie – od czego zacząć, kiedy ważne jest to, że wydanie listopadowe z tego roku, które właśnie oddaliśmy do rąk Czytelnikom, nosi numer 228, a jednocześnie ważne jest, że od pierwszego numeru mamy stałych współpracowników i stałych czytelników, że garną się do nas młodzi literaci, krytycy, publicyści, twórcy sztuki, że pamiętamy o rocznicach, wydarzeniach społecznych i kulturalnych, o najznakomitszych przedstawicielach sztuki i kultury polskiej, dla których zawsze znajdowaliśmy miejsce na łamach pisma, że inicjowaliśmy wiele istotnych dyskusji – od tych *Przy redakcyjnym stole „Śląska”* po kongresowe. Ważne było i to, że w redakcyjnej stopce od początku, przez 18 lat, do grudnia 2012 roku, znajdowało się nazwisko twórcy pisma – Tadeusza Kijonki, bez niego Śląsk byłby uboższy o pismo, którego credo zostało zapisane w słowie wstępnym redaktora na-

czelnego do pierwszego wydania „Śląska” w listopadzie 1995 roku: „Po pierwsze... Śląsk”. Ważne było i jest to, że wydawcą pisma jest Górnośląskie Towarzystwo Literackie, stworzone przez Tadeusza Kijonkę, jego pierwszego i wieloletniego prezesa, a także to, że współwydawcą jest Biblioteka Śląska z profesorem Janem Malickim. Obydwie te instytucje kultury w znaczący sposób określają tożsamość pisma i obszar spraw istotnych. A dla zespołu redakcyjnego ważne było i jest, że od lat spotyka się na cotygodniowych kolegiach przy tym samym stole, pod obrazem Jerzego Dudy-Gracza „Parnas śląski”, który niejednokrotnie był swoistym natchnieniem do podejmowanych tematów i dysput, także niezliczonych już spotkań literackich i artystycznych, no i oczywiście towarzyskich, z okazji kolejnych rocznic czy to „Śląska”, czy GTL-u. Postaci z obrazu, a także anegdoty z nimi związane po dziś dzień po-

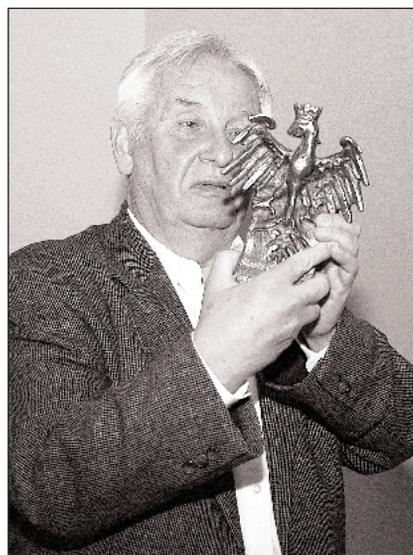
KAZIMIERZ KUTZ:

– Powinniście towarzyszyć sprawie regionalizacji i tworzyć dla niej glebę. Nie tylko stawiać pytania, ale i próbować na nie odpowiadać. I powinniście przynosić Ślązakom po prostu godziwą refleksję nad Śląskiem.

„Śląsk”, Nr 1/95



Redaktor paryskiej „Kultury” Jerzy Giedroyc po przeprowadzonej przez Ewelinę Puczek rozmowie dla naszego pisma z zainteresowaniem przeglądał pierwsze numery „Śląska”, Maison Lafitte, Paryż, 1996.



Henryk Mikołaj Górecki z „Orłem Śląskim” – laurem przyznawanym przez redakcję „Śląska” w 10. rocznicę istnienia pisma, 2005.

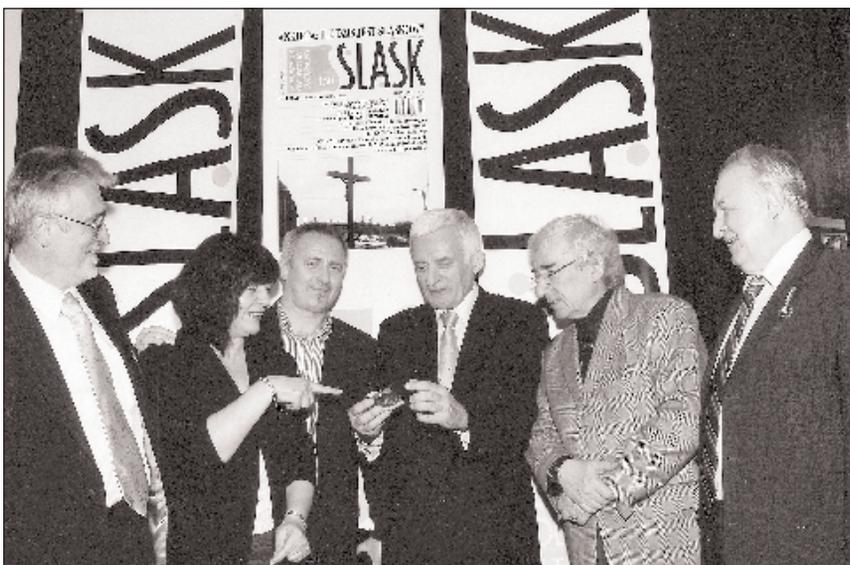


Redakcyjnym skarbem jest zdjęcie wykonane podczas wizyty w „Śląsku” wielkiego poety – Tadeusza Różewicza, w październiku 2006 roku. Poetę otaczają (od lewej) Feliks Netz, Bogdan Widera, Tadeusz Kijonka, Barbara Gruszka-Zych, Wojciech Łuka oraz (poniżej) Marian Kisiel i Wiesława Konopelska.

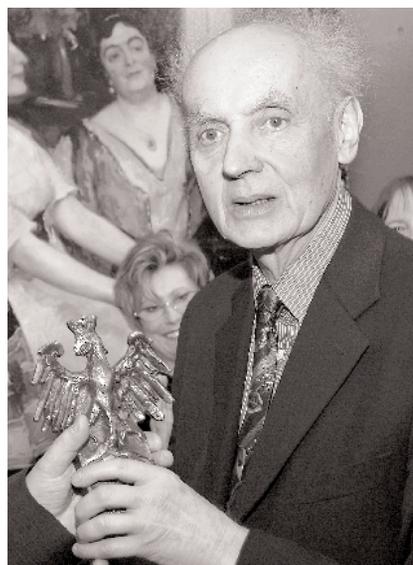
TADEUSZ RÓŻEWICZ
Z okazji 15-lecia „Śląska”:

Wrocław 6. XII - 2010x
Drogi Nawetny! Panie Tadeuszu,
Zyszę Panu i całemu naszemu zespołowi
aby „Śląsk” doznał srebrnego wieku -
sprawdnie 15-latek jest wrodzony i zdrowy
ale 50-latek też bywa zdrowy! -
Sto lat! Nie ma „Śląska” bez Kijonki,
nie ma Kijonki bez „Śląska”!
Stalem u kolebki tego pisma i jako
jeden z ojców chrzestnych przyglądam
się Panu z uwagą i zyczeniowością!
Tadeusz Różewicz
głęboko i dołno Ślązak
z Radomska

Śląsk Nr 1/11



Gościem uroczystości z okazji 150 numeru „Śląska” był europoseł i były premier prof. Jerzy Buzek, który nie tylko wspiera redakcyjne wysiłki, by pismo wciąż mogło służyć regionowi, ale potrafi też docenić... smak prawdziwego śląskiego koloczka. Teatr Śląski, Katowice, 2008.



W gronie laureatów „Orłów Śląskich” był także Wojciech Kilar, 2005.

strony redakcji, ale upoważnia nas do tego faktu, że mamy za sobą szmat całkiem ciekawej historii... poligrafii, fotografii analogowej i cyfrowej, maszynopisów i wydruków komputerowych, faxów, plików, maili i Bóg wie, czego jeszcze...

Z Różewiczem od pierwszego numeru

Posłużę się notą bezstronnego autora zamieszczoną w leksykonie „Pisma kulturalne w Polsce po 1989 roku”, wydanym przez Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” w 2010 roku. Czytamy w niej, że „Śląsk” „Jest pismem społeczno-kulturalnym skupiającym wokół siebie głównie artystów związanych ze Śląskiem oraz badaczy z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Tytuł pisma jest jednocześnie deklaracją programową: miesięcznik ma integrować życie kulturalne regionu, (re) prezentować Śląsk, pokazując równocześnie jego miejsce w ogólnopolskiej przestrzeni kulturalnej”. Dalej czytujemy jest wspomniana przeze mnie deklaracja Tadeusza Kijonki „Po pierwsze... Śląsk”. To podstawowe zadanie tego miesięcznika. Jednak kamyk rzucony na spokojną wodę roztacza wokół siebie kręgi. I już pierwszy numer pisma pokazał, jakie to będą kręgi: na okładce – przypominanej później przy okazji kolejnych, „okrągłych” wydań (50, 100, 150., 200.) robotnicza dzielnica Rudy Śląskiej z szybem kopalnianym w tle, z krzyżem zwróconym w głąb osiedla – to odchodzący, ale ciągle obecny w przestrzeni materialnej i duchowej Śląsk, na drugiej stronie okładki grafika Knippla z wizerunkiem Katowic z 1865 roku i druga – pokazująca nowoczesne miasto – w domyśle z jego wszystkimi problemami – to ujęcia symboliczne otwierająca pierwsze wydanie.

A dalej: by rzec po domowemu „od progmu” Literacki Nobel '95 – Seamus Heaney w przekładzie Feliksa Netza, dalej „Różewicz w Gliwicach” i „Czas zapisany” – rzecz o Różewiczu Tadeusza Kijonki, rozmowa Mariana Kisiela z prof. Henrykiem Markiewiczem o literaturze i badaniach literackich, fragment „Chłopców” – prozy Kazimierza Kutza, i rozmowa z autorem „Jest Śląsk z jego skomplikowanymi problemami widziany oczami ks. Emila Szramka w opublikowanym szkicu z 1934 roku, zatytułowanym „Śląsk jako problem socjologiczny”. Współczesne oblicze tej ziemi pokazują naukowcy – socjologowie prof. Marek Szczepański i prof. Jacek Wódz. Obszar zainteresowań określają kolejne tematy: Opole i powstały tu Uniwersytet, „Jak być Polakiem w Niemczech?” – pyta Krzysztof Karwat, jest wspomnienie „Odry” – niegdyś wydawanej w Katowicach, a od lat w Opolu, opowieść o Bogumile Kobieli – aktorze stąd, o pokoleniu młodych kompozytorów, są spotkania z książką – ważny dwugłos o „Urodzonym w Święto Zmarłych” Feliksa Netza i inne recenzje, ze sztuką scenografii Andrzeja Kreütza Majewskiego i sztuką Polaków z Zaolzia. Na stałe już zagoszczą recenzje teatralne, koncertowe i operowe. Odtąd nie będzie też miesiąca bez poezji i prozy: zaczęło się od znakomych strof Marii Korusiewicz i Janusza Stycznia, prozy Kazimierza Kutza.

Pojawili się pierwsi autorzy pierwszych stałych felietonów: Antoni Halor i jego „Pejzaż mitologiczny”, literackie „Starty i fałstarty” Mariana Kisiela, „Ścieżki i rozdroża” Krzysztofa Karwata i „Pod ostrym kątem” Michała Smolorza. Z czasem w gronie stałych felietonistów znaleźli się Jan Miodek, Marek S. Szczepański, Magdalena Dziadek, Jan F. Lewandowski, Feliks Netz, Marta Fox, Krzysztof Krasuski, Krzysztof Kłosiński, Marek Baster, Wojciech Janota, a stałym komentatorem bieżących wydarzeń – także politycznych – był Tadeusz Kijonka. W ostatnich latach pojawiły się felietony Krystiana Gałuszki, Wojciecha Grabowskiego, Witolda Turanta, Katarzyny Wyrwas. Odnotować trzeba trwające po najnowszy numer „Notatniki kulturalne” opisujące wiele zdarzeń artystycznych i kulturalnych w rejonach Katowic, Bielska-Białej, Opo-



Kolegium redakcyjne w siedzibie przy ul. 3 Maja – właśnie ukazał się pierwszy numer „Śląska”. Na zdjęciu (od lewej): Krzysztof Karwat, Marian Kisiel, Wojtek Łuka, Feliks Netz, Jan F. Lewandowski, Tadeusz Kijonka. Brakuje sekretarza redakcji – Wiesławy Konopelskiej, która właśnie to zdjęcie wykonywała, 1995.

la i Zaolzia (z czasem doszła Częstochowa, a od kilku miesięcy obecna jest Zagłębie).

I wydawać by się mogło, że po 20 latach „Śląsk” powinien być nie do poznania! Nie bardziej złudnego! Owszem krąg zagadnień i autorów jest ogromny – trudno wybrać kilka na-

szuli Kozioł, Feliksa Netza, Tadeusza Kijonki, Krzysztofa Siwczyka, Macieja Meleckiego, Erwina Kruka, Charlesa Bukowskiego, poetów z kręgu Górnos Śląskiego Towarzystwa Literackiego w tym liczne debiuty młodych twórców. Chcąc szczególnie uhonorować wybranych

JERZY DUDA-GRACZ:

– Czuję, że jestem ludziami, którzy tu mieszkają, coś winien. Wydaje mi się, że „bycie artystą” w takim miejscu, jak to, ma głęboki sens. Nie tylko twórczy, ale i społeczny.

„Śląsk” Nr 2/95

związek z tej znakomitej plejady. Jedno wśród nich jest absolutnie wyjątkowe: Tadeusz Różewicz! Co i raz Jego nowe wiersze – pierwodruki! rękopisy! – jak fragmenty poematu „Matka odchodzi” i wiele innych. Dla Niego samego warto było wydawać „Śląsk”!

Każdy miesiąc przynosił fragmenty twórczości innych znakomych prozaików, a wśród nich m.in. Wiesława Myśliwskiego „Widnokrąg” zanim dostał Nike, Stefana Szymburki „Nagrobek ciotki Cili”, Feliksa Netza przekłady Sándora Márai’ego i wielkie słuchowisko radiowe „Pokój z widokiem na wojnę polsko-jaruzelską”, Wojciecha Kuczoka, Henryka Wańka i poetów: Juliana Kornhausera, Adama Zagajewskiego, przekłady Walta Whitmana, Andrzeja Szuby, Ur-

twórców, w 2013 roku wprowadziliśmy tzw. „wiersz na otwarcie”, będący swego rodzaju poetyckim wprowadzeniem w dalszą materię pisma.

Filary „Śląska”

Kiedy po latach przeglądam dziesiątki egzemplarzy, by wysegregować te najciekawsze, najważniejsze, poruszające sprawy wielkiej wagi dla regionu – nie wiem, które wybrać: każdy wydaje się ważny, w każdym są rozmowy, wypowiedzi, zdjęcia, a nawet rysunki opowiadające i komentujące historię i współczesność.

Jedno jest bezsprzeczne: filarami „Śląska” przez lata byli Tadeusz Różewicz, abp Damian Zimoń, Jerzy Duda-Gracz, Wojciech Kilar,

JERZY GIEDROYĆ:

– Zarówno w Polsce przedwojennej, jak i teraz nie doceniliśmy odrębności Śląska i Ślązaków.

Śląsk Nr 3/96



Za nami 200 wydań „Śląska”! Po spotkaniu ze współpracownikami i licznymi przybyłymi gośćmi w Kinoteatrze „Rialto”, pozwoliliśmy do kolejnego w naszej kolekcji zdjęcia. Od lewej: Feliks Netz, Mirosław Korbel – szef STP Korgraf wraz z żoną Haliną (na końcu tego szeregu), Wiesława Konopelska, Bogdan Widera, Maria Szuka, Tadeusz Kijonka, Wojtek Łuka, 2012.

Abp DAMIAN ZIMOŃ:

– Dziś największym skarbem tej ziemi już nie są bogactwa naturalne, ale ludzie, którzy przy ich wydobywaniu wykształcili takie cechy charakteru jakie bardzo są potrzebne nie tylko w Polsce czy w Europie, ale też i w całym współczesnym, skomplikowanym świecie.

Śląsk Nr 4/06

Henryk Mikołaj Górecki, także prof. Jerzy Bukzek i Kazimierz Kutz. Niewątpliwie jest nim Feliks Netz – niezastąpiony autorzytet w dziedzinie prozy i poezji, nieustannie obecny na łamach „Śląska” jako poeta, prozaik, autor licznych przekładów literackich, publicysta, twórca słuchowisk, znawca literatury polskiej i światowej, krytyk filmowy.

W zależności od podnoszonych problemów i tematów dyskusji o opinii prosiłiśmy ekspertów w swoich dziedzinach – najczęściej naukow-

Prof. JAN MIODEK:

– Moją ulubioną gwarą śląską jest właśnie mowa tamtych [Cieszyn, Pszczyna – przyp. red.] stron, w ogóle południowego Śląska. Ona jest najładniejsza melodycznie, najbardziej archaiczna, staropolska. To jest polszczyzna Reja i Kochanowskiego – jak mawiał Aleksander Brückner.

Śląsk Nr 6/96

ców związanych z Uniwersytetem Śląskim, Uniwersytetem Ekonomicznym, Akademią Muzyczną i Akademią Sztuk Pięknych w Katowicach, twórców teatru, filmu, kompozytorów i wielu innych. Zawsze pytałiśmy o Śląsk – z perspektywy problemów socjologicznych, edukacyjnych, rodzącej się samorządności, podejmowaliśmy dyskusje o bezrobociu, losie śląskiego górnictwa, o regionalizmie, o stanie rodzącej się

naczelny, Feliks Netz – zastępca redaktora naczelnego (do 2014), Wiesława Konopelska – sekretarz redakcji, Krzysztof Karwat (do 2010) – dział kulturalny, Marian Kisiel (do 2002) – dział krytyki i eseju, Jan F. Lewandowski (do 2001) – dział społeczno-kulturalny, Wojciech Łuka – dział graficzny. W kolejnych latach byli z nami jako kierownicy działów: Marek Baster (2002-2004), Barbara Gruszka – Zych (2002-2006), Andrzej Kuśnierczyk (2000-2002), Stefan Szymutko (1999-2000). W 2004

dołączył do grona redakcji Bogdan Widera (dział społeczno-historyczny), a w 2010 roku Maria Sztuka (dział kulturalny), która od 2005 roku co miesiąc przygotowywała publikowany na łamach miesięcznika Wojewódzki Informator Kulturalny oraz opiekowała się i była współautorką cieszącego się dużą popularnością cyklu tzw. „Zwiadów kulturalnych”.

WOJCIECH KILAR:

– Żyjąc wśród ludzi potwornie ciężko i z takim poświęceniem pracujących, chwilami czuję się wręcz upokorzony, że sam robię coś tak niepotrzebnego. I dlatego muszę pisać tak, aby ludzie słuchając moich utworów, stawali się choć trochę lepsi (...) właśnie Śląsk tej odpowiedzialności artystycznej mnie nauczył.

Śląsk Nr 4/98

autonomii i o śląskości, o środowiskach twórczych i młodoliterackich, prowadziliśmy sondaż artystyczne, szukaliśmy odpowiedzi na pytania o tożsamość, rozmawialiśmy o architekturze i organizacji przestrzeni miejskich.

Trzeba jednak, mówić o piśmie jako całości tekstowo – graficznej, przywołać nazwiska wybitnych fotografów, z którymi mieliśmy i nadal mamy przyjemność współpracować. Ich prace nieraz znaczą więcej aniżeli wiele zapisanych stron, są komentarzami bądź rozszerzeniem podjętej myśli, chociaż często po prostu znakomitą ilustracją reportażu czy tekstu publicystycznego. W tym gronie stale obecni byli najwybitniejsi: nieżyjący już Bogdan Dworaczek i Stanisław Gadomski, Józef Wróbel, są: Bogdan Kułakowski, Stanisław Jakubowski, Zbigniew Sawicz, Arkadiusz Gola, Arkadiusz Ławrywaniec, Krzysztof Lisiak i Tomasz Zakrzewski. To prawdziwi artyści i mistrzowie obiektywu. Obok fotografików swoje miejsce mieli i mają rysownicy: Eugeniusz Rzezucha i Marek Polański, potem Marek Michalski i Henryk Bzdok. Rysowane anegdoty z ciętym komentarzem bądź obrazy refleksyjne to dziś bezcenny skarb, a ich twórcy są na przysłowiową wagę złota. A cóż dopiero, kiedy – jak Henryk Bzdok – okazują się również gawędziarzami przechowującymi w pamięci obraz życia artystycznego Katowic, jakiego już dziś nie ma, a już rzadko kto pamięta.

I jeszcze ktoś – grafik Wojtek Łuka – autor winiety i – jak to się dziś mówi – layout’u pisma, ilustrujący od 20 lat swą charakterystyczną kreską poezję i prozę. Tych prac zapewne nabierało się co najmniej kilkaset, jeśli nie więcej.

W redakcyjnej stopce

Pisząc o 20-leciu nie sposób pominąć redaktorów – kierowników działów, którzy związani byli ze „Śląskiem”. Pierwszy skład redakcji był następujący: Tadeusz Kijonka – redaktor

HENRYK MIKOŁAJ GÓRECKI

Z okazji przyznania Orłów Śląskich z okazji 10-lecia „Śląska”:

„Drogi! Kochani!”

SBardzo i tu bardzo cieszyłem się na spotkaniu ORŁÓW ŚLĄSKICH: kasie spotkanie z tym reprezentantem naszego Kraju – jest i spotkaniem baro urozmaicajonym. To MASA – gawędziarstwa / której słuchanie najładniej / faktycznie mogłem – choć tylko tymi ekonomicznymi spotkaniem. Słucham i będę słuchał do końca moich dni – Ktośby Też chyba mógłby nie wyrażać się!

Ale było z tym, sentymentalnie – i tak – do końca, melodie.

Dziękuję za ORŁA. Dobrze uważać – straż i przypominać: Śląsk – Ślęsko – to so.

Chociaż cięko starawę, desławe i scharowawę nie pozwoliło mi na pójście – to jednak I u c h E H iestem – będę z WAMI.

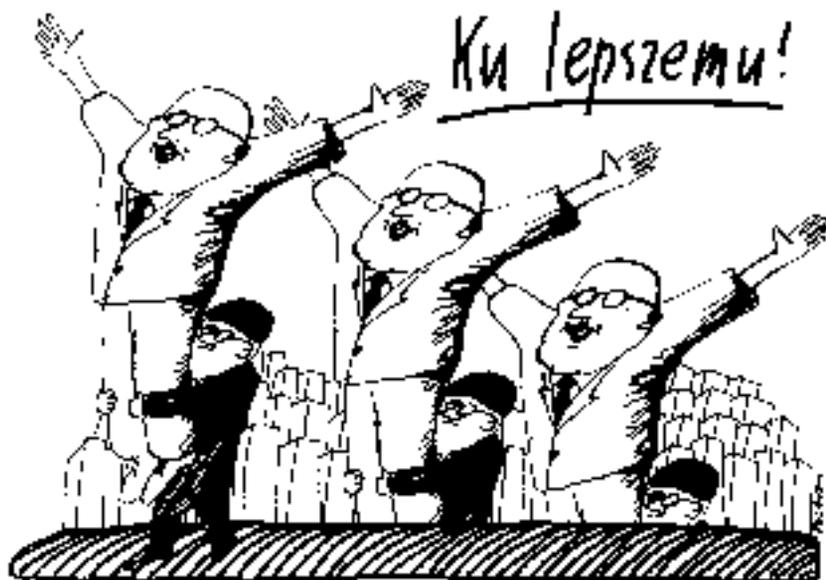
Dziękuję!!!
Henryk Mikołaj Górecki

28.6.2005.
Śląsk Nr 1/06

polska, która równocześnie od października 2014 roku jest zastępcą redaktora naczelnego.

Nie możemy nie wspomnieć o osobie, która swoim czujnym okiem, z dużym znanstwem, pochyla się nad wszystkimi tekstami: z wielką pasją czyni to Irena Falkin-Sibiga, wcześniej wspomagana przez Annę Strumiłowską.

CÓż zatem można robić w tak – naszym zdaniem – doborowym zespole? Ano, tylko wraz z Wydawcą – Górnos Śląskim Towarzystwem Literackim i jego prezesem Tadeuszem Siernym oraz Honorowym Przewodniczącym GTL-u Tadeuszem Kijonką, a także Współwydawcą – Biblioteką Śląską i jej dyrektorem prof. Janem Malickim, przy wsparciu znakomitych autorów, liczących (oby!) i hojnych mecenasów i sponsorów i – najważniejsze – coraz liczniejszego grona czytelników – prowadzić pismo – tu posłużę się rysowanym cytatem Marka Polańskiego sprzed 20. lat! – „Ku lepszemu!”



Rys. Marek Polański



„Przez nie będę miał sławę u ludzi, i uczczenie młodych od starych. I będę ostry w rozsądku, i u możliwych dziwny. I przez nie mieć będę nieśmiertelność i pamięć wieczną.”

(Piotr Skarga)

O dziwności uniwersytetu

RYSZARD
KOZIOŁEK

11 października 2014, na pięknym dziedzińcu Politechniki Warszawskiej odbyło się kolejne rozdanie „diamentowych grantów” – najwyższej nagrody, jaką otrzymać może w Polsce wybitnie uzdolniony student, który ukończył trzeci rok studiów. Około trzystu zgromadzonych tam studentów i doktorantów z całej Polski, to – bez wielkiej przesady – elita przyszłej polskiej nauki, a wielu z nich będzie też decydować o rodzaju i badaniach naukowych, a nawet o kształcie całego szkolnictwa wyższego.

Na konferencji „Zawód naukowiec” zorganizowanej przy tej okazji przez Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego, można było posłuchać, co myślą o polskim życiu naukowym najwybitniejsi młodzi naukowcy, tzw. Ambasadory Nauki. Ich reprezentację stanowiła czwórka utytułowanych już, mimo

młodego wieku, badaczy: archeolog, chemiczka, onkolożka i fizyk. Swoje cele badawcze oraz przeszkody stojące im na drodze prezentowali w obecności pani minister i zgromadzonych. Choć każdy z dyskutantów eksponował inny aspekt problemów, jakie ma badacz w Polsce, to wszyscy zdawali się być zgodni, co do następujących potrzeb: 1) niezbędne jest więcej pieniędzy budżetowych na naukę; 2) brakuje przedsiębiorców, którzy chcieliby wdrożyć osiągnięcia polskich badaczy; 3) doskwiera im archaiczna organizacja pracy naukowej; 4) brakuje swobodnej wymiany międzynarodowej; 5) niektórzy potrzebują też studentów, ale raczej tych dobrych, którzy byłiby kandydatami na członków zespołów badawczych.

Jedna potrzeba, której wyczekiwałem najusilniej, nie została wypowiedziana

podczas całej rozmowy. Otóż nie dowiedziałem się do czego mianowicie potrzebny jest im uniwersytet? Czekalem, choć raczej się jej nie spodziewałem. Nie dziwi mnie bowiem szczególnie brak tej refleksji u najzdolniejszych naukowców młodego pokolenia, ponieważ działają oni coraz częściej w ramach wyizolowanych jednostek i zespołów badawczych, które – w ich mniemaniu – funkcjonowałyby efektywniej bez dydaktycznych obciążeń, uwolnione od kolektywnych rytuałów wspólnot akademickich. Zresztą, niezwykle wysoki poziom specjalizacji ich prac naukowych nie pozwala zwykle na wprowadzenie ich w regularne kształcenie studentów.

Niestety, skutkiem nieobecności uniwersytetu w kształceniu badaczy jest zjawisko naukowej ograniczoneści. Objawia się ona ostrym kontrastem między bardzo wysoką wiedzą i kompetencjami badacza w obrębie uprawianej dyscypliny a jego intelektualną mizérią, jeśli idzie o rozumienie np. społecznych i politycznych konsekwencji uprawianej profesji. Niemal zawsze naukowej ciasnocie towarzyszy niewiedza, lekceważenie lub pogarda dla innych dyscyplin, niż uprawiana przez siebie. Tymczasem zawód akademika zyskuje doskonałość, kiedy towarzyszy mu powołanie do zajmowania się także problemami innymi, niż jego własne – tak naukowymi, jak i społecznymi i politycznymi.

Widziałem więc w oczach i słyszałem w słowach młodych luminarzy polskiej nauki wypełniających dziedzińiec Politechniki tęsknotę do efektywnej selekcji: kandydatów na studia, studentów, doktorantów, samodzielnych badaczy, ich metod, tematów, finansowania. Re-

prezentowali oni pożądaną dziś typ badacza, o którym Dominik LaCapra pisze, że to naukowiec „biegły w administracji, zawsze w toku wdrażania jakiegoś nowego planu lub akademickich ustaleń, i ciągle w ruchu. To wysocy rynkowy towar, który zdobył wiele grantów i pożądaných stypendiów; często zmienia stanowiska [...], i ma życiorys rozmiarów przeciętnej książki telefonicznej. Będący na czasie globtroter wydaje się egzystować w superprzestrzeni między deleuzjańskim pomadą a dyrektorem wykonawczym Reeboka” (*Uniwersytet w ruinie?*, przeł. K. Bojarska).

Wbrew ironii LaCapry trzeba pamiętać, że nie jest to bynajmniej bohater lansowany wyłącznie przez biznesowo nastawione uniwersytety amerykańskie, ale promowany również na polskich uniwersytetach publicznych. W opozycji do niego jest „lokalny bohater”, zaangażowany i oddany własnej wspólnocie akademickiej, gardzący neoliberalnymi tendencjami w nauce i kształceniu. Oczywiście oba typy są skrajne, ale obrazują dobrze rozdarcie dzisiejszego świata akademickiego na model korporacyjny i solidarnościowo-kolegialny (LaCapra). Tkwimy w środku tej dychotomii, a podsycanie konfrontacji przez media nie przyniosło, jak dotąd, rozwiązania. Niewątpliwie uniwersytet musi brać odpowiedzialność za użyteczny związek badań i nauczania z rzeczywistością społeczną i zawodową poza murami akademii. Nie wolno mu jednak przekształcić się w biznes, gdzie jego główny beneficjent (społeczeństwo) zostanie wyłącznie definiowany jako klient, płacący podatkami za usługi. Gorączkowo oczekiwania, aby uniwersytet dostosował się do rynkowych realiów kłóć się z utyskiwaniem przedstawicieli środowisk gospodarczych, że absolwenci są coraz gorzej wykształceni w zakresie ogólnej wiedzy o świecie i jego funkcjonowania.

Zdecydujemy się zatem, czy pożądaną są wyłącznie wysokiej klasy specjaliści, czy też również mocno zależy nam na kształtowaniu osobowości uniwersyteckiej, a więc ludzi zdolnych do rozumienia innych oraz działania na rzecz wspólnot. Trwała konfrontacja tych modeli jest zresztą szkodliwa i należałoby raczej pytać, jaka forma połączenia tych dwóch modeli pozwoli najlepiej realizować podstawowe zadania uniwersytetu: badanie, nauczanie, usługi oraz połączenie nauki z pedagogiką dla kształcenia obywateli zdolnych do intelektualnego zaangażowania w sferę pozaakademicką, np. społeczną i polityczną.

Przyczyny naszych wewnątrz akademickich dylematów nie tkwią wyłącznie w przemianach systemowych kształcenia wyższego w Polsce. Nie ma wątpliwości, że zmienił się model wiedzy, która dziś w znacznej mierze jest w dyspozycji technologii, a nie uczonej jednostki czy nawet zespołu uczonych. Dziś student ze smartfonem w rękę przyłapie każdego profesora na części-

wej choć niewiedzy o jego własnym przedmiocie. Dodajmy do tego niezwykle dynamiczny rozwój form kształcenia interaktywnego dzięki sieci, a stopniowo może nam zacząć świtać myśl nie tylko o kryzysie, ale wręcz o schyłku uniwersytetów. W takim post-universyteckim świecie istniałyby z jednej strony najlepsze, szczodrze finansowane instytuty badawcze, np. KNOWy (Krajowe Naukowe Ośrodki Wiodące), z drugiej MOOCsy (Massive Open Online Courses) oferujące wykłady, ćwiczenia i seminaria, w których mogliby uczestniczyć studenci ze wszystkich stron świata, bez ruszania się z domu. Garstka najlepszych, po odpowiednich testach, dołączyłaby do zespołów badawczych. Prawda, jakie proste i efektywne?

Szczęśliwie, póki co, to niemożliwe, a uniwersytet wciąż nie jest jeszcze aplikacją na komórkę. Dziesiątki tysięcy młodych ludzi studiuje na Uniwersytecie Śląskim i na innych wyższych uczelniach nie tylko po to, aby otrzymać dyplom. Dla części z nich (wierzę, że sporej) zmiana dostępu do wiedzy uczyniła uniwersytet jeszcze bardziej istotnym. Kandydaci na studia wiedzą lub tylko wyczuwają, że neo-encyklopedyczny ogrom informacji jest niefunkcjonalny, że prowadzi do historii i melancholii spowodowanymi nadmiarem informacji. Dostęp do „faktów”, których znaczeń (funkcji, celowości, możliwości adaptacji, itp.) nie znamy, pogrąża nas w chaosie, z którego prowadzi prosta droga do upraszczających ideologii lub teorii spiskowych niosących ulgę zmęczonemu umysłowi. Początkiem dobrego nauczania jest pozbawienie wiedzy statusu informacji, którą można sobie doraźnie aplikować. Stąd, może nigdy dotąd tak ważna w nauczaniu nie była bezpośrednia relacja z nauczycielem, którego rolą nie jest weryfikacja internetowej wiedzy, ale wspólne z uczniem studiowanie nowych lub nierozwiązanych problemów. Taka wiedza nie jest nigdy zewnętrzna wobec nauczyciela i ucznia. Jak podkreślał Levinas, „mistrz – zjednoczenie nauczania z nauczającym – nie jest żadnym faktem. Obecność mistrza, który uczy, pokonuje anarchię faktu”. Realność nauczania uniwersyteckiego stoi w opozycji do wirtualności komunikacji sieciowej, która nie stawia oporu naszym myślom, ani sądom. Nauczyciel opiera się egotystycznemu „Ja myślę” ucznia; odwieka tę formułę do momentu, kiedy uczeń podejmie próbę zrozumienia, co myśli inny. Ale też uczeń zmusza nauczyciela do wykazania, że warto poświęcić czas i wysiłek dla myślenia i pracy nad zrozumieniem tego, co dawne lub inne.

Uniwersytet to dziwne miejsce. Nieustannie, intensywnie tasuje się tam nowe z dawnym. Nowe żąda, aby dawne ustąpiło mu miejsca – w spisach lektur, kanonie wiedzy, składach osobowych instytutów, katedr i zakładów, przydziale środków na badania. Dawne,

z kolei, nie chce być starym, minionym, anachronicznym. Broni swego trwania w polu wiedzy aktualnej i użytecznej domagając się statusu „klasycyzmu”, tzn. przekonując, że wiedza i sztuka przeszłości, które wyrwały się z objęć historii są równie niezbędne w kształceniu uniwersyteckim, co metody i efekty badań najnowszych. Upieramy się więc, że Kochanowski i Darwin, Szekspir i Einstein należą wciąż do **przyszłości**, a więc każde nowe musi się z nimi liczyć i zrobić im miejsce. Jeszcze większą dynamikę w świat uniwersytetu wprowadzają studenci. W coraz krótszych interwałach bolońskich, trzy lub dwuletnich, stykają się, mieszają, konfrontują się z nami kolejne roczniki młodych ludzi. Oni jeszcze bardziej ekspozują dziwność uniwersytetu. Czekamy na nich i potrzebujemy ich innej wiedzy lub innej niewiedzy; oczekujemy, żeby byli inni, niż my – teraz np., żeby znali języki, nowe technologie i byli otwarci na świat. Ale w tym samym momencie żądamy uznania tradycji, studiów historycznych, ryzyka bezinteresownego poznawania. Wydaje się to sprzeczne, a w najlepszym razie zapowiada wspólnotę agoniczną, trawioną – niech będzie – konstruktywnymi konfliktami, które poprzez konkurencję uczonych miałyby rozwijać badania i nauczanie studentów. Słowem, nowe powinno wyprzeć stare oraz dokonywać systematycznego sprawdzania, czy przypadkiem klasyczne nie jest li tylko nobliwą fasadą nieaktualnych rupieci.

Czy nie jest to nazbyt idealna wizja studiowania w dzisiejszym kształceniu masowym, a tym bardziej w jego wirtualnej odmianie? Niewątpliwie, dostrzegamy deficyt relacji personalnych w edukacji wyższej, ale czasem wystarczy to jedno pytanie, aby mogła się ona narodzić, a myślenie zacząć się od nowa. W powieści Teodora Pamickiego pt. *Koniec „Zgody Narodów”* jest scena, w której bohater idący na śmierć wypowiada słynne zdanie Protagorasa: „Człowiek jest miarą wszechrzeczy”. Wówczas towarzyszącą mu strażnik wygłasza jedno w całej powieści pytające zdanie: „Tak, ale który, o panie”. Zadając takie lub podobne pytanie student poddaje w wątpliwość wiedzę mistrza, a ten jest mu za to wdzięczny i nagradza najwyższym stopniem. Dziwność uniwersytetu polega na pokojowym połączeniu szacunku dla tradycji i gotowości zaczynania myślenia od nowa. Wartość uczelni publicznych polega na ich zobowiązaniu do zachowania równowagi między pragmatyzmem badań i kształcenia a powołaniem do bezinteresownego poznawania.

Ryszard Koziółek, profesor UŚ, literaturoznawca, prorektor ds. kształcenia i studentów Uniwersytetu Śląskiego.

JERZY LUCJAN WOŹNIAK

Wiersz przychodzi

krząta się

*wije
w tobie gniazdo*

*drugi dom odskocznię
milczą skrzypce*

*przylatuje właściwy ptak
czujesz się sobą*

*z postrzępionych obłoków
spływa zagadkowa melodia*

*gniazdo ożywa
wykluwają się ptaki
rosną zaczynają latać*

*odlatują już nie twoje
z klangorem który nadal trwa*

drzemie

*niekiedy wraca
jak ozdowieńczy deszcz*

Wspomnienie

*w zielonym płaszczu
od najmodniejszego krawca
poszedł prosto na dworzec
czekał na ekspres –*

*pamięć
pachniała panującą wiosną
myślał i marzył
pociąg przyjechał jakby pusty*

*gdy tych dwoje
upojnie wtopiło się w siebie
w geście powitania*

zrozumiał wartość swojego wspomnienia



Rys. Wojtek Łutka

Światło i ciemność

*umieranie jest ciężkie
najcięższe ze wszystkiego
nie ma porównania do męki
niedotlenionego biegacza
wysiłku boksera na ringu*

*wielka ciemność i codzienne
widzenie światła –
prerażający kontrast między nimi
boli jak żołnierz w okopach konający
w zgrzyocie przegranej*

*gdy odejdzie to światło
oczy sierotami nie do wyobrażenia –
ich martwość ma szczególnie wymiar
jak zasypany z obu stron
tunel pod wielką górą*

*wizja zupełnej ciemności zmusza
do pokory trwogi
ciągłego nawrotu opętającej myśli
bezwzględny koniec*

Chaszczę

*jakbym był w objęciach brata
gdy wchodzę do lasu*

*bezkres trwania chwiejba drzew
przypomina mi morze*

*leżąc na polanie
poprzez korony drzew
patrzę
na przepływ i taniec chmur*

kukulka przywołuje rzeczywistość

*idę wśród chaszczy
czepiam się
są przedłużeniem ramion
głaszczą po twarzy*

*na skraju pełny podziwu
mądrzejszy
idę w śmiejące się słońce
po raz setny
a wciąż pierwszy*

Poza ogrodę

*spłynie na ciebie z którymś świtem
lub z którymś cierpieniem
światło wyrażania siebie
i upłynie jeszcze trochę czasu
nim zrozumiesz na czym polega –
będzie lekarstwem podnoszącym z kolan*

*ani pomyślisz że masz być sobą –
bo będzie w tobie jak krew i myśl
a nawet na tobie jak rzep
wczepiony w sztruksową kurtkę
łagodzący strach
przed upływającym czasem*

*gdy te ogrody za tobą –
cierpkie czasem rodziły owoce –
rozpoznasz fałszywą lżę
co w twoje życie spadła
chcąc odebrać mu możliwość
błysku*

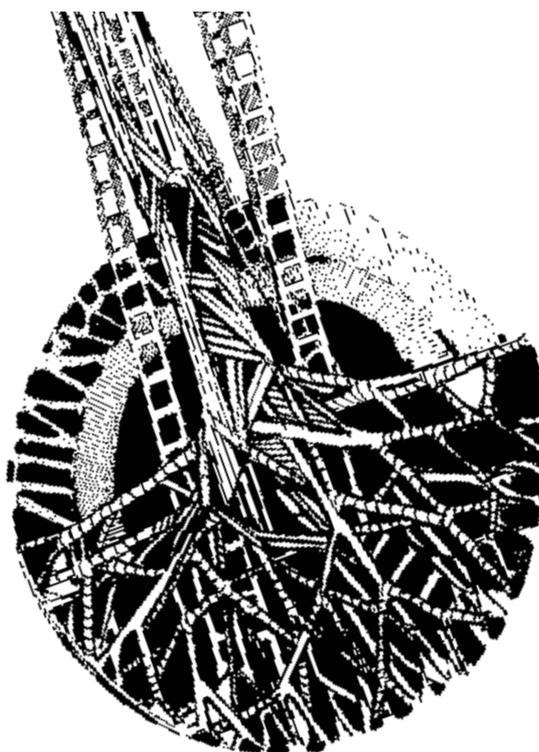
Moje miejsce

*jest miejscem
często dla mnie niezrozumiałym*

*znajduję je na wietrze
w tańcu z gałęziami drzew
zapasach z czasem
w wylocie ulicy gdy sanitarka
wyje jak zarzynana świnia*

*na samym dnie w sobie
poniżej rozpaczy ponieważ wiem
że moje ciało jest mało warte jak
zamknięcie oczu jedno z miliardów
błysk burzy*

*wtedy jadę do odległego lasu
rozmyślając nad sobą
turkot pociągu mi nie przeszkadza
bo już wchodzę w ciszę i zrozumienie
już się pławię w elastyczności
poddających się wiatrowi drzew –
migających za oknem –
już chłonę ciszę we mnie
jak wielką poezję*



Rys. Wojtek Łuka

JERZY LUCJAN WOŹNIAK

Od Redakcji

Co stało się z Lisą Heilman z Florydy, która kilkanaście lat temu szukała na Górnym Śląsku swoich korzeni (o tym pisał „Śląsk” nr 2/2002 i 2/2003)? Co u niej słychać? Opowiemy o tym w trzech najbliższych numerach piórem Grzegorza Sztolera. I będzie to ostatnie nasze spotkanie z tą przesympatyczną, 57-letnią Amerykanką. Dlaczego? Odpowiedź poniżej...



Chuck Davidson, Lisa Heilman i moja żona Urszula (w środku). Rok 2006, Pszczyna, tuż przed wizytą u 80.kilkuletniej Marii Flak, odnalezionej krewnej Lisy.

Liso, wróć do krainy kwiatów

Tekst i zdjęcia:
GRZEGORZ
SZTOLER

Właściwie to nie wiem jak zacząć. Mógłbym zamieszać, unieśmiertliwić Lisę, sprawić, by żyła zawsze... Zresztą poniekąd tak jest – często o Niej myślę, jak i o naszych rozmowach. Zwłaszcza ta jedna mogłaby stanowić punkt odniesienia. Savannah, wieczorem, przy basenowym hotelu, z piwem, tylko ja i ona, rozmawiamy – o wszystkim. O Śląsku, Polsce, Ameryce, naszej znajomości, przyjaźni, co robimy teraz, co będzie potem – o wszystkim. Tematy się toczą, a my rozumiemy się bez słów. Rozmawiamy, milczymy jak trzeba, cieszymy się każdą chwilą naszej obecności. Nie wiemy, że ostatnią. Nie wiemy tego, nawet o tym nie myślimy, nie przypuszczamy. To nam nawet nie przychodzi do głowy. Nie mogło przyjść, bo zdawało się niemożliwym. A jednak...

To było lato 2012. I nasza druga wizyta w Stanach. Pół roku później Lisa odeszła. Nagle.

Czemu stało się to w moje imieniny? 12 marca 2013, kpina losu chyba, Lisa odeszła w moje imieniny.

I dotąd nie mogę uwierzyć w to, że Lisy nie ma, że Lisa zmarła. Nie wierzę w to. I nie uwierzę nigdy. Dla mnie Lisa i Chuck żyją dalej. Razem. I tak ich chcę zapamiętać. Właśnie idziemy, jedziemy na plażę...

Słoneczną plażę w Daytonie.

Korzenie

Lisy Heilman, czyli Elisabeth Ann Heilman, Amerykanki ze słonecznej Florydy sięgały Pszczyny. Pisałem o tym wielokrotnie (i na łamach „Śląska”, w „Dzienniku Zachodnim”, i mojej książce „Ścieżki śląskie”). Poznałem ją na zamku w Pszczynie, w 2000 roku, w tutejszym archiwum – gdy usiłowała odnaleźć informacje o swoich przodkach. Traf chciał, że się tam znalazłem i poznałem Lisę z towarzyszącym jej w tych poszukiwaniach mężem Chuckiem Davidsonem, potomkiem Indian i szkockich osadników. Prosto z zamku przyjechaliśmy z Amerykanami na „mój plac”, jak

to wspomina moja żona Urszula, a dla naszych gości znalazł się przysłowiowy „garniec ślonskiego żuru”. A potem ruszyliśmy po okolicy, by zgodnie ze wskazaniem pani Marty z pszczyńskiego archiwum, rozpytać o okolicznych Gacków, o ich przeszłość.

Te poszukiwania dały częściowy efekt i sprawiły, że Lisa rozkochała się Pszczynie. Bo stąd pochodziła jej prababka Bibiana Gacek, która pracowała w zamkowej kuchni u pięknej księżny Daisy. Proszę sobie wyobrazić, że przez lata Lisa karmiona była opowieściami o przepięknym mieście „mieście Pless” położonym gdzieś na Śląsku. Kiedy dodawała, że prawdopodobnie to cudowne miejsce leży niedaleko Auschwitz, jej amerykańscy słuchacze zawsze wyrażali współczucie, bo byli pewni, że przodkowie Lisy zginęli w obozie koncentracyjnym.

Lisa była oczywiście i w Oświęcimiu, i w Katowicach – gdzie chciała kupić bilet kolejowy do miejscowości Pless. Niestety, żadna kasjerka nie wiedziała, o co jej chodzi. Ta wędrownica we mgle historii nabrała tempa już w Pszczynie, po objechaniu okolicznych wsi, probostw, poszukiwaniach w ćwiklickich metrykach. Wertowaniu ksiąg i kronik, wszystkie te elementy zaczęły się powoli układać i zyskałyśmy pewność, że Lisa jest pszczynianką – po prababce.

A po artykule w pszczyńskim tygodniku „Dziennik Zachodni”, w 2002 roku, udało się odnaleźć żyjącą krewną Lisy, jej ciotkę Marię Flak i doprowadzić do wizyty. To był prawdziwy przełom. Lisa, a także jej krewny Swen, usłyszeli kilka interesujących historii rodzinnych.

A moja przyjaźń z Lisą trwała w najlepszym. Mieliliśmy plany, z których na szczęście część udało się zrealizować. W 2006 roku gościliśmy ich po raz ostatni, Lisę i Chucka, u siebie. Dwa lata później Chuck umiera. To był cios dla Lisy. Przystała mieć ochotę na jakiegokolwiek wojażę. Została sama na Florydzie.

Chociaż nawet tam w Daytonie miała oddanych ludzi. Miała to szczęście. Czy to sąsiad, który gadał o końcu świata, Larry, ale trawę przystrzygł i domu upilnował. Czy to jedna z przyjaciółek, której Lisa powierzyła wykonanie swojej ostatniej woli...

Kiedy byłem tam w 2012 roku, nie sądziłem, że ta nasza przyjaźń skończy się tak nagle. 57-letnia Lisa, pielęgniarka z zawodu, szukała co prawda nieustannie pracy [a namiętny pałac ma zawsze z tym pewne trudności], ale wydawało się, że odżyła w niej dawna pasja. Chęć do życia. Zwiedziliśmy Charlestone, Savannah, Orlando i leniuchowaliśmy na pięknej plaży w Daytonie. I rozmawialiśmy wieczorami o wszystkim i o niczym. O Pszczynie też...

To się już więcej nie powtórzy.

Kochana Liso,

Jeśli teraz przyjechałabyś do Polski, zastalabyś śnieg i mróz. Ponieważ lubisz cieplejsze klimaty pewno święta spędzisz jak zwykle zbierając muszle nad zatoką meksykańską.

U nas w Polsce od początku grudnia jest śnieg i mróz. I jeszcze do tego mgła, drogę którą pokonuję zwykle w 20 minut, wczoraj jechaliśmy blisko godzinę, bo były mgły i ślisko. A to tylko 20 kilometrów. Jechaliśmy na urodziny mojego taty.

Jeszcze w listopadzie walczył o życie. Trafił do szpitala w Tychach na oddział intensywnej terapii, przez kilka dni leżał w śpiączce, ale cudem się obudził. Ordynator mówił, że to zdarza się raz na milion. I do końca nie wiedzą, co się stało. Najpierw mojego ojca lamano w kościach, następnego dnia temperatura, a potem stracił przytomność. Trafił z podejrzeniem zawału, ale to na szczęście wykluczyli. Nie pracowały w ogóle organy – wątroba, nerki, traciliśmy nadzieję. I nagle cud, wszystko zaczęło „pracować”, wyniki się poprawiły, a ojciec następnego dnia już się wybudził. Twierdzi, że widział jakieś anioły, bardzo kolorowe, intensywnie. Nie pamięta nic z tego, co się działo, od kiedy zaczął tracić przytomność.

Tak więc była okazja, żeby wypić zdrowie ojca, jak to w tradycji u nas i chyba wszędzie w cywilizowanych krajach jest. Mamy się z czego cieszyć. Zamieściłem nawet w gazecie podziękowania dla szpitala, jego pracowników za uratowanie życia i pomoc mojemu ojcu.

Amelia chodzi do pierwszej klasy szkoły podstawowej. Przed wakacjami, jak wiesz, za bardzo nie chciała o tym słyszeć, byliśmy więc pełni obaw, ale po wakacjach „przejście” do nowej rzeczywistości okazało się nie tak bolesne, jak się wszyscy baliśmy. Nowi koledzy, koleżanki. Klasa zaledwie dziewięcioosobowa. W całej szkole jest 56 dzieci. Warunki wymarzone, rodzinna atmosfera. Amelia umie już czytać, gorzej z pisaniem, więc właściwie wszystko jest na właściwej drodze. Mimo to potrafiła się zgubić nauczycielom już drugiego dnia pobytu w szkole, bo poszła zbierać stokrotki. To jej hobby i trudno jej było wytłumaczyć, że w zimie ich nie będzie, bo wywołuje to jej protesty, jest niestety, uparta.

Poza tym wszystko po staremu. Moja Ula dalej jeździ do szkoły w Pszczynie, tam uczy w gimnazjum i liceum. Przygotowywanie się codzienne do lekcji zajmuje jej trochę czasu. A z Amelią regularnie jeździć trzeba po lekarzach i na różne zajęcia. Ale jest efekt. Jest zdolnym dzieckiem, choć trochę „artystycznym”, niepasującym do utartych standardów edukacyjnych i społecznych. Ale utalentowana muzycznie, lubi tańczyć i śpiewać, z niesamowitą pamięcią do języków [świetnie łapała angielskie zwroty u Ciebie, zresztą uczy się tego języka w szkole]. I jest bardzo gadliwa, dociekliwa, jak coś ją zaciekawi to pyta i drąży.

U mnie bez zmian, pracuję w archiwum mojej gazety, najczęściej przy komputerze, czasami wyjmuję tylko stare gazety redaktorom. I piszę też dalej reportaże do miesięcznika „Śląsk” w Katowicach. Tęskniemy za Daytoną, tym spokojem, pięknymi plażami i dobrym amerykańskim jedzeniem

Amelia, gdy ją pytamy, chce jechać do Ameryki, do ciebie. Marzy o plaży, zabawie w oceanie...



Naprawiam Lise kolo, czyli rower na którym dojeżdża na plażę...

Śledzimy wszystko co mówią w telewizji i Internecie o wydarzeniach w Ameryce, o wyborach prezydenckich, kataklizmie, który sparaliżował Nowy Jork, a wzburzona woda morska pozbawiła prądu i dachu nad głową mieszkańców. Mamy nadzieję, że to co złe już poza nami, że przyszły rok będzie spokojniejszy. Życzymy sobie tego, po co nam kataklizmy, wojny. Lepiej żyć w pokoju, spokojnie, dla naszych dzieci – bo co po nas zostanie?

A co tam u Ciebie? Co w pracy, jak Ci idzie? Czy dobrze trafiłaś? A jak się sprawuje samochód i rower? A jaka pogoda jest w Daytonie? Czy świeci słońce? A może pada deszcz?

Życzymy Ci Lisa, spokojnych, zdrowych Świąt

Pozdrawiamy serdecznie

[Nasz ostatni list do Lisy, święta Boże Narodzenia 2012]

Lisa z krainy kwiatów. Na tropach tajemnic (lato 2012)

Zacząło się jak zwykle, od niespodzianki. Kiedy wylądowaliśmy w Orlando, utkwiliśmy w „samolotowym” korku, a naszej przyjaciółce Lisie na pięć mil przed lotniskiem zepsuł się samochód.

Pocziwa, dziesięcioletnia Honda po prostu się przegrzała. Zadymiło, coś trzasnęło w silniku, i jak relacjonowała mi Lisa przez telefon, samochód stanął przy „hąleju”, czyli autostradzie. Zupełnie jak dziesięć lat wcześniej, kiedy gościliśmy na Florydzie, a samochód, w samo święto dziękczynienia, w lipcu, odmówił posłuszeństwa na pełnym pustkowiu. Co jest grane, zachodziła w głowę naszą przyjaciółka, czemu znów nas coś przesładuje?

Ale nie ma złego co na dobre by nie wyszło. Nasza Lisa, należy do pokolenia przedsiębiorczych i upartych Amerykanek, więc po niespełna godzinie dysponowała już nowym „carem”, dodgem, tymczasowo wypożyczonym z przylotniskowej wypożyczalni. A my mężczyliśmy się jesz-

cze w kolejce do checkpointu, ale szczęśliwie i tu, po godzinie czekania w kolejce, przepuścił [a wcześniej życzliwie wyłowił] czarnoskóry strażnik. Dzięki temu byliśmy przynajmniej o kolejną godzinę do przodu.

Po północy, wyczerpani, dotarliśmy do Daytony Beach, miejsca zamieszkania naszej przyjaciółki, Lisy Heilman, którą poznaliśmy podczas szukania śląskich przodków w pszczyńskim archiwum. My, czyli ja i moja ślubna, Ula, a teraz jeszcze w naszej podróży towarzyszyła nam dzielnie nasza sześciolatnia córka Amelia, która zauroczyła Lisę. Ostatni raz, widziała ją równo pięć lat temu, a więc bodaj w 2006 roku Lisa, wtedy jeszcze z mężem Chuckiem [który przywiózł jej tajemniczy turkusowy, indiański kamień]. Amelia była wtedy jeszcze małym dzieckiem. Teraz wyrosła z niej piękna, choć nieco uparta pannica...

W Daytonie Beach,

małym, amerykańskim domku z zielenią i patio nie zmieniło się wiele [poza przebudowaną kuchnię]. Lisa, jak mi się wydawało, chciała znów nas zobaczyć spotkać, i chyba przywołać dawne, odkurzyć nieco zapomniane chwile, choć czasu cofnąć się nie dało. Daytona Beach to bardzo popularne w Stanach miejsce, znane głównie z wyścigów samochodowych i przepięknych plaż. Dawniej, wyścigi odbywały się na plaży [teraz jest imponujący tor wyścigowy, a odgłosy ścigaczy niosą się po reszcie miesiąca], została po tym osobliwa pamiątka – na plażę można wjechać samochodem, za pięć doliców. Pilnował tego biznesu Barry, znajomy Lisy, a ona sama okazjonalnie samochód zostawiała przed szlabanem. Bo zwykle [przez resztę roku] dojeżdżała tu rowerem. Miała blisko, całkiem blisko. Mieszkała w części Daytony położonej między rzeką Halifax a Oceanem. – Jeśli ktoś pyta, gdzie w Daytona Beach żyje, odpowiadam „przy plaży” – podkreślała nieustannie Li-

sa. – I jestem bardzo dumna z faktu, że mieszkam tuż przy plaży.

Limuzyna hyundai benz

Naprawa samochodu Lisy okazała się nieopłacalna. Wycena dokonana przez serwis mówiła, że za mniej więcej tysiąc dolarów trzeba zdjąć pokrywę silnika, by sprawdzić, co jest do wymiany, i to jednak nie gwarantowało sukcesu. Należało wyłożyć kolejny tysiąc z hakiem, by sędziwa już limuzyna mogła ruszyć z miejsca, i to bez gwarancji, że w przyszłości, nawet niedalekiej sytuacja się nie powtórzy. I do tego dochodziło jeszcze to, że koszt tej całej operacji wynosił dokładnie połowę jego rynkowej wartości. Kilkunastoletnie hondy, skądinąd porządne, na chodzie, kosztowały równo pięć tysięcy dolarów. Uznaliśmy więc, że szukamy dobrego, używanego auta. Ale łatwo powiedzieć...

Przedmieścia Daytony pełne są salonów samochodowych, nowych i używanych, małych i wielkich placów, placyków, w których można się porozglądać. Nasze poszukiwania trwały trzy dni. Zaczęliśmy od niewielkiego placu na którym stało trochę przypadkowych olbrzymich amerykańskich ucisków, terenowych i limuzyn. Żadna jednak nie przypadła do gustu Lisie [która nieustannie pytała mnie o zdania], ale spotkania te były zawsze powodem, by się pochwalić [to czyniła Lisa], że jesteśmy z Polski, że jestem dziennikarzem, że napisałem o Lisie książkę i kilka artykułów. Po każdej wylizance, styszeliśmy typowe „wwwooooowww”, oznaczające zachwyt, podziw, które odwzajemnialiśmy kilkoma ciepłymi epitetami na temat Daytony, Ameryki i... pogody. Ale samochodu, który spełniałby wymagania Lisy, jakoś nie było...

W końcu trafił się Ford Taurus z 2002, starszy nieco od dotychczasowej limuzyny Lisy. Wzbudził zachwyt Amelki. Zakup był już niemal dogadany, po obowiązkowym objeździe. Sprzedawca miał zadzwonić jutro, gdyby pojawił się chętny. Lisa miała pierwszeństwo. Samochód, nieco używany, był przyzwoity, choć kosztował siedem tysięcy bugsów. Tyle musi, wzruszał ramionami sprzedawca, trudno znaleźć, przekonaliście się o tym sami, dobrą okazję poniżej dziesięciu tysięcy. Miał rację, krążyliśmy i krążyliśmy. Ale nie była to wersja ostateczna.

Wieczorem odkryliśmy w gazecie ogłoszenie o nowych kiahach za dziesięć tysięcy, postanowiliśmy sprawdzić okazję. Gazety jednak kłamią. Na miejscu okazało się, że owszem kia są, ale najtańsze idą za szesnaście. I mimo że kia była blank nowa, że zachwalał ją sprzedawca, że miała klimę i odtwarzacz cd, co zaimponowało Lisie, to jednak nie było to auto amerykańskie, w którym Lisa by się wygodnie czuła. Zrozumiałem to, gdy przebiegły sprzedawca zaproponował przejazdkę dostojnym lincolnem z olbrzymim powerem pod maską. Nasza Lisa była zauroczona, my zresztą też. Auto miało skórzaną wykończenie, było obszerne, jazda nim przypominała żeglowanie po oceanie, a nie przebijanie się przez jezioro kajakiem, niczym w ciasnej,



Ponownie plaża w Daytonie. Wypoczywa moja połowica z córką. Gdzie podziła się Lisa, znowu mi ucieka spod obiektywu.

topornej – mimo swej nowoczesności – łódzce typu kia. Niewątpliwie było to dobre auto na europejskie warunki, gdzie liczył się rozmiar auta [mały] i zużycie paliwa [też małe]. Amerykanie na to nie patrzą, chcą auta wygodnego, w nim bowiem spędzają połowę życia, nawet śpiąc [trudno się temu dziwić]. Nie istnieje dla nich ekonomia europejska, choć liczą się z kosztami tankowania. Ale gdzie tam przy naszych zarobkach ich oszczędność. Ich litr paliwa [przeliczam prowizorycznie z galonów], to cena litra gazu u nas, a więc mocno poniżej trzech złotych, to koszmarnie mało nawet dla nas. Ale koszty transportu są małe, i dzięki temu gospodarka się nie dusi tak jak w Europie, gdzie ponad połowa zawyżonej ceny benzyny to państwowe podatki. W Ameryce ceny są niższe, decydujący wpływ na ich wielkość mają nawet lokalne samorządy taksujące je odpowiednio w górę lub w dół.

Więc nie kia, i niestety, choć Lisa wdychała i zapewniała, że chętnie by go kupiła, jeśli nie teraz to w przyszłości, może niedalekiej, dla niej – czuliśmy to – lincoln był symbolem amerykańskiego mitu, sukcesu, a Amerykanie lubią symbole [szczególnie w czasach kryzysu]. Teraz jednak odkładała to wszystko na bok świadoma, że lincoln „lubi się napić”, więc jego utrzymanie sporo kosztuje. W odpowiedzi usłyszała od sprzedawcy, że może kupić dodga, ale Lisa nie chciała o tym słyszeć, dla niej to auto było zbyt tanie i zbyt, jak to zrozumieliśmy, powszednie. Taki motoryzacyjny „kundel”, Lisa zaś szukała czegoś extra...

Nazwę Floryda zawdzięczamy hiszpańskiemu podróżnikowi Juan Ponce de León. W 1513 roku, w samą Wielkanoc, wylądował on na wschodnim brzegu Ameryki, niedaleko dzisiejszego St. Augustine. Odkrywca nazwał to miejsce „La Floryda” ze względu na ogromną ilość cudnych, kolorowych i wszechobecnych kwiatów.

Czas mijał, a decyzji nie było. Lisa, i my z nią razem, czuliśmy coraz większy mętnik. Lisa chciała się w rozliczeniu transakcji, pozbyć zepsutego auta, i tego nie zapewniał jej sympatyczny sprzedawca oferujący taurusa. Jeździliśmy więc dalej i dalej [dosłownie], po Daytonie. Wreszcie trafiliśmy, choć początkowo nie było to takie oczywiste...

Najpierw oczywiście trafił nam się dziwny, zupełnie dziwny salon, w którym dystygowany starszy pan zapewniał nas, że zdradzi cenę, jeśli wsiądziemy, i przejedziemy się dowolnym carem. Nie mieliśmy aż tyle czasu, by bawić się w takie „zgadywanki”. Strasznie zirytowała nas ta forma sprzedaży, brak ceny i przebiegu samochodu na przedniej szybie. Odebraliśmy to jako lekceważenie klienta.

Zrezygnowani podjechaliśmy do następnego. I tu o niechcenia młody sprzedawca, niejaki Jack, zaoferował nam właśnie hyundaia sonatę, rocznik 2006, poniżej 10 tysięcy, z wzięciem w rozliczeniu starego auta Lisy, a dodatkowo zdaniu wypożyczonego, białego dodga. Kiedy strony się dogadały, a trwało to dosłownie pół godziny, trzeba było tylko... przepakować rzeczy. Lisa wreszcie była sobą, była zauroczona autem, zachwycona, że kilka problemów naraz spadło jej z głowy, choć wciąż zastanawiała się po cichu nad sensem zakupu [prosiła nas zresztą, byśmy na to uważali i odciągali ją od powzięcia pochopnej decyzji]. Ale nam również ten fioletowy samochód się spodobał, a urzekło nas to, Lisę szczególnie, że był... czysty, wychuchany wręcz. W środku i na zewnątrz, miał względnie mały przebieg, i co najważniejsze był poręczny, i wygodny. Lisa mogła spokojnie podłożyć torebkę obok siebie, a nie z tyłu, czego nie znosiła. I dotknąć kierownicy bez uczucia obrzydzenia. Sonata była zadbana, jej historia, którą wydrukował nam z federalnej bazy danych, również była spokojna. Mieliśmy chyba nosa.

(cdn.)

• *Pogranicze w Sejmie*

W Sejmie Rzeczypospolitej rozpoczęła się debata nad uznaniem Górnoszlązaków za mniejszość etniczną. Na marginesie tej dyskusji prowadzonej przy pustej niemal sali parlamentu pojawił się spór o regiony pogranicza kulturowego, w których ulokowały się mniejszości narodowe i etniczne. Regiony pogranicza kulturowego są wyraźnie obecne na mapie Polski i z całą pewnością należy do nich szeroko pojmowany Śląsk, rozciągający się między Zgorzelcem, Legnicą, Wrocławiem, Opolem, Katowicami a czeskimi Opawą, Krnovem i Cieszynem. Nie jest to oczywiście obszar wyjątkowy i do analogicznego miana pretendują Pomorze, Wielkopolska, Warmia czy Mazury. Szczególnym obszarem pogranicza kulturowego jest, a może raczej był, Górny Śląsk, definiowany jako część historycznego Śląska, obejmująca opolski, katowicki i czeski fragment regionu.

• *Matuzalem na Górnym Śląsku*

Regionom pogranicza kulturowego przypisać można wiele cech wyróżniających. Z całą pewnością należy do nich zmienna przynależność polityczna. Regiony pogranicza stawały się bowiem łupami, terytoriami zdobywanymi przez kolejne systemy państwowe. Śląsk należał w przeszłości do Państwa Wielkomorawskiego, Księstwa Czeskiego, Księstwa i Królestwa Polskiego, znowu Królestwa Czech, Królestwa Prus, Cesarstwa Niemieckiego i w końcu Polski i Czechosłowacji. Mówiąc inaczej, mieszkańiec regionu, w wieku matuzalemowym, nie ruszając się z miejsca byłby poddany licznym władcom wielkomorawskich, czeskich, polskich, habsburskich, pruskich, niemieckich i wreszcie polskim. W tak wielkiej zmienności, miejscem trwałym, niezniszczalnym i bliskim stawały się ojczyzna prywatna i społeczność lokalna. Ponad nimi toczyły się wojny, dokonywały rewolucje, zmieniali się władcy, ale one same pozostawały trwałym układem odniesienia.

• *Funeralia i gruziński toast*

Szczególną rolę w tym przypisaniu odgrywają groby naszych bliskich, cmentarz jest bowiem miejscem magicznym w funkcjonowaniu wszystkich społeczności. Stanowi bowiem miejsce skupienia dla trzech kategorii ludzi: po pierwsze, tych, których kwatery odwiedzamy, po wtóre, nas, którzy do nich trafiamy i wreszcie, po trzecie, tych którzy w przyszłości użyczą nam swojej obecności. Ten funeralny nastrój z całą pewnością znosi stary gruziński toast: Oby dęby, z których zrobili nasze trumny, rosły jeszcze sto lat.

• *Przystacze, przyżenieni i bastardi*

Mieszkańcy regionów pogranicza kulturowego definiują się zazwyczaj poprzez relacje z innymi, nietutejszymi i obcymi. Czasem byli obcy swoi, czasem obcy inni, a w końcu obcy wrodzy. To zupełnie normalne w małych społecznościach. W wielu górnoszląskich społecznościach lokalnych nietutejszy definiowany jest wielorako: jako gorol, czyli przybysz



MAREK S. SZCZEPAŃSKI

Notatnik
spóźnionego przybysza

Mniejszościowe potyczki

spoza regionu, jako krojczok czyli człowiek zrodzony z matki Ślązaczki lub ojca Ślązaka oraz matki lub ojca gorolki lub gorola. Prawdę mówiąc określeń na nietutejszych w warunkach górnoszląskich jest przynajmniej kilkadziesiąt. To między innymi krzoki, ptoki, werbusy, kresowiacy, przystacze, przyżenieni czy w końcu bastardi. Najgorszym jednak sortem gorola jest, a może już był, hotelok, czyli mieszkańiec hotelu robotniczego.

• *Mozaiki na pograniczach*

Ludzi pogranicza kulturowego cechuje tożsamość mozaikowa, a to oznacza, że ich autoidentyfikacje są niejednorodne i labilne. Na Górnym Śląsku bez trudu znaleźć można osoby, które definiują się jako Niemcy, Polacy, Ślązacy, Niemcy-Ślązacy, Polacy-Ślązacy czy Ślązacy-Ślązacy. Możliwe są oczywiście jeszcze inne konfiguracje i identyfikacje. Zawsze jednak związane są one z przypisaniem do regionu, miejsc i przestrzeni oraz uogólnionych obcych, czyli nietutejszych różnorako opisywanych. Przy okazji warto może podkreślić, że ktoś kto trzydzieści lat temu odpowiadał ankieterowi, że czuje się śląskim Niemcem, dzisiaj deklarować może, i tak często się zdarza, zupełnie inną opeję narodową.

• *Zeppelin, kartacze i pierekaczewnik*
Polskie regiony pogranicza kulturowego ulokowane są, co oczywiste, wzdłuż

granic RP. Na północnym wschodzie swoją ojczyznę prywatną odnaleźli Litwini i Białorusini. Oprócz języka, zwyczajów i obyczajów różni ich od większości polskiej sztuka kulinarna. Prawdę powiedziawszy regiony pogranicza mają bogaty repertuar kulinarny, stanowiący hybrydę wielu tradycji komensalistycznych. Zeppelin, kartacze, znakomite wódki i likiery to kompetencja wyróżniająca mniejszość litewską. Podobnie jak kluski śląskie, rolada i modra kapusta na górnoszląskim pograniczu. W województwie podlaskim, w Kruszynianach i Bohonikach swoje miejsce mają polscy Tatry, modlący się w lokalnych meczetach, grzebiący ziemiaków w mizarach i oferujących niebywałe frykasy, takie choćby jak nieśmiertelny pierekaczewnik. Na środkowym i południowym wschodzie rozmieszczeni są Ukraińcy, choć kilkadziesiąt tysięcy obywateli tego kraju uzyskało prawo stałego pobytu w RP, lokując się głównie w największych miastach kraju.

• *Karczma w Jurgowie*

Na południu Polski w regionie Jurgowa i Cieszyna znajdują się mniejszości słowacka i czeska, choć tę ostatnią odszukać można również w środku kraju, mianowicie w Żelowie, w województwie łódzkim. W każdym jednak miejscu osiedlenia symboliczne i rozpoznawcze funkcje pełnią: knedle, becherowka i zróżnicowane marki piwa. W regionie śląskim i opolskim oprócz osób deklarujących narodowość śląską znajduje się liczna grupa obywateli deklarujących narodowość niemiecką. I wreszcie na północnym wschodzie odnajdujemy Łemków i Bojków, ulokowanych tutaj w wyniku zorganizowanej tuż po wojnie akcji Wisła.

• *Obwarzanek Piłsudskiego na zakończenie*

Budowie społeczeństwa obywatelskiego towarzyszyć musi respekt dla mniejszości narodowych i etnicznych zamieszkujących kraj i regiony pogranicza kulturowego, tworzących barwny kulturowo oraz cywilizacyjnie kontrapunkt dla większości polskiej. Już dawno upadł lansowany w realnym socjalizmie mit jedności narodowej, a mniejszość niemiecka, białoruska czy ukraińska na trwałe wpięły się w *polski obwarzanek* – jak nazywałby go Marszałek Piłsudski. Być może już wkrótce, pomimo politycznej niechęci i idiosynkrazji, status grupy etnicznej uzyskają Ślązacy, a ich język otrzyma status języka regionalnego. Niezwykle korzystne dla Polski jest w tym kontekście oficjalne stanowisko Unii Europejskiej i kluczowych jej instytucji podkreślających rodzimy respekt dla mniejszości, krytykujących jednocześnie innych członków UE za brak tolerancji. Czechom dostaje się regularnie za złe traktowanie Romów, Słowakom za marginalizację Węgrów i Romów, a Estończykom za politykę naturalizacyjną wobec Rosjan. Można być pewnym, że respekt dla ulokowanych w granicach RP mniejszości w żaden sposób nie narusza integralności państwa i jego unitarności.



Być kobietą na Śląsku

KATARZYNA
BERETA

Gramatyka polska przypisała Śląskowi rodzaj męski, w rzeczywistości przejawia on jednak o wiele więcej cech kobiecych. Jest kapryśny, gdy ukrywa skarby jak w legendzie o Szarleju, co załżał pokłady srebra w Bytomiu. Nieobliczalny, gdy jednym tąpnięciem zabiera matkom, żonom i córkom ukochanych synów, mężów i ojców. Mroczny, gdy rozkłada na niebie czarny trójkąt, pod którym powinna panować jedynie śmierć. Zmienny, gdy tuż za szerokimi łąkami Opolszczyzny zamyka krajobraz ramą z cegły familoków, by dalej zaskoczyć urozmaiconą przestrzenią Beskidu. Opiekunczy i troskliwy, gdy daje pracę i chleb „na ziemi i pod ziemią”. Śląsk o wiele bardziej jest więc kobietą, *Silesią*. Nawet przemysłowe symbole regionu – kopalnia i huta – są rodzaju żeńskiego, choć ich wnętrza zaludniają głównie mężczyźni. Jak to zatem jest być kobietą na Śląsku?

Mąż i dom

Już na początku rozważań trzeba stwierdzić, że nie jest łatwo. Sfeminizowanie śląskiej ziemi na poziomie semantycznym i wytworzona tutaj kultura matriarchatu w niczym bowiem nie pomagają. Do dzisiaj w niejednym

domu dziewczyna myśląca o studiach, karierze naukowej, artystycznej lub czasami nawet po prostu zawodowej może usłyszeć zdanie podobne do wypowiedzianego przez bohaterkę książki Marii Klimas-Błahutowej *Przedmieście*: „Ucz się, dzioucha, roboty. Czy to cię kiedyś twój chłop zapyta o obrozki? Nie. Ale o to, czy poredzisz uwarzyć i do porządku uprać i uprasować (...)”. Oczywiście cytat ten wpisuje się w socrealistyczną stylistykę powieści, niemniej mówi wiele o sposobie myślenia matek, które dla swych córek od pokoleń przewidywały głównie jedną drogę życiową: zamążpójście i prowadzenie gospodarstwa domowego.

Czy jest to zwyczaj ściśle śląski? Zdecydowanie nie. Należy go raczej utożsamiać z kulturą wiejską i wywodzącą się z niej kulturą robotniczą, które są charakterystyczne dla Górnego Śląska. To właśnie w tych dwóch kręgach dom jest najważniejszym miejscem, wokół którego wszystko się toczy. Jego rola wzrosła silnie w XIX wieku, kiedy to człowiek stał się uczestnikiem i świadkiem takich procesów, jak umasowienie, mechanizacja, urbanizacja, uprzemysłowienie. Krystyna Kossakowska-Jarosz w książce *Śląsk znany, Śląsk nie znany* pisze: „Kult rodziny, domu, bliskich związków pokrewieństwa, swojskości, jako przeciwstawienie miejskiemu mo-

lochowi – anonimowości, grożącemu rozbiciem więzów rodzinnych, stanowił (...) jeden z głównych wątków (dziewniastowiecznej – przyp. KB) kultury masowej”. I można powiedzieć, że przetrwał on nie tylko w obyczajowości śląskich rodzin w XX wieku, ale również w literaturze i filmie poprzedniego stulecia. Nie brakuje przecież powieści, różnego rodzaju wspomnień, esejów oraz obrazów filmowych, w których podkreśla się ową śląską rodzinność i buduje wokół niej fabułę lub czyni ją osią rozważań.

Negatywne skutki matczyne go wpływu

Ten swoisty kult domu ma także swoją złą stronę, o której częściowo już wspomniałam. Jest nią wychowywanie dziewczyn na kobiety wyłącznie skupiające się na obowiązkach matki i żony. Nie byłoby to jeszcze najgorsze – wiele jest bowiem kultur na świecie, w których piękna płeć jest strażniczką domowego ogniska, a brzydka biega za zwierzyną po dżunglach lub stepach – gdyby nie dalsze konsekwencje matczyne go wpływu na dorastające córki.

Bywa mianowicie tak, że dążenie rodzicielki do wydania za mąż swej latorośli jest niezwykle silne, jak chociażby w powieściach Janoscha *Cholonek, czyli dobry Pan Bóg z gliny* oraz *Szczęśliwy, kto poznał Hrdlaka*. Wszystko inne – w tym osobiste szczęście – schodzi wtedy na plan dalszy, a rodzina młodej panny upita swym matrymonialnym sukcesem śpiewa radośnie: „Byle mamy zięcia, co nom bydzie pranie pro!” Bywa, że organizacja wesela jest centralnym wydarzeniem rodzinnego życia, a gospodyni wykorzystuje uroczystość weselną do pochwalenia się przed sąsiadami swoją hojnością, gospodarnością, zdolnościami kulinarnymi czy urodą córki, jak w książce Horsta Bienka *Pierwsza polka* i w drugiej wspomnianej powieści Janoscha. Wreszcie może być również tak, że matka sama wybiera narzeczonego, kierując się przy tym własną sympatią (przykładem może być Świętkowa, która uznała Detleva Hübnera za najlepszą partię dla swej najmłodszej pociechy – Tekli) lub niechęcią do ukochanego córki. W drugim przypadku matka potrafi w taki sposób pokierować krokami dziewczyny i zewnętrznymi okolicznościami, że doprowadza do jej zamążpójścia z kimś zupełnie innym niż ten, kogo młoda sama pokochała.

Podobna historia miała miejsce w życiu mojej babki. Urodzona w Chorzwowie zakochała się w chłopaku z Sosnowca. Postawa mojej prababki w kwestii ich znajomości i ślubu była nieugięta. Zdobyła się więc na istic szatański sposób, bo przechwytywała pocztę sosnowiec-

kiego amanta do jej córki i przechowywała ją głęboko ukrytą w bieliźnie. Brak kontaktu pomiędzy zakochanymi skutecznie doprowadził do osłabienia uczucia i w końcu jego naturalnej śmierci. Dopiero wówczas, przypadkiem, babcia odkryła listy do niej adresowane, ale było już za późno.

Niełatwe było zatem życie śląskich kobiet, bo w dużej mierze niesamodzielne. Można powiedzieć, że w wielu wymiarach codziennej egzystencji znajdowały się pod silnym wpływem kulturowych norm, a czasami ich życie stawało się częścią obyczajów, tradycji, rodzinnych czy społecznych nakazów. Tak przynajmniej ukazuje je literatura. Powieścią opowiadającą o próbie zerwania z wyznaczonym przez otoczenie losem jest *Ziemia Elżbiety* Poli Gojawicyńskiej. Choć nie jest w pełni udaną prozą, posługuje się bowiem stereotypami Górnoślązaczek, które już w międzywojniu – jak pisze Zdzisław Hierowski – zostały odrzucone przez czytelników jako nazbyt obce i niepasujące do wytworzonego wcześniej ideału, jednak pokazuje, że młoda Ślązaczka może mieć inne priorytety, marzenia, ambicje niż jej matka, babka czy najbliższe sąsiedztwo. Oczywiście nie można zapominać, że *Ziemia Elżbiety* to przede wszystkim powieść należąca do nurtu realizmu społecznego lat trzydziestych, a dążenia tytułowej bohaterki do zerwania z rodzinną tradycją w dużej mierze wpisują się w społeczne przemiany tamtych lat oraz pragnienia zawodowej i mentalnej niezależności kobiet. Elżbieta staje się przez to typem kobiety jako takiej, nie zaś szczególnie związanej ze Śląskiem.

Naukowa, społeczna i polityczna kariera

Czasami którejs udawało się jednak osiągnąć zamierzony cel, np. zdobyć wyższe wykształcenie lub zrobić karierę naukową czy artystyczną, ale droga do tych nietypowych niegdyś na Śląsku osiągnięć nie była łatwa. Przykładem może być chociażby historia Doroty Simonides, którą interesująco opisała we wspomnieniowej książce *Szczęście w garści. Z familoka w szeroki świat*. Profesor nauk humanistycznych, wybitna folklorystka, posłanka na Sejm, senator pięciu kadencji, członek Komitetu do Spraw Demokracji, Praw Człowieka i Kwestii Humanitarnych OBWE urodziła się w dzielnicy Katowic – Nikiszowcu, którą wielu utożsamia ze stereotypami utrwalonymi chociażby przez Lecha Majewskiego w filmie *Angelus*, ale równie wielu dostrzega w niej duchową głębię, niezwykłą atmosferę podobną do Giszowca opisanego przez Małgorzatę Szejnert w *Czarnym ogrodzie*. W gronie kobiet związanych ze Śląskiem, którym udało się uczynić wyjątkowy atut ze swoich regionalnych ko-

rzeni, rozwinąć naukowo lub zawodowo, a często i rozslawić region poza jego granicami poprzez działalność polityczną czy społeczną znajdują się niewątpliwie m. in. Krystyna Bochenek, Krystyna Doktorowicz oraz Maria Pańczyk-Pozdziej. Coraz potężniejsze jest grono badaczek z różnych dziedzin pochodzących ze Śląska, pracujących nie tylko w lokalnych uczelniach. Nie można też pominąć milczeniem tych kobiet, które tu przyjechały z innych regionów i pozostawiły w śląskiej kulturze i nauce niezatarty ślad, jak chociażby Zofia Kossak czy profesor Irena Bajerowa.

Być nauczycielką

Nie tak dawno trudno było na Śląsku także nauczycielkom. Obraz szkolnego personelu nabiera szczególnie przynębiających rysów pod piórami Gustawa Morcinka (*Wyorane kamienie*) i Kazimierza Gołby (*Młodziejowcy*). Pierwszy autor literackie symbole oracza i kapłana, używane w odniesieniu do pedagogów, przedstawia jako „(...) błagę i kłamstwo, którymi karmi się kandydatów do zawodu (...)”, jak pisze Krystyna Heska-Kwaśniewicz. Nauczycielki z jego prozy to nie żadne „wyorane kamienie”, ale przede wszystkim gruźliczki – przeszłe, obecne lub byłe. Warto odnotować pełne realizmu, ale i bolesnej drwiny „opowieści Szeherazady”, snute przez Wandę, Janę i Bronkę – hospitalizowane *rechterki*. Najbardziej zaprawiona kpina jest riposta Bronki na wyznanie Wandy o pragnieniu wstąpienia do klasztoru. Koleżanka stwierdza: „Szkoda, żeś nie poszła. Nie miałabyś gruźlicy, a wybrałabyś najlepszą cząstkę, o dziewico!” Możemy odczytać w tym cytacie wyraźną aluzję do przypowieści o Marcie i Marii. Przy czym ewangeliczny wybór Marii jest rzeczywiście najlepszą cząstką. Wybór Wandy to jakby groteskowa namiastka poświęcenia i czystości, gdyż nauczycielstwo nie dało jej nic w zamian za dobrowolne oddanie się na służbę oświacie. To, co miało być jej „najlepszą cząstką” jako kobiety-nauczycielki, a więc szacunek i poważanie – nigdy się nie pojawiło. W ich miejsce natomiast państwo obdarzyło ją ustawową samotnością (ustawa Sejmu Śląskiego z 1926 roku), poświęcenie zaś doprowadziło do choroby. Zamiast obiecywanej i oczekiwanej symboliki Heleny, Sofii i Marty codzienność wpisała ją w obraz umarłej dziewczycy. Taki był los kobiet pracujących w oświacie jeszcze w dwudziestoleciu międzywojennym. Dziś może nie ma już gruźlicy i nikt nie zwalnia z powodu zamążpójścia, jednak praca w szkole, zwłaszcza w dzielnicach tak biednych i z tak wieloma problemami społecznymi, jak Chropaczów, Lipiny, Szopienice, tzw. chorzowska *Cwajka*, to czasami wyzwanie ponad wątłe siły płci pięknej, a przecież to ona przede wszystkim poświęca się wychowaniu i edukacji.

Być wdową

Mimo wielu widocznych zmian społecznych nadal trudno jest być kobietą na Śląsku. Niełatwo jest bowiem być wdową samotnie wychowującą potomstwo, gdy mąż zginął w górniczych podziemiach. Trzeba dodać, że dawniej mógł jeszcze stracić życie w biedaszybie lub na wojnie w mundurze Wehrmachtu. Literatura i film utrwaliły wiele sylwetek samotnych matek odkrytych żalobnym kolorem. W filmie Antoniego Halora *Siedem zegarków Gustawa* jest wyjątkowa scena: torami należącego do kopalni wiezione są liczne trumny z ciałami karwińskich górników, a za nimi sunie milczący pochód czarnych postaci: matek, żon, córek, sióstr. To obraz zaczerpnięty z *Czarnej Julki* Gustawa Morcinka, sama zaś historia tragicznego wypadku w Karwinie w 1894 roku nie opuszczała wyobraźni pisarza i znalazła swoje odbicie w niejednej jego fabule. Należy wspomnieć, że wciąż świeża w pamięci Ślązaków jest katastrofa, do której doszło 21 listopada 2006 roku w Rudzie Śląskiej Halembie. Ziemia zabrała wówczas 23 mężczyzn. Jak wyglądał rudzki kondukt żalobny? Jak wygląda życie kobiet, dla których osiem lat temu świat wywrócił się do góry nogami? Wiedzą o tym jedynie one same. I niech tak pozostanie!

A ileż jeszcze takich konduktów było i będzie...?!

Podczas II wojny i tuż po niej

Niełatwo jest rozłączyć się z synem czy młodym małżonkiem i posłać go na front. O takiej konieczności opowiada z kolei książka Alojzego Lyski *Duchy wojny*. Na roli pozostaje teściowa z synową i nowo narodzonym wnukiem. Kobiety samodzielnie zajmują się gospodarką w trudnych czasach okupacji niemieckiej, cały czas czekając na powrót Alojza z Wehrmachtu. Jednak bieda im podobnych nie skończyła się wraz z ogłoszeniem pokoju.

Nowa władza ludowa pokazywała rodzinom, w których mężczyźni nosili niegdyś mundur hitlerowskiej armii lub której członkowie podpisali volkslistę, że są ludźmi gorszego gatunku, niepożądanymi w socjalistycznej ojczyźnie. Jedną z najtragiczniejszych artystycznych wizji opisujących tamten okres jest sztuka Ingmara Villqista *Miłość w Königshütte*. Elwira – więźniarka Obozu Zgoda w Świętochłowicach, grana przez Darię Polasik – to postać, która skupia w sobie cały dramat kobiet pozbawionych po wojnie jakiegokolwiek pomocy, rzuconych na pastwę losu. Czym bowiem zawiniła ta młoda dziewczyna? Tym, że nie miał jej kto bronić podczas okupacji i po niej, że dawała sobie radę, jak umiała najlepiej, że chciała przeżyć wojnę? A może kupiła 10 kg cukru jak kobieta skazana za ta-

ki właśnie czyn na 18 miesięcy obozu, dla której Morcinek wyprosił ułaskawienie?

II wojna światowa i nazistowska ideologia chyba najbardziej doświadczyły pleć piękną na Śląsku, gdyż postawiły ją przed koniecznością dokonywania wyborów, jakich dotąd nie musiała czynić i do których nie była w ogóle przygotowana. Groteskowo ukazują ten problem Janosch w *Cholonku*. Stanik z Michcią wiodą wystawne życie podczas okupacji dzięki wstąpieniu męża za namową Detleva do partii faszystowskiej. Ten wybór okazuje się jednak zgubny w chwili wkroczenia na teren Śląska Armii Czerwonej. Powieść ukazuje zagubienie i brak kręgosłupa moralnego Michci, ale czy jest ona wyobrażeniem Ślązaczki jako takiej w tamtym czasie? Zdecydowanie nie. Istnieją świadectwa wielu bohaterskich i patriotycznych postaw kobiet, które pomimo biedy i zagrożenia życia nie podpisały volklisty, które broniły polskości swego domu, które angażowały się nawet w podziemną walkę. Ponadto wiele podpisało dokument tylko dlatego, by uratować siebie i dzieci. Taką postawę rozgrzeszał sam biskup katowicki – Stanisław Adamski. Nie można oczywiście zupełnie wykluczyć istnienia pojedynczych przypadków takiego zaprzeczenia w hitlerowskie Niemcy, jakie reprezentowała chociażby Klara Krauze z opowiadania pod tym samym tytułem autorstwa Wilhelma Szewczyka. Równocześnie trzeba jednak pamiętać, że tytuł ten należy do prozy realizmu socjalistycznego, a więc odznacza się silną tendencyjnością.

Być matką w czasach kryzysu

Sporym problemem była również S bieda międzywojnia, chociaż można odnaleźć w literaturze opisy kobiet, które przeżywały ją mężnie, z poświęceniem i niezłomnością. Dobrym przykładem jest Otrembina z powieści dla młodzieży *Po kamienistej drodze* Morcinka, wzorowana na matce autora – Mariannie. Bohaterka poszukująca węgla na haldzie, wykopująca ziemniaki, piorąca bieliznę w bogatszych domach, sprząająca kancelarię, wydająca narzędzia z kopalnianego magazynu oraz mieszkająca w zapleśniałej suterenie to postać stale krocząca „po kamienistej drodze”. Równocześnie to kobieta twardsza od kamienia, której życiowe przeciwności nie kruszą charakteru, nie rozłupują psychiki, nie złością bruzd w sercu, ale utralają miłość do jedynaka i gotowość do poświęcenia. Wyjątkowość Morcinkowego obrazu matki polega na tym, że wraz z „twardością” Otrembowej poznajemy także żar jej serca, które nie hardzieje, nie przemienia się w nieczuły kamień, ale będąc wyjątkowo silne, pozostaje czułe i łagodne. Im bardziej kamienista była jej droga, tym większa rozpałała ją mi-

łość. Taką wizję autor oparł na osobistych doświadczeniach. W eseistycznym zbiorze *Listy z mojego Rzymu* zapisał: „(...) przypominam sobie swoją matkę (...). Oczy jej były szare i ogromnie mądre. Dłonie (...) chropowate, spracowane, twarde w dotyku, lecz jak bardzo łagodne, ciche i radosne!... A jej serce! Nie, w ludzkiej mowie nie znajdziesz już na to określenia. Znalazł je chyba młody Michał Anioł, kiedy (...) przystąpił do bryły białego marmuru, by wyrzeźbić (...) «Pietę»”.

Literackie urzeczywistnianie wspomnień

Podobnych obrazów matek, babek i czy ciotek – zapracowanych w domu, w polu, w jakimś zakładzie pracy, mądrych życiowo, oddanych rodzinie i bliźnim, potrafiących umiejętnie pokierować swoim potomstwem, tworzących wyjątkową atmosferę domowego ogniska, mających zawsze w zanadrzu mnóstwo opowieści, legend, wiców, autorek doskonałych potraw, których smak towarzyszy dzieciom jeszcze w dorosłości – takich obrazów utrwała literatura chyba najwięcej. W każdym razie więcej niż owych złych i smutnych przykładów, o których pisałam na początku. Wystarczy wspomnieć ciotkę Cilę z książki Stefana Szymborskiej, babcię Franciszkę z *Lajermana* Aleksandra Nawareckiego, matkę Rozalię ze wspomnień Doroty Simonides *Szczęście w garści*, pobożną ciotkę Rozalię i nieco surową babkę Anię z *Piątej strony świata* Kazimierza Kutza czy szereg kobiet opisanych w *Czarnym ogrodzie* Małgorzaty Szejnert. Równie odważna i niezłomna była wdowa po Wałoszku z *Wyrąbanego chodnika* Morcinka. One wszystkie są eseistycznym lub literackim urzeczywistnieniem wspomnień naszych własnych babek i ciotek oraz tęsknoty za prawdziwym domem, w którym mieszkaniec i gość czują się jednakowo bezpiecznie. Są dobrą stroną kultu swojskości tak charakterystycznego dla kultury Górnego Śląska. Są także próbą mityzacji kraju lat dziecinnych, poszukiwania kulturowych sensów smaków, zapachów, dźwięków i obrazów, które zapamiętało się z babcinych czy matczyńskich ramion, fartuchów, kuchni i ogródków.

Kobiety wypełniają pamięć śląskich dzieci

Nie szkicowano by jednak takich portretów, gdyby nie fakt, iż to głównie kobiety wypełniały i wypełniają pamięć śląskich dzieci. Mężczyźni są w dużej mierze wielkimi nieobecnymi. Rzadka bytność ojców w domu była celebrowana w robotniczych rodzinach specjalnymi rytuałami, które znalazły swoje odbicie w literackich opisach oraz filmowych kadrach. Klasyczna jest już chyba scena z *Perły w koronie* Kazimierza Kutza, gdy Jaś wraca

z szczyty do domu. Oczywiście, jest to obraz oparty na stereotypie, który znacząco zuboża artystyczny przekaz i upraszcza psychologiczny portret, ale równocześnie pewne jego komponenty sprzyjają nawiązaniu porozumienia pomiędzy twórcą a odbiorcą. W tym sensie są przestrzenią wspólną dla obu uczestników kulturowej komunikacji. Tomasz Bocheński pisze wręcz, że „(...) gwarantują [one – przyp. KB] bezpieczną komunikację wewnątrz grupy (...)”. Ich powielanie zaś nie wyczerpuje owej kliszy, ale utrwała ją. Dopiero wówczas, gdy naruszenie wyobrażenia nikogo nie prowokuje, możemy mówić o jego zużyciu.

Współczesny Śląsk

Powstaje zatem pytanie: czy współczesnych mieszkańców Śląska podobne sceny poruszają jeszcze do jakiejś ożywionej dyskusji? A może powielane wielokrotnie schematy zużyły się? Może Ślązacy są już zupełnie inni? A wraz z nimi i śląskie kobiety? Może obecne tutaj co najmniej od czasów reformacji europejskie wpływy kulturowe doprowadziły do umniejszenia znaczenia i osłabienia wyrazistości cech regionalnych? Może postawy takie, jakie reprezentowały Marianna Morcinek, Elżbieta Lukrecja (opisana przez Zofię Kossak w zbiorze *Wielcy i mali*) czy św. Jadwiga (sportretowana przez powieściopisarkę w *Legnickim polu*), zachowały się jedynie w legendach, listach i osobistych mitach? Może coraz częściej bliżej nam – kobietom – do Zuli Kornackiej, której tragiczną drogę do kreacji *femme fatale* nakreślił w *Młodzieżowcach* Kazimierz Gołba? Może więcej jest w nas Celindy z *Historii Ondraszka Szebesty, zbójnika* Zofii Kossak albo też jakichś często niezrozumiałych melancholii, jak u kobiet kreślonych przez Leona Wantulę?

Gdybym miała prawo wyboru, pozostawiłabym przy życiu dawny świat, nawet jeśli był on w dużej mierze jedynie pobożnym życzeniem, usakralizowanym wspomnieniem, mityzacją domu czy legendotwórczą opowieścią. Nawet, jeżeli wszystkie opisane babki, ciotki i matki nie były w rzeczywistości takie dobre, ich kuchnie takie czyste, ich biezniki wykrochmalone, a rolady doskonałe. Tamten świat był wprost stworzony do mitów, dzięki czemu dawał się oswoić. W takim swojskim krajobrazie człowiek mógł zaś łatwo się odnaleźć i pewnie zakorzenić. Natomiast dzisiaj – z wielorakim zagubieniem, wykorzeniem, bezdomnością, brakiem wierności, wirtualnością, deficytem więzi, obcością i społeczną znieczulicą – sprzyja chyba jedynie nerwicy, depresji i wszelkiego rodzaju uzależnieniom. Jaki więc może być chleb z tej mąki?

Pamiętam z czasów młodości pierwsze kontakty z Brytyjczykami, których do dziś często zdarza się nazywać Anglikami. Tak dla uproszczenia. Pamiętam też doskonale reakcje Szkotów, którzy tych Brytyjczyków jeszcze jakoś znosili, ale kiedy nazywano ich Anglikami... dosłownie mieli pianę na ustach. Mnie to nie dziwiło, bowiem wychowałem się m.in. na lekturze Waltera Scotta i Roberta Louisa Stevensona. Jakoś te lektury zapadły mi w serce i chroniły przed tego rodzaju omyłkami. Wracalem do nich także później, ale były to zupełnie inne powroty, podbudowane pewną wiedzą historyczną i polityczną. Pamiętam bezmierne zdumienie ś.p. prof. Zygmunta Czernego, literaturoznawcy europejskiego formatu, kiedy na egzaminie zaproponowałem omówienie powieści „Rob Roy” W. Scotta. Z niejakim rozbaawieniem zaakceptował moją propozycję, traktując to zapewne jako egzaminacyjny unik i próbę pójścia na łatwiznę, czego odpowiednikiem mogłoby dziś być omawianie „Harry’ego Pottera”. Jednak kiedy dość szczegółowo przedstawiłem tło historyczne powieści i różne jej subtelności, wysłuchał mnie z zainteresowaniem, a na koniec (trochę się wtedy rozgadałem) zaproponował powrót z wycieczki po wrzosowiskach i postawił mi całkiem przyzwoitą ocenę.

Wspominam o tym dlatego, że pewne myśli zawarte w tej powieści, także w utworze „Waverley” tego samego autora oraz m.in. w „Porwanym z młodu” R.L. Stevensona nagle powróciły do nas z całkiem sporym impetem i nieoczekiwanie okazały się czymś znacznie więcej, niż tylko romantycznymi rojeniami przebrzmiałych klasyków. Szkockie referendum, mimo, że nie przyniosło *Albie**) pełnej niepodległości, pokazało jak silne są dążenia tego narodu. Odrębność i tożsamość Szkotów są bardzo wyraziste, szczególnie na gruncie tego, co nazywamy tradycją i kulturą. Widoczne (i słyszalne) atrybuty tej tożsamości doskonale znamy – to kilt i buńczuczne brzmienie dud, nie wiedzieć dlaczego nazywanych u nas kobzą. Tak buńczuczne, że po jednym z powstań szkockich zakazano gry na tym instrumencie, uznając go za śmiercionośną broń, i nie bez racji, bo Szkoci od stuleci znani byli jako doskonalni wojownicy, pod jednym wszakże warunkiem – że do boju prowadził ich dudziarz i jego *pibroch* **). Bez tego ani rusz.

Są jednak elementy tej tradycji, które nie są już tak oczywiste.

Z moich Górek
WITOLD TURANT

Szkocki dylemat

– Pic na wodę i fotomontaż – powiadają nawet Anglicy o niektórych zażytkach szkockiego piśmiennictwa, jak „Pieśni Osjana”. Podobnie traktują smętne ballady mówiące o bohaterkich wyczynach jakobitów, zwolenników „królów za wodą”, czyli przepędzonej z wysp dynastii Stuartów. Zauważmy jednak, że taki „podrasowany” folklor i narodowa mitologia powstawał także gdzie indziej i nieźle spełniał swoją rolę (w Czechach „Rękopis Krółodworski” czy stworzony przez St. Witkiewicza styl zakopiański).

Szkocja i Polacy? To spora księga, do której właśnie dopisano nowy rozdział. Mielśmy się stać języczkiem u wagi. Ponad trzydziestotysięczna grupa mniejszościowa w pięćmilionowym narodzie, kiedy ankiety wieściły niemal równowagę możliwych głosów za „aye” i „nay” ***), ma znaczenie. A my, jak zwykle w takich przypadkach podzieliśmy swoje głosy. Z jednej strony przypomniano hasło „za wolność naszą i waszą” a z drugiej widziało się niepokój wywołany nieprzewidywanymi skutkami secesji. Wszystko jednak sprowadziło się do formatu burzy w szklance wody, jako że opcja „nay” jednak zwyciężyła. W sumie przypominało to trochę wkładanie palca między drzwi. Na szczęście nikt ich nie zatrzasnął. Zaimponował mi jednak premier autonomicznej po dawnemu Szkocji, który, choć głosował za niepodległością, zaapelował o uznanie wyników referendum i uszanowanie woli większości. Żadnego tupania i pokrzykiwania o hańbie, oszustwie i kpinach. Ailig (Alex) Salmond zachował się jak prawdziwy mąż stanu i to musi im-

ponować. Także przedwczesna okazała się histeria „jasnowidzów” przepowiadających pierwszy etap atomizacji Europy czy nawet rozpad Unii. Szkoci wiedzą, że niepodległość to piękna rzecz, ale najwidoczniej doszli do wniosku, że jeszcze nie w tej chwili. Poza tym po ponad trzystu latach małżeństwa nie odchodzi się z domu ot tak sobie.

Śląsk a Szkocja? Nie widzę współczesnych analogii, a naciągać nie chcę. Historycznie? Owszem były związki i to na całkiem wysokim szczeblu. Kiedy ród Sobieskich przeniósł się do Brzegu, córka Jakuba, a wnuczka króla Jana skupiła na sobie zainteresowanie tzw. Starego Pretendenta, pozabawionego tronu Jakuba Stuarta i została jego żoną, a także matką Młodego Pretendenta, Karola Edwarda, z jednej strony sprawcy wielu nieszczęść, jakie spotkały Szkocję po 1745 roku, a z drugiej legendarnej postaci, przedmiotu kultu wielu Szkotów i bohatera niezliczonych ballad i legend. Później, w początku XIX w. pojawili się bracia Stuart-Sobieski, malarze z zawodu, i wymyślili barwy szkockich tartanów, stosując mistyfikację w sporach dawkach. Nie jest natomiast mistyfikacją służba Ślązaków w niektórych znanych szkockich pułkach. Znałem kilku, którzy w 1940 zdezerterowali z Wehrmachtu we Francji i trafili do takich jednostek. Pytani o służbę, odpowiadali, że nie było źle, tylko te spódnice... Pal sześć, że kraciaste.

A w moich Górkach? Nie, my tu jeszcze nie myślimy ani o autonomii, ani o niepodległości, choć były kiedyś takie pomysły, żeby odłączyć się od gminy Brenna – na pytanie po co, nikt jednak nie potrafił udzielić mi sensownej odpowiedzi. Kilku sąsiadów wyjechało za pracą do Szkocji, ale ich relację usłyszą zapewne w czasie świąt. Zanim to jednak nastąpi, patrząc na nieszkockie góry mogę posłuchać *pibroch* w mistrzowskim wykonaniu *maestro* Lindsaya Davidsona, szkockiego dudziarza, który dzieli swoje życie między Szkocję i Polskę i o kilka kropel nadwątlić moją kolekcję *usige beatha*****) *single malt******). *Slainte, Alba! Slainte, Górki!*

*) celtycka nazwa Szkocji.

***) utwór, głównie o wojskowym charakterze, wykonywany na dudach.

****) tak i nie w używanej przez Szkotów angielszczyźnie

*****) celt. woda życia, whisky

*****) ang. słodowa whisky



GÉZA CSÁTH

Zapomniany sen

Z węgierskiego
przełożył
FELIKS NETZ

1. Nigdy nie widziałem tego miejsca. Żółty, pobielony wapnem, wysoki, dwupiętrowy dworzec z brązowymi żaluzjami w oknach. Obok szyn kwitną żółte dziewanny. A z najwyższego bocznego okna wychyla się Głowa mojego ojca. Przywołuje mnie bez słowa. Czy mam wejść na górę? Czego może chcieć? I jak tutaj trafił?

Ależ to wcale nie jest mój ojciec. Ten człowiek, którego twarz rysuje się na zalanym słońcem murze, przypomina raczej wężo torreadora, którego przed laty widziałem w Barcelonie.

– Och, Barcelono, kochane, ciepłe, pachnące miasto! Och. Carmencito, jedyna miłości mojego serca!

2. Muszę pójść obok szyn, a może spotkam kogoś. Ech! – tak mi lekko na sercu. No to co, że nikogo nie spotykam. Jeśli mi się zechce, wyjdę sobie za miasto. Nie jestem zmęczony i nie boję się życia. Idźmy więc!

Ale, ale! Teraz widzę, że przecież ta ścieżka prowadzi do naszego domu! To jest ścieżka p r o w a d z a c a d o d o m u ! Tą ścieżką prosto z łąki docieram do naszego leciwego sadu. Do małej furtki na jego tyłach! Wszystko jedno, nie ma powodu, aby miał się lękać powrotu domu. Czasami, owszem, myśl o powrocie wydaje mi się czymś okropnym, ale teraz, gdy nogi niosą manie tak lekko, a w głowie mam taki spokój – teraz nie! Idźmy więc!

3. Z naprzeciwnika nadchodzi mój młodszy brat. Patrzy przed siebie. Odwraca głowę. Dlaczego? Zatrzymuje się przed nim. Nie poznaje mnie

- Kogo pan szuka?
- Starszego brata!
- Przecież to ja!

Nie odpowiada, odwraca się, odchodzi. Idę za nim. Droga zmienia się, ale to nic, ja tutaj wszędzie trafię. Przecież szedłem już tędy, ale... kiedy?

Raz jeden. Już wiem, to Miasto Utrapienia. Wszystko w porządku. Mam zapalki, i serce tam, gdzie trzeba.

- No proszę – mówi mój brat – tutaj jest pan Béla.
- Dlaczego nie zwracasz się do mnie na ty?

4. Nie odpowiada. Przez wpółotwartą bramę wchodzi do jakiegoś domu. Kiwa na mnie z podwórza.

Świeci się tam jeszcze bladziutko lampa naftowa. Widać otwarty korytarz z balustradą, skąd kłania się służący, zupełnie obojętnie, milcząco sztywno. Za nim natomiast, niczym cienie skradają się ludzie o ciemnych twarzach, z workami.

– Czego tutaj szukam, i co to obchodzi mojego brata, jeśli ktoś okradają!

Ludzie z workami przechodzą przez korytarz długim szeregiem, groźnie i występnie.

– Dlaczego ten chłopak ściągnął mnie tutaj?

Mój brat wyjmuje z kieszeni sznur i podryzuca go służącej. Dziewczyna przywiązuje go do kraty, ale słabiutko, chyba nawet ledwo-ledwo. Lecz brat nie dba o to, daje mi znak, i zaczyna się wspinać. Ruszam za nim, ponieważ boję się kłopotów i prawdopodobnie nie mam wiele do tracenia.

– Dawno nie wspinałem się po sznurze, chyba od chłopięcych lat.

A jednak jakoś tam się wspinam; brat mi pomaga, patrzymy na milczącą służącą. Nieruchoma, zawzięta, zła twarz! Niegdyś była żoną naszego win ogrodnika, trafiła do więzienia, ponieważ chciała otruć swojego męża.

5. Wchodzimy w półotwarte drzwi, skąd prześwituje czerwony blask lampy. Jest to cichy, opuszczony pokój, w którym nikt nie mieszka, i w którym całymi nocami jarzy się płomień lampy, chociaż nikt jej nie zapala. Ot, taka lampa, której światło nikomu nie jest potrzebne, której olej cicho się zużywa, gdy mija z bólem noc za nocą! Dziwny i straszny jest ten opuszczony pokój, pusty i bezsensowny. Wszystko może się tutaj zdarzyć! Może nawet zabija się w nim ludzi?

– Ty, uważajmy, żeby ktoś nie zatrasnął za nami drzwi! – mówię szeptem, słysząc doskonale swój przerażony głos.

– Chodź tu!

6. Brat idzie przodem i otwiera drzwi oklejone tapetą. Przechodzimy przez jeszcze jeden pokój. Właściwie jest to rozległa, nieobjęta dla oka sala. A osłonięta, nisko opuszczoną lampą, jakby zwisała z niedosiężnej wysokości. Oświetla jedynie martwą kobietę leżącą pośrodku sali.

– Jak tutaj dostał się ten trup?

Nie śmiem się odezwać. Mój brat postępuje krokiem równym i energicznym, jak ktoś, kto spełnia jakąś świętą powinność i nie istnieje dla niego żadne przeszkody. Chciałbym się zatrzymać i popatrzeć na tę cudowną kobietę, którą, Bóg jeden wie, kto pozostawił w tym miejscu, w tym ponurym osamotnieniu, skazując ją na niechybną śmierć, ale mowy nie ma o chwili przerwy. Docieramy do korytarza i schodzimy ciasnymi schodami pośród światającej, przedporannej szarówki.

– Dokąd idziemy? – pytam szeptem, prawie nie oddychając.

Znam to miejsce, to uliczka w Wenecji. Byliśmy tu raz z Carmencitą. O, tam mieszkaliśmy, na drugim piętrze.

– Piękne, szczęśliwe czasy; co od tamtej pory mogło się stać z pięknymi ustami Carmencity!...

7. Powietrze jest nieruchome.: Prawdopodobnie ma się już pod jesień, bo kolory świtu lekko zachodzą mgłą.

Z błogim, łagodnym utrudzeniem w kolanach, idę w stronę Canale Grande, poprzez mnóstwo uliczek i mostów. Nie sarkam, owszem, rozglądam się z zaciekawieniem.

– Jakże tu pięknie. Jakże piękna jest ta zielona woda. Jakże czyste powietrze.

Muszę pomyśleć, kiedyż to ja tutaj byłem. Przed ośmiu, dziecięciu laty, wtedy również sam, ale szczęśliwy, bo potrafiłem długo spać. Spać bez przebudzenia, a sen był słodki jak cukrowane mleko!

Wreszcie wyostałem się na Plac Świętego Marka. Był pusty, chociaż pełen światła. I ani jednego człowieka, żadnego dźwięku.

– A cóż to, czyżby to miasto wymarło?

Krzyczę:

– Ho, ho, ho!

Mój głos rozchodzą się po wielkich kamiennych kostkach, ale nie pokazuje się żadna żywa istota. Ani żaden ptak.

– Co mam tu teraz robić? Już wiem. Wejdę na dzwonnice, może uda mi się kogoś zobaczyć.

Ale dzwonnica wciąż jeszcze nie jest gotowa. To niepojęte, czyżby zaniechano restaurowania? Cichaczem przeslizguję się przez drzwi pod brudnymi, zakurczonymi rusztowaniami, i wstępuję na niekończące się schody. Powietrze jest tutaj dławiące, to; przeraźliwa atmosfera przeszłości. Albo też mojej przyszłości?

Każdy może tu dopaść człowieka, nie ma gdzie się ukryć; dokąd się stąd wydostanę, co zobaczę, gdzie zawała się schody razem z mną – w owej chwili nie mogłem sobie tego wszystkiego wyobrazić. Bo jeśli nawet przedstawię sobie coś najgorszego, najstraszliwszego, przyszłość wciąż jeszcze może mnie przelicytować!

Na przykład: gdyby ktoś teraz zamknął drzwi od dzwonnicy, gdyby murarze szybko je zamurowali, a żelazne drzwi na górze okazałyby się zamknięte... Na próżno bym kołatał, bo i tak nie mógłbym wydostać się na wolne powietrze, aby zeskoczyć, żeby krzyknąć, by wyzwolić się z niewoli.

To jest straszne w tej sprawie, że zwlekałbym – w nadziei, że się stąd wydostanę – z samobójstwem, jakie mógłbym popełnić bez trudu, w ciągu kilku minut!, przy pomocy mocnej jedwabnej apaszki. Jest wielce prawdopodobnym, że w zakurzonych, dławiących ciemnościach, długo szukałbym jakichś wyjść i okien. A szukając, być może, przedrzemałbym parę godzin na jakichś schodach, może uporczywie obdrapywałbym mury, aż by mi krew spływała z palców... i umarłbym z głodu, bo wtedy nie miałbym już ani siły woli, ani siły mięśni, aby skończyć ze sobą przez samouduszenie.

8. – Wszystko jedno, chodźmy na górę!
Wreszcie po długich, długich minutach dostajemy się na galerię. Nie jest zamknięta. Mogę się rozejrzeć. Żadnego człowieka, żadnego statku, ani śladu dymu.

– Ależ to miasto jest wymarłe.

Rzecz w tym, że właśnie takie, jakie było wtedy, kiedy widziałem je ostatni raz. Nikogo. Nikt tutaj nie żyje, to pewne. Dlaczego? Może odpłynęli na statkach? Włosi, kupcy, gondolierzy, dziewczyny o smukłych łydkach, w pięknych chustkach z frędzlami? I cudzoziemcy: ruzdi Amerykanie i australijskie milionerki w złotych pantofelkach, śniadolice, których oczy podziwiałem tam, w kawiarni Floriana?... Niepojęte. Żebym ujrzał bodaj jednego, jedyne go gołębia.

Znowu muszę schodzić, potykając się, ale spójrzcie, teraz idzie mi tak zręcznie, tylko dwa zakręty i już jestem na wolności. Muszę dostać zawrotu głowy od tego silnego, południowego blasku. Nie wiem, nie widzę, co jest dokoła mnie.

Słyszę jedynie głos mojego ojca:

– Chwyć mnie za rękę, synku!

Chwytam. Ma olbrzymią rękę. Cała moja dłoń ledwie obejmuje jego wskazujący palec.

– Dobrze, dobrze, przecież tu nie zostanę!

– No to idź sobie, dokąd chcesz!

Idę. Twarz ojca jest biała, pełna bólu, ale widzę, że już przedyskutował z sobą całą sprawę, nie zatrzymuje mnie. Odwraca się plecami.

– A idźże, idźże sobie stąd! – mówię w duchu, nie oglądając się za siebie.

Ale nie potrafię iść przed siebie. Droga pełna jest małych żab i innych, nagich, różowych zwierzątek. Co to za stworzenia? Przedwcześnie urodzone psy i koty? A między nimi, spójrzcie, leży Zsoli, nasz stary, piękny, biały pies. Krwawi, a jego brzuch zięje pustką, w przydrożnym pyłe wala się przed nim jego własna wątroba. Liże ją. Jest dokładnie tak, jak wtedy, gdy na dworcu potrafił go pociąć. Z bólu i gniewu gotów bym zapłakać.

– Dlaczego wtedy zabraliśmy Zsolego na dworzec?

To ja chciałem tego ze wszystkich sił. Ojciec powiedział: „Niech Zsoli zostanie w domu”, ale ja się uparłem. Pewnych rzeczy człowiek nie może obrócić na dobre. Ba, niczego nie można obrócić na dobre. Właściwie to z każdym krokiem pomagamy własną i cudzą zagładę.

– Zsoli, Zsoli!

Chciałbym uklęknąć, chciałbym ucałować to kochane, miłe stworzenie, tego dobrego kompana. Chciałbym, aby na mnie spojrział, aby mi wybaczył, aby mnie uwolnił od tego przerażającego samooskarżenia, od tej udreki. Nie patrzy na mnie. Sądząc z jego oczu, jeszcze żyje, ale patrzy w bok, na ziemię. Ma o wiele większą, poważniejszą sprawę, by zajmować się mną. Myśli. Myśli o tym, że on już umiera i że to jest kres wszystkiego.

– Jezu Chryste!

To krzyk mojej młodszej siostry. Strach ścisła jej gardło, dlatego ma taki ochryply, taki mocny i twardy głos, że nie sposób go rozpoznać. Pochyla się przede mną i podnosi coś z ziemi.

– To jego serce – mówi, szlochając – serce Zsolego. Jeszcze bije. Trzeba mu je oddać.

– Niech pani stąd odejdzie!

– Dobrze, ale zabierzmy psa.

– Tylko, proszę, szybko.

– Dobrze, ale najpierw włóżmy mu z powrotem serce, bo umrze.

– Nic mnie to nie obchodzi.

– Dobrze, tylko niech pan nie dopuści, aby ten pies zmarł przez pana.

– Bo zawołam policjanta.

– Proszę bardzo.

– Chodź, zabierzmy stąd szybko Zsolego.

– Ale poplamisz sobie krew fartuszek.

– Nie szkodzi!

– Przez ten czas na pewno umrze.

– Tylko prędko.

– No! dobrze, ale jeżeli je upuścimy, to już naprawdę niczego nie da się zrobić.

– Trzeba będzie je umyć.

– Ale skąd przyniesiemy wodę?

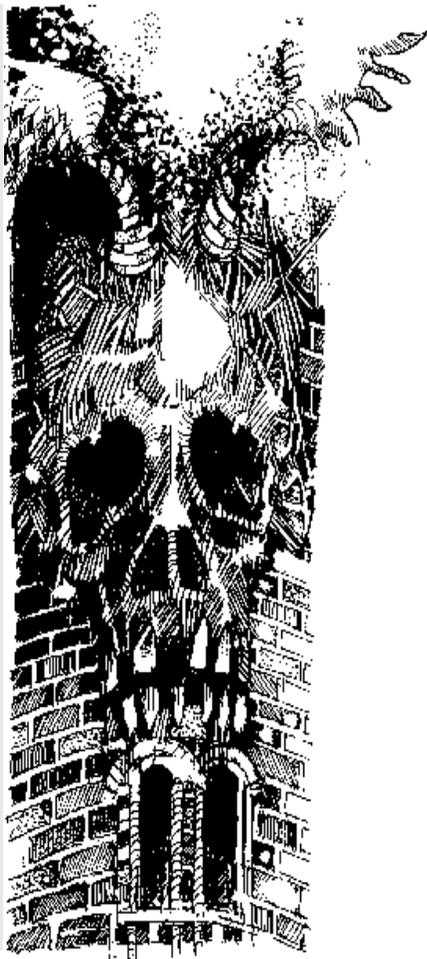
– Przynieś psa!

– Pociąg już nadjeżdża.

– Biegnijmy.

– Straszne, straszne!

W nieznanym domu



1. Io umarła w Peszcie przy ulicy Váci w roku 1843 albo 44. I gdy przedwczoraj, późnym wrześniowym zmierzchem zablądziłem do owego domu, objęła mnie w ciemnościach łagodnie, jak jakiś pachnący wietrzyk, który unosi się nad oleandrami. Podwórze, na którym to się zdarzyło, dokąd się przybłąkałem, było ciasne, a na drugim piętrze, w trójkątnej dachu, nader jaskrawo jaśniała szarozielona barwa zmierzającego nieba.

Obejrzałem, wszystkie piętra, ale nikogo nie zauważyłem. Natomiast za oknami ukrywały się obumarłe uśmiechy, i Io znowu objęła mnie w ciemnościach, łagodnie, jak jakiś wonny wietrzyki pocałowała mnie w usta. Bojaźliwie, przelotnie. Tak jakby tylko przytknęła miękkie wargi do moich ust. A jej usta jakby się unosiły w powietrzu, tuż przed moimi wargami.

2. W owej chwili zobaczyłem ją. Nadchodziła z lampą oliwną w ręce, w końcu korytarzyka na drugim piętrze. Podniosłem na nią wzrok, uśmiechnęła się do mnie jak niewinna dziewczyna, która pierwszy raz uśmiecha się do mężczyzny. Rozejrzałem się po podwórzu i spostrzegłem, że zamknięto bramę. Stara kobieta otulona w zieloną chustę, zawiesiła lampę oliwną na ścianie i usiadła na krześle. Zaś Io zeszła do mnie wąskich spiralnych schodach. Nuciała starą pieśń, i uśmiechnąwszy się blade i skromnie, wyciągnęła do mnie rękę.

– Io – powiedziałem – ty znałaś dziadka.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Na jej czerwonej, lekkiej sukience, i obnażonej, pachnącej szyi, tańczyły drobne, świetliste pierścienie. Szeroko otwartymi oczami, milcząc wpatrywała się w moją twarz.

– Io – powiedziałem – jeżeli nie chcesz mówić, zabierz mnie do swojego pokoju.

3. Odwróciła się i ruszyła na górę po krętych drewnianych schodach. Gdy dotarliśmy na pierwsze piętro, zobaczyłem, że wszystkie drzwi szeroko otwierają się na korytarz, i wychodzą przez nie dziewczęta w kolorowych sukienkach. Wszystkie były brzydkie i antypatyczne, i powinienem był bać się ich trujących perfum, których drobny obłoczek przelatujący od nich do mnie. Io spieszyła się. Gdy znalazłem się na drugim piętrze już widziałem światła na dole. Co więcej, wydawało mi się, że wszystko, co tam było, zapadło się, zniknęło w otchłani, i nie ma niczego prócz tych drzwi, a za nimi pokój Io. Zadrżałem na tę myśl i prawdopodobnie runąłbym w przepaść, gdyby Io nie objęła mnie i popchnęła do niewielkiego pokoju. W oknie wisiały białe firany. Przy ścianie stała wysoka, kanciasta szafa i łóżeczko z baldachimem. Jej łóżeczko.

– Io – powiedziałem – połóż się do swojego śmiertelnego łóżka i zaśnij.

Nie wyrzekłszy słowa zaczęła się rozbierać. Ściągając pończochy, zdejmując czerwone pantofelki i lekkie jedwabny płaszcz, uśmiechała się do mnie wymuszenie i zarazem nieskromnie. Potem usiadła na łóżku, po chwili, uśmiechając się, ułożyła głowę na poduszce i wsunęła pod narzutę dziwnie drobne, dziewczęce, blade nogi.

4. – Och, ja wiem, Io, to była wiosna, kiedy spotkałaś się z dziadkiem. I ujrzałaś na jego siedemnastoletniej, różowej, chłopcęj twarzy błogosławieństwo miłości. Prawda, Io, że był on najpiękniejszy spośród tych chłopców, którzy wówczas studiowali farmację na uniwersytecie. Przecież znałaś ich wszystkich. Jego delikatne, białe ręce były gładkie, bez zmarszczek, a niebieskie żyły, które później, kiedy ja już żyłem, nabrzmiały i wypuczyły się, wtedy jeszcze były ukryte wśród świeżych, pulsujących życiem mięśni. Prawdopodobnie całowałaś także jego ręce, czemu wcale bym się nie dziwił, ponieważ kochałaś go, Io, i dlatego uwodziłaś go w tym pokoju.

Ileż to razy potem dziadek siadywał obok ciebie? A ty, na jego piękną, młodą twarz nakładałaś cienkimi warstwami brzydko pachnące piżmo, które przechowywałaś w pudełeczku. To, Io, sprawiałaś, że na różowej twarzy dziadka osiadły drobne zmarszczki, i to tak wcześniej, wokół oczu i obok nozdrzy.

Nie oskarżam cię, Io, chcę ci tylko powiedzieć, że z twojego powodu płakała babcia ilekroć ogarniał ją lęk, że dziadek już jej nie kocha. Bo też już jej nie kochał. W całym swoim życiu kochał tylko ciebie, Io, o czym, być może, nie wiesz? Natomiast ja wiem niemal na pewno, że dziadek zanim wyjechał z Pesztu na letnie ferie, długo obcałowywał twoją szyję, także usta, a nawet zapłakane fiołkowe oczy. Ty byłaś przepełniona miłością do niego niczym upojona nektarem pszczołka, która spadła z krzewu bzu i śni o tym, co będzie i o tym, co było.

5. Dziadek wrócił do domu – dobrze o tym wiem – a ty potem zgrzeszyłaś. Popeliłaś największy grzech, Io; zapomniałaś, zapomniałaś. Dla kobiet, takich jaką ty wtedy byłaś,

jest to grzech najcięższy. Nigdy nie mogłaś tego naprawić. To zapomnienie zrujnowało twoją młodość, przyspieszyło bieg czasu, wskutek czego szybko postarzałaś się, stałaś się złą kobietą, ponieważ wyrzekałaś się pamięci o słodyczy jego pocałunków, i po prostu całowałaś się z innymi. I kiedy już znacznie później dziadek przyjechał do Budapesztu z ze swoim synkiem, a moim ojcem, spotkaliście się na ulicy Stació. Pamiętasz? Czy zapomniałaś także i to? To było w dniu św. Stefana. Ojciec trzymał się wskazującego palca na lewej ręce dziadka, a szeroko otwartymi, brązowymi oczętami gapił się na cuda wielkiego, nieznanego miasta. A ty przystanąłaś na rogu ulicy i nie poznałaś dziadka, potrafiłaś zapomnieć, że niegdyś tak gorąco kochałaś jego twarz, usta, oczy... Och ty, podła!

6. Wtedy twoja dusza była już do cna zepsuta – ty sama ją zrujnowałaś – i byłaś do tego stopnia bezlitosna i nieczuła, że kiedy dziadek zauważył cię, odwróciłaś się odeń plecami i odeszłaś w przeciwnym kierunku.

Dziadek długo myślał o tobie, i kochał cię tak samo jak przedtem. Miał bowiem prawdziwie szlachetną, męską duszę i nic nie mogło zeń wyrwać korzeni pierwszej miłości. Owego dnia wieczorem, kiedy położył spać zmęczonego synka, a mojego tatuśka, długo się zastanawiał, czy nie powinien wyruszyć na poszukiwanie ciebie. W końcu jednak nie wyruszył. Siedząc przy świetle świecy w swoim pokoju w hotelu „Biały koń”, nie zmrużył oka do samego świtu, i pozwolił, aby wspomnienia twoich dawnych pocałunków grały mu w duszy nastrojową muzykę najpiękniejszych lat jego młodości.

Cóż mam ci jeszcze powiedzieć, Io. Nawet na łożu śmierci dziadek myślał o tobie. A tam, obok łóżka stała babcia, ta piękna, cudownie miła, wierna kobieta, i podawała mu lekarstwa, i ocierała mu pot z czoła. A jednak dziadek myślał o tobie.

7. To wszystko chciałem ci powiedzieć, Io. Chciałem też poprawić zasłony wokół twojego śmiertelnego łóżka, a także zapalić kaganek pod świętym obrazem. A teraz pozwól, że odejdę.

Io skłoniła głowę na poduszkę, przyglądała mi się ze smutkiem, i wyciągnęła się na łóżku jak jakieś martwe kociątko. Poprawiłem białe zasłony baldachimowi i zapaliłem kaganek z niebieskim szkłem pod obrazem Panny Marii. Fiołkowe, otwarte oczy Io, widziane poprzez białą koronkową woalkę, wydały się ciemne jak dwa biedne, zabłąkane, nieżywe chrząszcze.

– Io – powiedziałem – nie ma dla ciebie litości na tym świecie. Nigdy nie zaznasz spokoju, i nocami będziesz musiała chodzić po korytarzu i klatce schodowej, aby widmowym pocałunkiem ploszyć serca chłopców i mężczyzn wracających późno do domu. Żal mi ciebie z powodu tak smutnego życia. Nie ma dla ciebie przyjemniejszych miejsc na spacer nad te małe, drewniane schody i ciasny korytarz w bladym świetle naftowej lampy. Zwłaszcza, gdy dozorca jest skapcem i lampa w tego powodu żałośnie kopci... Muszę już iść, Io, niebawem zapadnie noc, Bóg z tobą!

8. Wyszędłem z pokoju. Potykając się, dotarłem na dziedzińiec, opuściłem ten dom. Upłynęło jednak wiele nocnych godzin, nim dotarłem do mojego domu. Kiedy mi otwierano bramę, poczułem lekkie dotknięcie w ramię i przeszył mnie dreszcz. Jakby mnie na moment pochwyciła kobieca ręka, jakby jakiś wietrzyk albo duch pocałował mnie w szyję.

1909

GÉZA CSÁTH (1887-1919) uważany jest za ojca nowoczesnej noweli węgierskiej. Z wykształcenia lekarz-neurolog, był także cenionym krytykiem muzycznym, do swoich utworów scenicznych komponował muzykę i projektował dekoracje. Jego nowela pt. „Matkobójstwo” porównywalna jest z arcydziełami gatunku takich mistrzów jak A.E. Poe czy Guy de Maupassant. Modernistyczna aura, oniryczne wizje zderzone z suchym, powściągliwym realizmem, podświadomość, przemożne odczucie tajemnicy bytu – oto trwałe walory prozy węgierskiego mistrza z początku ubiegłego stulecia. Człowiek ocierający się o genialność, wskutek uzależnienia od opium, zrujnował swoją karierę, i zdrowie, zakończył życie samobójstwem.

Kto to Bertie Wooster? Bohater wielu powieści i opowiadań P.G. Wodehouse'a, legendarnego brytyjskiego humorysty, bez którego twórczości nie byłoby wielu dzisiejszych seriali BBC, a kto wie, może nawet Monty Python byłby mniej zabawny. Drugim sztandarowym bohaterem prozy Wodehouse'a jest Jeeves, uosobienie wszystkich możliwych cech idealnego angielskiego butlera, z absolutną lojalnością wobec swego chlebodawcy i sporą dozą opiekuńczości na czele. Opiekuńczości, albowiem Bertie, czy może raczej lord Bertram Wooster, niepoprawny lekkoduch i utracusz opieką bezwzględnie wymaga. Inaczej nieraz wpadłby w poważne tarapaty natury towarzyskiej czy finansowej, albo co gorsza, przyjąłby oświadczyń jakiejś nieodpowiedniej panny. No i Jeeves bywa niezastąpiony jeśli trzeba sporządzić miksturę łagodzącą objawy tzw. syndromu następnego dnia. Przecież mówiłem – jest niezastąpiony. Poza tym pojawia się w tych utworach, określanych przez samego Wodehouse'a, jako literatura lekka, cała galeria mniej lub bardziej osobliwych postaci, na czele których wypadało by wymienić lorda Emsworth z Blandings, który wzorem wielu arystokratów, miał swoje słabostki, a jedną z nich była Cesarzowa Blandings, dorodna... maciora, ozdoba jego hodowli. Kiedy akcja przenosi się do Londynu, poznajemy całą galerię bywalców ekskluzywnych klubów, modnych pubów i eleganckich przyjęć. Wśród nich uwagę zwracają niewątpliwie Piccadilly Jim czy Psmith, ozdoby tego towarzystwa, funkcjonujące w nim często na pieczeniarskich zasadach. Pojawia się także niejaki Spode, parweniusz i człowiek z innej rzeczywistości, o którym tu się jeszcze co nieco powie, oraz mniej lub bardziej wyrafinowani koledzy Jeevesa po fachu.

Wypracowana lekkość bytu

Nie bohaterowie jednak są tu najważniejsi, a sam autor. Trudno byłoby twierdzić, iż niepoprawny Bertie Wooster jest autopotretem Wodehouse'a, ale pewna typowa dla tej klasy społecznej lekkość bytu, jaką został obdarzony, niewątpliwie nie jest pozbawiona elementów autoironii. A jednak na pierwszy rzut oka widać poważne rozbieżności. Autor „Radości o poranku” był człowiekiem bardzo pracowitym. Nie licząc ogromnej ilości felietonów, opublikował około 120 powieści i zbiorów opowiadań. Ale to nie wszystko. Uczestniczył także w wielu amerykańskich produkcjach musicalowych – jako pomysłodawca,

Bertie Wooster w Toszku



P.G. Wodehouse w 1904 roku

WITOLD TURANT

scenarzysta czy autor tekstów piosenek, z których kilka stało się przebojami. Współpracował z takimi gwiazdami Broadwayu jak Jerome Kern czy Cole Porter. Debiutem powieściowym była opublikowana w 1902 roku humoreska zatytułowana „Pothunters”, której akcja rozgrywa się w fikcyjnej prywatnej szkole, której uczniowie odnoszą sukcesy sportowe, a jeden ze zdobytych przez nich pucharów (w slangu uczniowskim „pot”) staje się łupem włamywacza, co stwarza pretekst do ukazania całego łańcucha zabawnych sytuacji i pożartowania z angielskiej policji. Potem ruszyła lawina, której nie zatrzymała nawet śmierć dziewięćdziesięcioczeroletniego autora w 1975 roku. Okazało się bowiem, że nie zostawił po sobie pustych szuflad; różnego kalibru inedyty ukazywały się jeszcze w kilka lat po jego śmierci.

Wodehouse przyszedł na świat w 1881 roku w rodzinie kolonialnego sędziego w Hong Kongu. Odebrał staranne wykształcenie, aczkolwiek nie zwieńczone stopniem uniwersytec-

kim. Ojciec przewidział dla niego karierę w bankowości, co zupełnie nie odpowiadało młodemu Pelhamowi, który dość wcześnie objawił talent literacki. Prawdę mówiąc, oszczędzono mu wiele zgryzot i rozczarowań nieobcych wielu początkującym pisarzom, gdyż na jego satyrycznym talencie poznały się szybko redakcje prestiżowych magazynów po obu stronach Atlantyku. I tak też miała przebiegać cała późniejsza kariera wielkiego humorysty: pomiędzy Londynem i Nowym Jorkiem. Jego literacka płodność zapewniła mu znacznie więcej niż przyzwoity status finansowy. Stosunkowo wcześniej stał się tym, o czym może tylko marzyć wielu artystów jak i wyrobników pióra: bardzo bogatym człowiekiem. I osiągnął coś jeszcze: stał się klasykiem, a jego książki uchodzą do dziś za kwintesencję tego, co słusznie czy nie, nazywamy angielskim poczuciem humoru. Twórczość P.G. Wodehouse'a cieszy się uznaniem graniczącym z uwielbieniem na całym świecie, a jego entuzjaści nawet w Rosji mają swoją stronę internetową.

It's a long way to... Toszek

Wczasach kiedy w Polsce dokonujemy wiwisekcji naszego minionego życia literackiego, warto przypomnieć, że i Anglicy mają za sobą taki okres. Rozrachunki te dotyczyły okresu wojny, a ich motywacja, podobnie jak u nas, była dosyć zróżnicowana. Moralści i ideowi purytanie chcieliby widzieć pisarzy jako istoty żyjące w absolutnej zgodzie z głoszonymi przez nich ideałami i poglądami. Postulat może i słuszny, ale czy realny? Osobiście wątpię. Innym motywem była i jest chęć dopasowania wielkości do gabarytów przeciętniactwa, jako że żadna kruczata nie może się bez tego obejść. Jeszcze inne pobudki, to zwyczajna chęć dokopania, nic nie szkodzi, że leżącemu; ta sytuacja zawsze stwarza szansę błysnięcia w mediach. W powojennej Anglii nie było inaczej. Kiedy postulowano usunięcie pisarza i jego książek raz na zawsze z życia publicznego po zakończeniu wojny, bez znaczenia był fakt, iż MI5, komórka brytyjskiego wywiadu, której zadaniem było wytropienie zdrady, jakiej niektórzy Brytyjczycy dopuścili się podczas wojny i dostarczenie materiału dowodowego dla sądu, orzekła, iż w przypadku autora „Aunts Are Not Gentlemen” o żadnej zdradzie nie mogło być mowy. Oficer zajmujący się tą sprawą, major Cussen stwierdził, że w grę wchodziła tu raczej spora doza niefrasobliwości i brak zdroworozsądkowej oceny sytuacji.

Źródło: http://en.wikipedia.org/wiki/P._G._Wodehouse

Powiedzmy może wreszcie, o co konkretnie chodziło i wyjaśnijmy także związek literackiego giganta z Toszkiem. Otóż w chwili wybuchu wojny, we wrześniu 1939 roku Wodehouse rozkoszował się sielskim życiem w swym domu w Le Touquet we Francji, dokąd wyemigrował, pokazując figę fiskusowi brytyjskiemu i amerykańskiemu. Ponieważ nigdy nie był zwierzęciem politycznym, rozwój wydarzeń pod koniec lata owego pamiętnego roku potraktował jako niewiele znaczącą dla Brytyjczyka, chwilową kontynentalną zadymkę, z której nie istotnego dla literackiej gwiazdy nie może wynikać. Nie zmienił swojego nastawienia nawet w 1940 roku, kiedy Le Touquet został zgarnięty przez fale niemieckiego blitzu. W końcu jego książki znane były także w Niemczech. No i stało się. Został początkowo internowany w Belgii, a następnie przeniesiony do Toszka. Nie był zachwycony swoim nowym łokiem. „– Skoro tak wygląda Górny Śląsk – zapisał w swoich notatkach z tamtego okresu – wolę sobie nie wyobrażać, jak wygląda Dolny.”

Czas internowania skracał sobie i towarzyszym niedoli opowiadaniem dowcipnych dykteryjek opartych na własnych przeżyciach. Zakładał, iż musiał stać się popularnym, lubianym współtowarzyszem internowania. Z pewnością jednak nie te opowiadki były powodem, dla którego zwrócił na niego uwagę Goebbels i inni propagandyści III Rzeszy. Taki autor byłby ozdobą nazistowskiej anteny radiowej i znakomitym uzupełnieniem ujadania Lorda How How.⁽¹⁾ Ostatecznie Duce miał swojego Ezrę Pounda, to czemu Berlin nie miałby mieć swojego Wodehouse'a. Ale tu Niemcy się przeliczyli, nie doceniając ducha niemogącego nigdy dorosnąć Bertie Woostera, który nagle i niespodziewanie odżył w pisarzu. Kiedy po latach opublikował teksty pogadek wygłoszonych dla niemieckiego radia, okazało się, że była to jedna wielka zgrywa. Do pilnie skrywanym przez Brytyjczyków sekretów, jakie autor postanowił ujawnić dobrze traktującym go nazistom należał m.in. gwarantowany sposób odgrzewania... ziemniaków na kaloryferze, tak by nie traciły swoich walorów smakowych. Od tej chwili Wodehouse stał się bardziej kłopotliwym, niż cennym nabytkiem dla wojennej propagandy Niemiec. W 1941 roku na mocy konwencji genewskiej autor „Dewizy Woosterów” został zwolniony z internowania i na jakiś czas zamieszkał w berlińskim hotelu „Adlon”, a następnie przeniesiono go do Paryża, gdzie doznał końca wojny.

Niewątpliwie łagodne obchodzenie się Niemców z Wodehousem stanowiło, zwłaszcza w powojennym klimacie politycznym Anglii, okoliczność obciążającą. Biorąc pod uwagę cierpienia, jakich doznała ludność wyspy, że nie wspomnę o innych narodach Europy, to nie było się czym chwalić. Mocno podejrzany tropicielom zdrady i kolaboracji wydawał się także fakt, iż koszty pobytu pisarza w Berlinie i w Paryżu pokrywały, jak domniemywano, w dużym stopniu władze hitlerowskich Niemiec. Kiedy upadły oskarżenia o zdradę i kolaborację, nie brakowało uszczypliwości ze strony kolegów po piórze, m.in. A.A. Milne'a i Seana O'Caseya. Szczególnie zjadliwe były ataki tego ostatniego, który domagał się, by w imię resztek godności brytyjskiego życia literackiego, wymazać w ogóle twórczość Wodehouse'a z piśmiennictwa angielskojęzycznego. Z niektórych bibliotek publicznych usunięto jego książki. Natomiast w obronę brali humorystę tacy pisarze, jak Evelyn Waugh czy George Orwell. Jak widać, nie było symetrycznego podziału na prawicę i lewicę.

No cóż, każde społeczeństwo rozlicza sprawy domowej hańby, prawdziwej czy domniemanej, po swojemu. Szkoda tylko, że dokumenty wyjaśniające w sposób jednoznaczny sprawę Wodehouse'a rząd brytyjski zdecydował się odtajnić dopiero wiele lat po śmierci pisarza. Okazało się wtedy, iż środki, które pozwalały mu na stosunkowo wygodne życie w Niemczech czy we Francji pochodziły częściowo z tantiem za amerykańskie wydania jego książek, a częściowo była to zaliczka jego hiszpańskiego wydawcy, i były w sposób legalny transferowane do niemieckiego banku.

Pisarz postanowił jednak zmienić klimat i skorzystał z amerykańskiego obywatelstwa swojej żony i przeniósł się za ocean, gdzie mieszkał do końca swoich dni. W 1955 roku otrzymał obywatelstwo amerykańskie i do Wielkiej Brytanii już nie powrócił. Niejako zaocznie w dwadzieścia lat później twórca Jeevesa został mianowany komandorem Orderu Brytyjskiego Imperium, i w tym samym roku otrzymał tytuł szlachecki. W wywiadzie dla BBC powiedział, że „nie ma już żadnych ambicji. Otrzymał tytuł szlachecki, a jego podobizna znajduje się w muzeum figur woskowych Mme Tussaud”⁽²⁾. Zmarł w USA w 1975 roku. Jednakże mimo jego pełnego skromności oświadczenia angielski świat li-

teracki w 2000 roku postanowił uczcić go nagrodą jego imienia przyznawaną co roku autorowi najzabawniejszego dzieła literackiego. – I to jest to – chciałoby się powiedzieć. Podobnie, jak wtedy, kiedy miłośnicy jego stylu i poczucia humoru podziwiają jakiś wyjątkowo finezyjny dowcip, czy to w utworze któregoś ze współczesnych angielskich humorystów, czy to w którymś ze znakomitych seriali BBC – od „Pan dzwonił, Milordzie?” do „Dawnton Abbey”.

Apologia czy krzywe zwierciadło?

Pozostaje jeszcze kwestia języka. Badacze jego twórczości uważają, że uchronił język klas wyższych, a w dodatku wzbogacił go o slang ekskluzywnych pubów i kręgów byłych oksfordczyków czy studentów Cambridge. Kiedy czytam wynurzenia Bertie Woostera czy Piccadilly Jima, mam w uszach jeden z wierszy Sir Johna Betjemana zatytułowany „Varsity Rag” wykonywany przez autora w formie melorecytacji⁽³⁾. To przecież wspomnienia Bertie Woostera z czasu studiów. Powtarza się też od czasu do czasu zarzut, iż pisarstwo Wodehouse'a to nie tylko pusta i bezideowa rozrywka, ale pomnik wystawiony angielskiej arystokracji, a sam pisarz żył i tworzył w całkowitej izolacji od społeczeństwa i nurtujących go wydarzeń. Rzeczywiście, nie była to literatura tak zaangażowana, jak twórczość Grahama Greena, Evelyn Vaughna czy George'a Orwella, ani tak pełna niezadowolenia społecznego, jak utwory „młodych gniewnych”, to oczywiste. Była także mniej zjadliwą satyrą od utworów Spike'a Milligana, ale żeby aż pomnik czy apologia klas wyższych? Owe klasy były środowiskiem naturalnym pisarza, więc trudno wymagać, żeby tworzył raporty z życia mieszkańców slumsów czy robotniczych dzielnic. Gdyby jednak uprzeć się, że miały to być pomniki, to byłby on skonstruowany na zasadzie krzywego zwierciadła raczej czy gabinetu osobliwości, ale tworzonego raczej z ciepłym i dobrodusznym humorem rodem z Dickensa, niż zjadliwą ironią wspomnianych już „młodych gniewnych”. A rzeczywistość społeczna? To wspomniany już wcześniej Spode, a dokładniej Sir Roderick Spode, nacjonalista przewodzący bandzie rozwrzeszczanych młokosów w krótkich spodenkach i drących się przy każdej okazji „heil Spode”, to karykatura angielskiego faszysty, Sir Oswalda Mosleya. Jeśli ktoś to nie przekonuje, trudno.

Czy Toszek odegrał istotną rolę w życiu autora powieści „Inimitable Jeeves”? Z pewnością tak, choć zapewne nie była to rola inspirująca. Najprawdopodobniej tu właśnie zakiełkowały ziarna skandalu. Tak właśnie brytyjska badaczka, Margaret Drabble określa⁽⁴⁾ sytuację powojenną Wodehouse’a. Miasteczko, które należy z pewnością do najładniejszych na Śląsku dla angielskiego pisarza okazało się nie tylko niezbyt interesujące, jako że trudno w odosobnieniu i pod strażą rozkoszować się jego urokami, ale i pechowe. Wszystko wskazuje bowiem na to, iż tu właśnie podjął ową niefortunna decyzję. Zachował się jak Bertie Wooster i nie było przy nim Jeevesa, by wytłumaczyć mu jej dalekosiężne skutki. Toszek przeszedł zatem do historii literatury angielskiej (jest wymieniany niemal w każdym opracowaniu dotyczącym Wodehouse’a) jako miejsce może nie tyle upadku czy hańby, ale porażki pewnej postawy tak pielęgnowanej przez Anglików poprzez stulecia, a którą określają jako „stiff the upper

lip”⁽⁵⁾. Pisarz nie zacisnął zębów, a w każdym razie nie wystarczająco. Patrząc na to od drugiej strony, to i sam Toszek miał pecha. Mógł przejść do historii literatury, jako miejsce pobytu pisarza światowej sławy, co byłby najprawdopodobniej kolejnym listkiem wawrzynu w wieńcu historycznych wydarzeń związanych z miastem, może zyskałby jakąś atrakcję turystyczną związaną z pisarzem, która dziś przyciągałaby miłośników jego twórczości, których, jak tu już wspomniano, jest na całym świecie całkiem spore grono, choćby ulicę nazwaną jego imieniem. A tak? Kłopot dwuznaczności, której i bez Wodehouse’a w dziejach śląskich miast bywa całkiem sporo. I pomyśleć, że całe to zamieszanie z powodu pięciu radiowych pogadank. Wygląda na to, iż reputacja pisarza przypomina trochę reputację kobiety – nic nie plami jej tak jak atrament. Nawet małeńkie plamki trudno wywabić mimo upływu lat.

Druga strona medalu wygląda tak, że nikt nie jest w stanie przewidzieć, jakie skutki przyniesie ze sobą publiczne wystąpienie, na co dowody znajdujemy niemal codziennie w mediach. Czasem niewinna lub beztrzesko

wypowiedziana uwaga może wywołać lawinę krytyki i tzw. hejterstwa, w przypadku internetu. Czy chcemy tego czy nie, pisarz, jako osoba publiczna, a może nawet wysokiego publicznego zaufania, znajduje się w sposób szczególny pod lupą opinii społecznej. Tak naprawdę, to każdy z nich powinien się liczyć z tym, iż prędzej czy później może znaleźć się w takiej sytuacji, jak Wodehouse w Toszku. Jak się wtedy zachowa? Jeśli mi powie, że wie na pewno, iż odegra rolę niezłomnego księcia rozśmieszy mnie do łez. Choć szczerze mówiąc, powieści Sir Pelhama są znacznie bardziej zabawne.

⁽¹⁾ Amerykański renege William Joyce, naśladujący na antenie radia Hamburg w nazistowskim programie propagandowym „Germany Calling” sposób mówienia brytyjskiego arystokraty. Ujęty w 1945 na terenie Niemiec przez Brytyjczyków i stracony.

⁽²⁾ http://en.wikipedia.org/wiki/P.G._Wodehouse

⁽³⁾ <https://www.youtube.com/watch?v=A3Lw-X84RRc> (tu w wykonaniu Nigela Hawthorna)

⁽⁴⁾ Margaret Drabble: *The Oxford Companion To English Literature*. Oxford University Press, Oxford 1985

⁽⁵⁾ Usztywnianie górnej wargi – odpowiednik polskiego zaciskania zębów.

www.poradniajęzykowa.pl

Chciałbym zarejestrować związek pasjonatów polskiej motoryzacji. Nazwa miałaby zaczynać się od słów polski związek, a kończyć słowami motoryzacji zabytkowej. Brakuje mi w niej słowa-klucza, które wskaże, że chodzi wyłącznie o polską motoryzację, tj. rowery, motory, auta osobowe, ciężarowe, traktory i maszyny rolnicze. Słowo rodzima wydaje mi się rzadko używane i przestarzałe. Pozostały jeszcze słowa krajowa, ojczysta i narodowa. Pomóżcie państwo, bo potrzebuję nazwy uniwersalnej, ponadczasowej.

Polski Związek czy Związek Polski

W polszczyźnie rzeczownik *związek* oznacza zespół ludzi, instytucji, państw zorganizowanych, działających wspólnie, mających wspólne cele. *Słownik skrótów i skrótowców* Jerzego Podrackiego pokazuje, że w nazwach organizacji słowo *związek* najczęściej łączy się z rzeczownikami

nazywającymi ludzi, np. *Związek Artystów Scen Polskich, Związek Maklerów Papierów Wartościowych, Polski Związek Działkowców*. Są też połączenia z rzeczownikami oznaczającymi instytucje, państwa, jak *Związek Ochotniczych Straży Pożarnych, Związek Banków Polskich, Związek Spółdzielni Rybackich, Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich*. Wynika z tego, że związek zwykle grupuje ludzi, a nie np. maszyny, dlatego niefortunne byłoby połączenie *Związek Motoryzacji*, zwłaszcza że jego członkami mieliby być **miłośnicy** motoryzacji. Czy nie lepiej brzmi *Związek Miłośników*? Innym problemem jest to, że słowniki nie odnotowują rzeczownika *motoryzacja* w znaczeniu ‘pojazdy’, podają jedynie, że *motoryzacja* to zjawiska związane z pojazdami wyposażonymi w silnik. Rozumiem intencję, by jedną nazwą objąć ogół pojazdów, ale sądzę, że połączenie *motoryzacja zabytkowa* nie jest poprawne semantycznie. Może więc lepiej w nazwie użyć wyrazu *pojazd*, mającego ugruntowane w naszym języku, a zarazem szerokie znaczenie ‘urządzenie do transportu lądowego przy-

stosowane do poruszania się na kołach, gąsienicach lub płożach po szynach”, które obejmie wszystkie wymienione przez Pana pojazdy. Jeśli natomiast chce Pan podkreślić, że idzie o wyłącznie polskie pojazdy, może Pan użyć przymiotnika *rodzimy*, nie jest to bowiem wyraz przestarzały, ma jedynie charakter książkowy i oznacza ‘właściwy danemu narodowi, krajowi, domowi, pochodzący z niego’, np. *rodzimy krajobraz, rodzima kultura, rodzimy wyraz, rodzimy przemysł*. Przymiotnik *krajowy* ma w miarę neutralne znaczenie: ‘pochodzący z kraju – państwa, ojczyzny, właściwy jakiemuś krajowi’, do potrzebnej Panu nazwy jest więc równie odpowiedni (mamy np. *krajowe jabłka, krajową literaturę, krajową produkcję*). Przymiotniki *ojczysty* i *narodowy* do nazwy związku o charakterze niepolitycznym, niepatriotycznym wniósłoby natomiast nastrój zbyt podniosły, uroczysty, toteż zdecydowanie nie polecam ich stosowania w odniesieniu do pojazdów mechanicznych.

Ostatecznie proponuję zastanowić się nad nazwą **Związek Miłośników Polskich Pojazdów Zabytkowych**. Nazwa ta z pominięciem słowa *Miłośników* byłaby nieszczególnie fortunną, ponieważ to właśnie miłośnicy i ich pasje są sercem i siłą związku.



Florian Śmieja – iberysta, poeta, tłumacz, redaktor pism emigracyjnych, podróżnik.

Z Kończyc do Kanady

JAN COFAŁKA

Spytałem prof. Jana Miodka, czy nie wie, gdzie może się podziwiać poszukiwany przeze mnie a zaprzyjaźniony z nim, prof. Florian Śmieja, odpowiedział błyskawicznie:

„Jak to gdzie, w drodze z Kanady do Polski lub na odwrot”. Ostatnio jednak, po obchodach diamentowych godów małżeńskich i ukończenia 89. roku życia, straszę, że nie wie, czy będzie mógł przyjechać do Wrocławia, by odebrać przyznany mu właśnie przez uniwersytet tytuł doktora honoris causa.

Po śląsku

Florian Śmieja urodził się w rodzinie w której mówiono po śląsku, co znaczyło po polsku. Ojciec pochodził z Dobrzenia Wielkiego, matka ze Starych Siólkowic, gdzie prawie wszyscy mieszkańcy gotali po polsku.

Jego dziadkowie mieli nadzieję na powrót Śląska do Macierzy, gdy jednak po powstaniach śląskich i plebiscycie, tylko jego część przypadła Polsce, pomogli rodzicom urządzić się po polskiej stronie. Trafili do Kończyc, pierwszej polskiej miejscowości przylegającej do przypisanego Niemcom Zabrza. Właśnie w Kończycach urodził się 22 sierpnia 1925 roku najstarszy ich syn Florian.

Mały Florian bardzo chciał się uczyć. Przekonanie o tym ojca nie było łatwe, bo uważał, że syn powinien szybko zdobyć jakiś konkretny fach, usamodzielić się i zarabiać na życie. – Czytanie książek – twierdził – temu nie służy. Ty zaś – wymawiał mu – nic nie robisz tylko książki czytasz! W końcu jednak uprosił rodziców, by pod koniec szkoły podstawowej przenieśli go do Tarnowskich Gór do tzw. ćwiczeniówki z internatem przy seminarium nauczycielskim, aby miał większe szanse na pomyślne zdanie egzaminu do gimnazjum.

W mundurku na wojnę

Już miesiąc przed wybuchem wojny w 1939 roku w Kończycach co noc słychać było wystrzały. Ojciec Floriana, czując co się święci, spakował rodzinę i zawiózł do wuja w Katowicach. Tam pojawił się jego znajomy, inżynier, który wracał do pracy pod Stryjem. Uzgodnił z nim, że zabierze z sobą Floriana, bo tam będzie bezpieczniejszy. Spakowano mu walizeczkę i, ubrany w mundur gimnazjalny, z niklowaną wiatrówką, złotym kieszonkowym zegarkiem ojca oraz stułotowym banknotem wyruszył 1 września 1939 roku na wschodnie kresy Drugiej Rzeczypospolitej.

Na dworcu w Katowicach panował potworny tłok. Po drodze zobaczyli pierwsze eskadry niemieckich samolotów i trupy przy torach kolejowych. We Lwowie, w oczekiwaniu na przesiadkę, przeżyli pierwszy alarm, kiedy zawyły syreny i w pobliżu zaterkotały karabiny maszynowe. Pod wieczór odjechali jednak w kierunku Stryja.

Na miejscu Florian zamieszkał w chacie za przyjaźnionego z inżynierem gospodarza, płacąc za stancję i kupując chleb, masło i mleko. Tym samym, jako czternastolatek, rozpoczął, z daleka od domu, samodzielne życie. Wkrótce gruchnęła wieść o wkroczeniu Armii Czerwonej na tereny wschodniej Polski. Inżynier Wieczorek, pośpiesznie spakował rodzinę w swój mały samochód, jemu zaś kazał wracać na Śląsk na własną rękę.

Na szczęście pojawiło się tu trzech pocztowców ze Śląska, którzy nie chcieli wpaść w ręce Sowietów ani Ukraińców i pozwolili, aby się do nich przyłączył. Uciekając wpadli jednak na posterunek niemiecki. Pocztowcy znali niemiecki. Niemcy odebrali im broń i wypisali przepustkę upoważniającą do przejazdu na Śląsk. Z tym glejtem dotarli do Krakowa, gdzie pocztowcy postanowili pozostać. Florian, w gimnazjalnym mundurku, ale już bez czapki zgubionej po drodze, został sam. Do tego pozbawiony jakiegokolwiek dokumentu, który by stwierdzał skąd i dokąd jedzie. Udało mu się jednak wślizgnąć do pociągu wiozącego konwojowanych do obozów jeńców wojennych. Miał szczęście, bo pociąg ten przejeżdżając przez dworzec w Katowicach, zatrzymał się. Wyskoczył więc na peron, na którym roilo się od niemieckich żołnierzy i pośpieszył w kierunku wyjścia. Pojawił się kłopot, bo nie posiadał żadnego biletu, a przy kolejarzu odbierającym bilety od podróżnych stał żołnierz. Namacał jednak w kieszeni proszek od bólu głowy tzw. „kogutek”, którego opakowanie nie różniło się prawie od kartonika biletu. Dostrzegł też, że kolejarz odbierający bilety nie bardzo się im przygląda, więc kiedy przyszyła na niego koleją, sprytnie włożył „kogutka” między odbierane bilety, po czym wybiegł z dworca, by niebawem zapukać do mieszkania wuja. Był 27 września 1939 roku.

Wyjazd na zawsze

W styczniu 1940 roku, ciągle jeszcze czternastoletni Florian Śmieja otrzymał, jako zdolny do pracy na roli, pismo wyzywające go do stawienia się na stacji kolejowej w Chebziu, Wylądował w Meklemburgii. Jego bauer gdy go zobaczył, zdumiał się. Czekal na roślego parobka do roboty, a stało przed nim jakieś przestraszone chuchro. I to chuchro, nienawykłe do ciężkiej pracy fizycznej, musiało przez ponad trzy lata, dwa razy dziennie wyrzucać gnój od dwudziestu krów,

oporządzać je oraz opiekować się koniem. Do tego ledwie rozumiał bauera, bo słabo znał niemiecki.

Kiedy Hitler zaczął przegrywać wojnę, zdarzały się ucieczki z robót przymusowych i przypadki przenoszenia się robotników do innych bauarów. Wiosną 1944 roku, udało się Florianowi, dzięki pośrednictwu pewnego ogrodnika z pochodzenia Polaka, przenieść się do sadowników pod Antwerpią, gdy zaś weszli tam żołnierze I Dywizji Pancerniej gen. Tadeusza Maczka, zgłosił się na ochotnika do Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie.

Z wojska do szkoły

Kiedy kończyła się II wojna światowa miał 19 lat i ukończone dwie klasy tarnogórskiego gimnazjum. Wraz z tysiącami żołnierzy polskich, jacy znaleźli się na Wyspach Brytyjskich stanął przed dylematem: co dalej robić? On chciał się uczyć. Nie bez kłopotu udało mu się dostać do Liceum Wojskowego im. Juliusza Słowackiego w Glasgow i wylądował w Garelochhead w Szkocji, gdzie szkoła otrzymała siedzibę w opuszczonych przez marynarzy blaszanych barakach. Tam w 1947 roku uzyskuje świadectwo maturalne, z zachętą poszukania jakiegoś praktycznego zawodu, chociaż chciał się dalej uczyć.

Trudna decyzja

Florian Śmieja przyznaje, że po zakończeniu wojny był totalnie zdezorientowany i nie bardzo wiedział co robić. Z domu dotarła wiadomość, że najbliższa rodzina wojnę przeżyła. Wtedy chciał wracać do Polski, ale ciągle się wahał, choć odczuwał napór na pozbycie się z Wypływ Brytyjskich niepotrzebnych już po wojnie Polaków. Pytano go, jeszcze w Szkocji, gdy chodził w polskim mundurze, dlaczego nie wraca do kraju. Wielu polskich żołnierzy jednak uważało, że coś im się od Brytyjczyków, za obronę ich kraju należy i powinni oni im pomóc w przygotowaniu się do życia w cywilu.

Ostatecznie na jego decyzję o pozostaniu na obczyźnie wpłynęli polscy oficerowie z armii gen. Władysława Andersa, którzy znali prawdę o Katyniu i wielu z nich – zanim trafiło do polskiej armii – przeżyło sowieckie wywózki na Sybir. Do tego rozpoczynała się tzw. „zimna wojna” między komunizmem i kapitalizmem grożąca, jak się wówczas wydawało, rychłym wybuchem III wojny światowej.

Florian Śmieja po latach wyzna, że nie liczył na to, iż się zakorzeni i pozostanie za granicą: „Ja czułem się człowiekiem, który tam został, ale właściwie czekał na powrót”.

Studia

Dostać się na jakąkolwiek uczelnię tuż po wojnie było niezwykle trudno, bo do nauki garnęły się rzesze młodych ludzi. Ponadto jego interesowały studia humanistyczne, których Brytyjczycy raczej nie przewidywali dla cudzoziemców. Chodził więc po różnych stowarzyszeniach w Londynie szukając szansy aby studiować.

W końcu w Fundacji Veritas trafia na człowieka, który uznał, że Polsce będą także potrzebni wykształceni na Zachodzie humaniści i zakwalifikował go na studia w Cork, w południowej Irlandii, intratnie, bo na mocy porozumienia z brytyjskimi władzami, Irlandczycy, kształcąc byłych żołnierzy, otrzy-



Florian Śmieja w mundurku gimnazjalnym z młodszymi braćmi Alojzym (po lewej) i Jerzym (po prawej stronie) oraz kolegami w Kończech, 17 sierpnia 1938.

mywali dla nich stypendia z Wielkiej Brytanii. Studia kończyły się licencjatem. Na starcie musiał wybrać pięć języków. Do łaciny i greki, które zadeklarował studiować, dołożono angielski, niemiecki i hiszpański, bo taki tu był. W nauce hiszpańskiego pomagała mu znajomość podstaw łaciny, którą wбили mu do głowy łacinnicy jeszcze w Tarnowskich Górach.

W 1950 roku wraca z Irlandii do Anglii i zostaje asystentem prof. Jerzego Pietrkiewicza w Uniwersytecie Londyńskim, który namówił go, aby od razu, zapisał się do King's College, gdzie uzyskał magisterium z filologii hiszpańskiej, co miało dla niego decydujące znaczenie, bo brytyjska szkoła iberystów miała wysoką międzynarodową renomę.

Jako magister filologii hiszpańskiej uczy tego języka żołnierzy amerykańskich w różnych bazach na terenie Wielkiej Brytanii i podejmuje studia doktoranckie. Przedmiotem jego zainteresowania stał się złoty wiek literatury hiszpańskiej w okresie baroku.

Obroniony w 1962 roku doktorat w King's College otwarł mu możliwość zatrudnienia w Londyńskiej Szkole Ekonomii i Politologii, zaliczanej do najważniejszych ekonomicznych i polityczno-społecznych uczelni na świecie, która chlubi się 13 absolwentami laureatami Nagrody Nobla i kilkudziesięcioma obecnymi i byłyimi szefami państw, w tym prezydentem USA Johnem F. Kennedym. Florian Śmieja pracuje tu sześć lat, wykładając również na uniwersytecie w Nottingham w środkowej Anglii. Wybiegliśmy jednak za bardzo do przodu.

Ślub z Zofią Poniatowską!

W dniu 17 lipca 1954 roku Florian Śmieja, żeni się w Londynie z przedstawicielką jednego z najznakomitszych arystokratycznych rodów polskich – Zofią Poniatowską. Na ich ślub przybyła marszałkowska Aleksandra Piłsudska.

Młodsza od niego o siedem lat Zofia Poniatowska przyjechała do Anglii z rodziną w 1948 roku, do przebywającego tu ojca Józefa, przedwojennego posła na Sejm RP i dyrektora Biura Ekonomicznego Prezesa Ra-

dy Ministrów, żołnierza 2. Korpusu Polskiego gen. Władysława Andersa, który po demobilizacji pracował w Londynie i był jednocześnie ministrem spraw krajowych w Rządzie na Wychodźstwie.

Do teścia przyjeżdżał kuzyn, Juliusz Poniatowski, przedwojenny minister rolnictwa, który zaprosił nowożeńców do siebie do Paryża. Postarał się dla nich o pokój i przygotowywał im posiłki, z wyborymymi sałatkami. Po Paryżu Państwo Młodzi udali się, z plecakami, autostopem do Hiszpanii.

Kiedy Florian Śmieja się ożenił miał wydany w 1953 roku tomik wierszy pt. „Czuwanie u drzwi”, był też autorem zauważanych publikacji. Dzięki jednej z nich poznał przyszłą żonę, zaprzysięgłą harcerkę. Doszło do tego za sprawą profesora romanistyki Stanisława Strońskiego (wicepremiera i ministra w rządzie gen. Władysława Sikorskiego), który po jednym z artykułów Floriana Śmieji, zaprzagnął go poznać. Zwrócił się do młodzickiej studentki Zofii Poniatowskiej, aby go z nim, kiedy przyjdzie na jego wykład, skontaktowała. Do spotkania z profesorem doszło – i jak napisze po latach Florian Śmieja: „A pośredniczką zająłem się tak troskliwie, że zgodziła się zostać moją żoną”.

Wejście w rodzinę Poniatowskich z pewnością nobilitowało Floriana Śmieję, ale na emigracji liczył się jego pragmatyzm, wolny od romantycznych uniesień i wielkich patriotycznych gestów, słaskie poczucie realiów i praca. Zdobywał sobie tym uznanie w skłóconym emigracyjnym środowisku. Tym zaś, co się działo w jego wnętrzu i domagało się refleksji, wypełniał swoje wiersze.

Powiew intymności

Wiersze pisał zawsze, lecz zaczął je upubliczniać około 1950 roku, gdy poznał uznanego poetę Józefa Bujnowskiego i ten ocenił, że należy je drukować. Po debiutancim tomiku „Czuwanie u drzwi”, wyda jeszcze w Londynie w 1964 roku, „Powikłane ścieżki”. Następnie opublikuje już w Kanadzie i w Polsce, najwięcej gdy przeszedł na eme-

ryturę i mógł skupić się na działalności wydawniczej.

Jego poezja – jak twierdzą znawcy – jest niestandardowa w sensie ujmowanych wątków. Znajduje się w niej sporo refleksji intelektualnej, z pytaniami o sens egzystencji ludzkiej poddanej okrucieństwom historii i zagrożeniom cywilizacyjnym jakich doświadczało jego pokolenie. Jest w niej wyczuwalne zawieszenie poety w skomplikowanym świecie, w którym usilnie poszukuje miejsca dla siebie. Z wiekiem pojawia się wątek przemijania. No i sporo w niej, zrozumiałej przecież, nostalgii emigranta za ziemią ojczyzną. Píše wiersze językiem bardzo intymnym, dlatego są one nade wszystko powiewem intymności i jako takie towarzyszą (pomagają) mu w wieloletnim wzmaganiu się z losem emigranta.

Emigracyjne swary

Oprócz pracy naukowej i dydaktycznej Florian Śmieja niezwykle aktywnie uczestniczył w życiu literackim i wydawniczym emigracji, która była bardzo wrogo nastawiona do powojennej Polski. On zaś uważał, że powinno się utrzymywać kontakty w kraju z tymi, którym najdroższe są tradycje narodowe. Takimi osobami godnymi zaufania byli dla niego m.in. ludzie z kręgu „Tygodnika Powszechnego” z którymi potajemnie utrzymywał kontakty.

Florian Śmieja redagował m.in. wychodzący w Londynie, wydawany przez Zrzeszenie Studentów i Absolwentów Polskich dodatek do tygodnika „Życie”, następnie w 1957 roku podjął się przebudowy, aby sprostał zmieniającym się wyzwaniom, „Merkuriusza-Polskiego”

W „Merkuriuszu” ukazał się artykuł Bolesława Taborskiego pt. „Prawo moralne”, w którym skrytykował niektóre poczynania emigracji i wyraził stanowisko, iż powinno się jednak współpracować z krajem, bo tam jest nasz naród, historia, zaś na emigracji za bardzo krytycznie na kraj patrzemy. Artykuł nie spodobał się liderom emigracji, okazał się kijem włożonym w emigracyjne polityczne mrowisko. Mocodawcy pisma postanawiają zrobić porządek z grupą „Merkuriusza” - jak ich nazwano. Florian Śmieja podaje się do dymisji, bo na nim, jako redaktorze naczelnym, skupiło się odium za dopuszczenie do druku artykułu, który – zdaniem władz emigracyjnych – mógł zostać odczytany w kraju jako sygnał z Londynu do ewentualnego nawiązania dialogu.

Na walny zjazd Zrzeszenia Studentów i Absolwentów Polskich na Uchodźctwie przybył osobiście gen. Władysław Anders, by samą obecnością, wpłynąć na wymianę niewygodnej politycznie grupy „Merkuriusza”. „Grupa” się jednak nie poddała i już w styczniu 1959 roku tworzy nowe pismo „Kontynenty” miesięcznik polskich studentów i absolwentów szkół wyższych w Londynie, ukazujący się w znacznym, jak na emigracyjne warunki, nakładzie 4 tys. egzemplarzy. Florian Śmieja kierował nim w latach 1962-1964.

Awantura o Miłosza

„Starszyzna emigracyjna” z młodszą dynamiczniejszą generacją miała też kłopoty innego rodzaju. W 1957 roku, gdy Czesław Miłosz zdecydował się na zerwanie z PRL i pozostał na Zachodzie, „Merkuriusz” zaprosił go na spotkanie do gmachu Instytu-



Z żoną Zofią w towarzystwie Czesława Miłosza.

tu im. gen. Władysława Sikorskiego w Londynie, w najbardziej prestiżowej sali z polską flagą spod Monte Cassino i gablotą z wyłożonym mundurem patrona Instytutu. „Starszyzna” mogła zgodzić się na zaproszenie Miłosza, tylko gdyby przybył tu jak do Canossy, upokorzony i pełen skruchy, dlatego też ostro zaatakowano organizatorów spotkania. Człony publicysta w londyńskim „Dzienniku Polskim” napisał: „To pewne, że odczyt nie powinien się odbyć w gmachu przyozdobionym sztandarami wojska polskiego. Trzeba ten gmach wykadzić”.

Florian Śmieja, redaktor naczelny „Merkuriusza”, stanął w obronie Czesława Miłosza nazywając felieton w „Dzienniku” „niewybredną napaścią na osobę poety”, wytykając autorowi, że nie ma prawa wyrokowania, czy zaproszony gość, wybitny polski poeta, jest osobą godną przemawiania w Instytucie im. gen. Sikorskiego, podobnie jak nie ma prawa nazywania intelektualistów i twórców odwiedzających Londyn z paszportami PRL, wyślanikami reżimu.

Siedem lat później, 26 czerwca 1963 roku Czesław Miłosz jako profesor uniwersytetu w Berkeley w USA, był w tej samej sali gościem „Kontynentów”. Witając poetę Florian Śmieja wyraził radość z ponownego spotkania, wspominając tamto sprzed lat.

Urok tłumaczeń

Florian Śmieja zawsze łączył w sobie kilka pasji: pracę dydaktyczno-naukową z translatorską, twórczość literacką z eseistyką i publicystyką oraz pasją podróżnika.

Jedna jego pasja uzasadnia następną. Pasja podróżnika-szperacza pozwalała mu odkrywać w bibliotekach różnych klasztorów hiszpańskich nieznane rękopisy, a ważne w literaturze hiszpańskiej rękopisy, które tłumaczył. Przystępując zaś do tłumaczenia utworu, który go zafascynował, stara się wpięrczyć wnikliwie poznać „okolicę poety, żeby go zrozumieć”. Dzięki czemu jego przekłady zyskiwały na autentyczności.

Z kręgu kultury iberyjskiej przełożył na język polski: J.R. Jimenez „Srebro i ja”, M. Azuli „Gniew”, J.M. Ferreira de Castro „Misję”, J.M. Martina – Santosa „Czas milczenia”, J. Goytortua „Zadumana” oraz „Poezje arabsko-andaluzyjskie”. „Misja”, po ukazaniu się w Polsce została przerobiona na scenariusz teatralny. Na potrzeby grupy aktorskiej „Pro Arte” w Londynie przetłumaczył graną z powodzeniem „Przedziwną szewcową” Federico Garcii Lorca oraz „Kołysankę” Gregora Martinez Sierri. Przystosował także dwie sztuki Chilijczy-



Zofia i Florian Śmiejowie z dziećmi (od lewej stoją: Asia, Basia, Juliusz i Marek) przed domem w London, Kanada, 1986.

ka Egona Wolfa „Najeźdźców” i „Papierowe kwiaty”, grane we Wrocławiu i w Łodzi.

Jego dokonania jako twórcy i organizatora życia literackiego, docenił Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie przyznając mu dwukrotnie, w 1959 oraz w 1991 roku swoją nagrodę.

Jednak Kanada

Nigdy nie marzył o wyjeździe do Ameryki żeby tam żyć a jednak w końcu tam wyładował i mieszka. Stało się to za sprawą Anglika, który jako tzw. profesor gościnny przebywał w 1967 roku w Kanadzie i po powrocie przyszedł z wiadomością iż poszukują tam intensywnie dobrego hispanisty z Anglii, więc polecił właśnie jego. W rok później, bo wcześniej nie mógł, Florian Śmieja, z rodziną, żoną i z czwórką dzieci, z których najmłodszy syn miał sześć miesięcy, wyrusza na rok do Kanady, sprawdzić jak tam się pracuje i żyje.

Po kilku miesiącach pracy Florianowi Śmieji zaproponowano stały kontrakt i awans.

W 1970 roku zostaje profesorem zwyczajnym na Uniwersytecie Zachodniego Ontario w London, zatrudniającym ponad 1160 pracowników naukowych i przepracował w tej uczelni aż 26 lat, przez wiele lat kierując katedrą iberystyki. W 1994 roku Śmiejowie przenoszą się z London do nieodległego, ponad 700 tysięcznego miasta Mississauga, z dużym skupiskiem Polonii, określanego największym przedmieściem Toronto. Kupili tu dom, który nazywają rodzinną rezydencją.

W Kanadzie mogli też zrealizować wielkie marzenie żony o letnim domku na niewielkiej działce w lesie tujujowym nad pięknym jeziorem Huron. Za jej sprawą, bo ona ten domek wymyśliła i harowała aby go zrealizować, wybudowali go głównie siłami rodziny i znajomych. W domku nad Huronem urodziło się sporo jego wierszy. Niektóre z nich były publikowane w miesięczniku „Słask”.

Kanadyjskie wyznania

Kanada swoim rozległym terytorium utrudnia kontakty. Vancouver od Toronto, z największymi skupiskami polonijnymi, dzieli cztery tysiące kilometrów. Mimo to, aby Polacy mieli się gdzie spotykać, z podobnymi do siebie entuzjastami ze starszej emigracji zakładała w 1972 roku w London, istniejąca do dziś, Klub Dyskusyjny. Podjął też próbę zmontowania zespołu pisarzy mogących powołać do życia literacki kwartalnik w Toronto, lecz z większym powodzeniem udało się rozkręcić działalność wydawniczą.

W lokalnej telewizji w London skutecznie przełamał niemą rolę Polaków w Kanadzie, realizując 150 półgodzinnych audycji, w których poruszano wiele polskich tematów. W kanadyjskiej prasie polonijnej, głównie w „Związkowcu”, publikuje liczne artykuły oraz reportaże, również z Polski, którą po przejściu na emeryturę często odwiedza.

Podróżnik – reporter

Ciekawość świata, poszukiwanie materiałów do kolejnych prac badawczych i publikacji, pchały go do wędrowek. Duszę wędrownika posiada także jego żona, więc ich podróże mają charakter rodzinny z udziałem, nawet jeszcze malutkich ich dzieci.

W tych wyprawach był zarówno kierowcą, przystosowanego do campingu autobusu, jak i reporterem przesyłającym regularne odcinki do gazet polonijnych. W „Śladach światła” zapisze: „Nasza wyprawa samochodowa do Kalifornii obciążała licznik 16 ty-



Z żoną Zofią w Arizonie, 2010.

siami kilometrów, za to liźnęliśmy Meksyk i miasto Tihuana, a także tuzin sławnych parków z Yellowstone na czele”.

Tęskni się do tego, co się zna

Powojnie w Londynie, który pozostawał centrum emigracji żołnierskiej i siedzibą polskich władz na wychodźstwie uznawano, każdy bez mała kontakt z krajem, za politycznie niepoprawny i podejrzany, zaś przybywające z kraju do Londynu osoby, jako wysłanników komunistycznego reżimu. Po śmierci Stalina i po polskim Październiku 1956 roku, kiedy część emigrantów zdecydowała się wrócić do kraju, ten kategorycznie negatywny stosunek do kraju nieco osłabł. Coraz więcej uznanych pisarzy i intelektualistów z kraju przyjeżdżało do Londynu, miało tu wieczory autorskie oraz wykłady.

Florian Śmieja po raz pierwszy, oficjalnie, przyjechał do Polski w 1963 roku zaproszony na wykłady przez Uniwersytet Jagielloński. Wówczas jednak w kraju było się bacznie kontrolowanym przez wiadome służby, co wymagało ostrożności. Stąd przed 1989 rokiem jego kontakty w kraju musiały się ograniczać do zaufanych środowisk, „Tygodnika Powszechnego” czy „Więzi” oraz wizyt na rodzinnym Śląsku. Zawsze odwiedzał Jerzego Turowicza, u którego w gabinecie poznał kiedyś Wisławę Szymborską.

W 1991 roku uczestniczył w pierwszym kilkudniowym spotkaniu pisarzy z Polski z pisarzami na emigracji, w Warszawie. W programie spotkania, był wyjazd do wybranego miasta w Polsce. Wybrał Wrocław, bo zaproszono go tam na wykład na iberystyce, co w konsekwencji zaowocowało wieloletnią, bardzo owocną, jego współpracą z Uniwersytetem Wrocławskim.

Po przejściu na emeryturę często jeździł do kraju pomagać kształcić iberystów: do Krakowa, Wrocławia, Opola i Częstochowy. Od lat uczestniczy w różnych konferencjach naukowych związanych z iberystyką oraz poświęconych literaturze emigracyjnej, organizowanych przez uniwersytety: we Wrocławiu, Katowicach, Toruniu i Rzeszowie. W czasie pobytów w kraju kilkakrotnie odwiedził Tadeusza Różewicza, najpierw w Gliwicach, a potem we Wrocławiu, ks. Jana Twardowskiego w stolicy, Jarosława Marka Rymkiewicza w Milanówku.

W 2012 roku pojawiły się dwie niezwykle jego książki: „Zapiski o świecie” wydane w Rzeszowie i „Blizniacze „Ślady światła” w Kanadzie. Motywacją ich wydania jest świadomość przemijania i zamiar ocalenia pa-

mięci o bardzo wielu wydarzeniach i niezwykłych ludziach, w znacznej części emigrantach, bez których kultura polska byłaby uboższa, choć ich twórczość, wciąż jest ciągle za mało znana i doceniana w kraju.

Dlaczego Rzeszów?

Florian Śmieja, z racji bliskich mu miejsc i przyjaźni z wieloma osobami najczęściej odwiedza Śląsk. Przyjaźnił się z Wilhelmem Szewczykiem i Bolesławem Luboyszem. Łączy go śląska wspólnota z Janem Gochołem, Tadeuszem Kijonką, prof. Janem Miodkiem. Jest członkiem honorowym Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego, a Biblioteka Śląska wydała trzy, w znacznej mierze autobiograficzne, jego książki powstałe w rezultacie namów, przez jej wieloletniego dyrektora prof. Jana Malickiego. Dlatego nieco musi dziwić fakt, że nikt nie wpadł na Śląsku na pomysł przejścia od niego niezwykle bogatego, gromadzonego przez lata archiwum, z rękopisami utworów, korespondencją z wybitnymi poetami (Czesławem Miłoszem, Tadeuszem Różewiczem, Wisławą Szymborską), pisarzami i badaczami kultury oraz bezcennego zbioru bardzo rzadkich książek i czasopism wydawanych i redagowanych przez niego po wojnie na emigracji.

Profesor Florian Śmieja przekazał te archiwalia do Rzeszowa, bo tam się nimi zainteresowano. W Katowicach – jak sądzi – wyładowałyby zapewne w jakiejś przepastnej piwnicy, w Rzeszowie zaś jest żywe zainteresowanie polską literaturą powstającą poza granicami Polski i chęć pomnażania zbiorów z pozyskiwaniem podobnych darów.

Ze Śląskiem, poza umiłowaniem stron rodzinnych, łączy Floriana Śmieja, trwające od dzieciństwa, kibicowanie drużynie chorzowskiego Ruchu, która uparła się i nie chce po raz piętnasty zdobyć mistrzostwa Polski w piłce nożnej. Na razie więc, sportowo rzecz biorąc, Florian Śmieja ma na koncie tyle samo, bo czternaście, wydanych zbiorów wierszy, co Ruch tytułów mistrza Polski. Ale coś mi się wydaje, że lada moment niespożytemu pocie urodzi się nowy tomik, a z Ruchem bywa różnie.

Powyższy tekst stanowi fragment większej całości przygotowanej przez autora do nowej książki pt. „Poza śląskim niebem” o znanych Ślązakach w świecie.

Krystynie Bajorowicz

Wykorzystano fragmenty utworów A. Fredry, Z. Krasńskiego, A. Mickiewicza, Cz. Miłosza, C.K. Norwida, J. Słowackiego, a także z listów Fryderyka Szopena.

centon polski

[fragmenty]

szlachta nie była kastą ale częścią ludności stanowiącą naród ma wspólne wady i zalety solidarnie za tychże skutki odpowiada bez zasady są klątwy na panów co byli szczytami wystrzelonymi nad powierzchnią narodu czy szczyty drzew są winne że skręcają a nie nasienie z których wyrosły i ziemia która soków dostarcza

utraciwszy swój kształt polityczny lecz zachowawszy w całości swego ducha społecznego i żywa w grobie nie pozwoliła nigdy napastować zachodu broniąc śmiało stała nieprzebytą zaporą nieśmiertelna między wszystkimi narodami ziemia przeznaczona na ofiarę męczeństwo katusze konania i na zmartwychwstanie

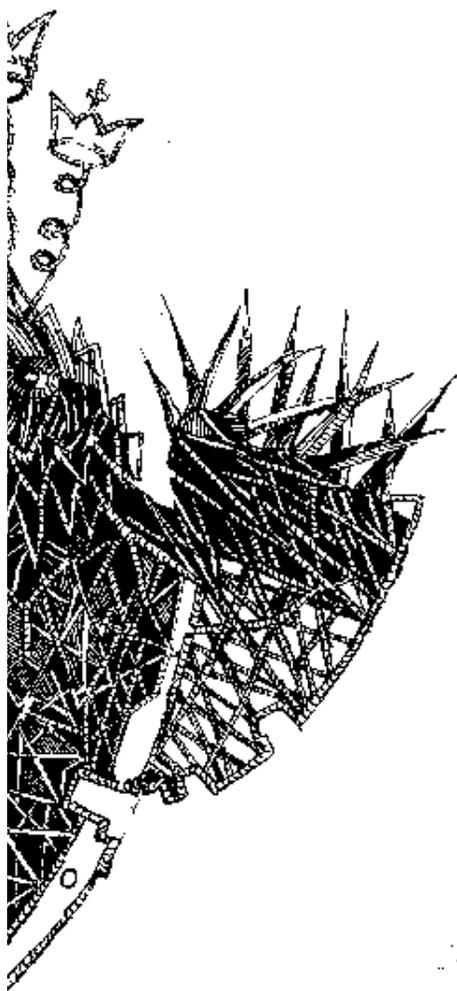
piszę jak wiesz prosto z mostu i jego proszę aby o co mu chodzi łopata do łba wkładał ale ten urodzony myśliciel tak wszystko w sosie filozofii topi że ani pojąć o co chodzi tak najzwyczajszą rzecz zaplączone że mózg ci o łba ściany jak ptak w klatce się tłucze a wszystko na nic zrozumienie za trudne niech ręka boska broni słuchałem go jak ponurego proroka ale słuszość mu przyznałem pociechy szukałem w naszym polskim lepiej może kiedyś będzie i jego starałem się tym pocieszyć potem jeszcze polska zagrałem

poemat narodowy polski w którym jedzą piją i grzyby zbierają będzie na zawsze arcydziełem przez sztukę przez mistrzowskie tła doskonalsze od najczarowniejszych płócien ruysdaela to poema satyryczne polskie i genialna satyra na rozmiłowanie się w woni ziemiańskiej lasu barszczu zrazów bigosu i ogórków kwaszonych

gdybyś przeszedł bory i podszyte knieje trafisz w głębi na wał pni kłód korzeni obronny trzęsawicą tysiącem strumieni siecią zielsk zarosłych kopcami mrowisk gniazdami os szerszeni kłębami węży co krok czyhają niby wilcze doły jeziora trawą zarosłe na poły woda tych studni skłni się plamista rdzą krwawą z wnętrza dymi zionąc woń plugawą od której drzewa wkoło tracą liść i korę tyse skarłowaciałe robaczliwe chore pochyliwszy konary i pnie siedzą wokół wody jak czarownice nad kotłem w którym warzą trupa

są z was niektórzy co mówią niech lepiej polska leży w niewoli niż gdyby zbudzić się miała według arystokracji a drudzy lepiej niech leży niż gdyby zbudzić się miała według demokracji a inni niech lepiej leży niż gdyby miała granice takie a inni owakie ci wszyscy są lekarzami nie synami i nie kochają matki ojczyzny zaprawdę powiadam wam nie badajcie jaki będzie rząd w polsce każdy w duszy ma ziarno praw i granic o ile polepszyacie duszę o tyle polepszyacie prawa wasze oraz powiększyacie granice wasze

dajcie mi proch zamknięty w narodowej urnie z niego wskrzeszę lud postawię na mogił koturnie a z przebudzonych rycerzy zerwę całun zgniły wszystkich obwieję nieba polskiego błękitem oświecę duszy promieniem i świtem urodzonych nadziei kiedyś przejdą przed wami pozdrowieni uśmiechem pożegnani łzami



Grafika: Wojtek Łuka

*naród choć ujarzmiony nie wyrodził się na trzodę niewolników
cześć jaką ma dla dostojnych wspomnień swej historii pozwoliła
zachować w kajdanach godność ludzi wolnych i rycerską prawosć
polski lud jest łatwym do rządzenia byle władza która prowadzi
trzymając w karności nie była zbyt słabą ani uciskającą naród*

*człowiek poczciwy pełne ma serce miłości ojczyzny czuje prawdę
owoż i prawodawcy pełni miłości ojczyzny postanowią urzędy
w kraju stosownie do potrzeby i będzie kraj urządzony dobrze
podobna jest rzeczpospolita którą założyć macie do lasu który
siejcie gospodarz nasienie dobre na ziemi dobrej może być pewny
iż drzewa się urodzą i nie ma potrzeby myśleć o formie drzew
ani lękać się zasiewajcie więc miłość ojczyzny i poświęcenia się
ducha bądźcie pewni iż wyrosnie rzeczpospolita wielka i piękna*

*lasy pełne kraszy czeremchy oplatanie dzikich chmielów wieńcem
jarzębiny ze świeżym rumieńcem obok leszczyna z zielonymi berły
działwa leśna głóg w objęciu kalin ożyna czarne usta tuli do malin
drzewa i krzewy liśćmi wzięły się za ręce jak do tańca stojące
nad leśną gromadą wzniesiona brzoza biała z małżonkiem grabem
a dalej jak gdyby starce patrząc siedząc w milczeniu sędziwe buki
tam matrony topole i mchami brodaty dąb garbaty wspiera się
na grobów połamanych słupach przodków skamieniałych trupach*

*dwór soplicowo inne widział szaty twarzy zupełnie się odmienił
ów las topoli już się więcej nie zielenił dziedziniec gdzie bławatki
cykorie i maki barwiły się teraz o zimo twoją piękność czuję dziś
na kształt czasu i uroku bom w życiu przyszedł na smętną porę
która wszystko ucisza pod śniegiem chłonie z miłością ustronie*

*a ja się po cichu śmieję i myślę że od małego zaczynać potrzeba
jestem fortepianistą tylko a jeżeli jestem coś wart to i dobrze
gdyż po mnie więksi przyjdą co szerzej muzykę ogarną i melodia
polska rozszerzy się i rozkwitnie myślę że lepiej zrobić mało
ale za to dobrze jak się wszystkiego chwycić lecz źle wykonać
od tego nigdy nie odstąpię jak cię kocham chciałbym tylko
napisać i pozostawić abecadło tego co jest naprawdę polskie
a nauczyć odrzucać polskość fałszowaną może to się jakoś uda*

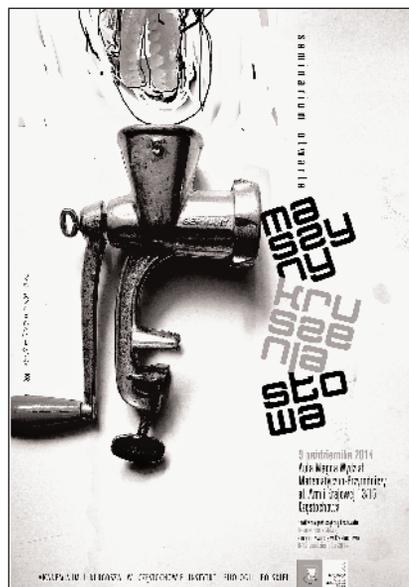
*narodowym autorem jest ten w którego sztuce naród ma udział
jaką część tenże zajmuje w rozwoju dziejów ludzkości i dlatego
od grobu chopina rozwinie się nasza sztuka jak powoju wieniec
o formie życia to jest o kierunku piękna i treści życia w stronę
dobra i prawdy artyzm tak się ułoży w całość narodowej sztuki*

*przesypując w palcach piasek odkryliśmy słodkie imię ojczyzny
piachem i szumem wiatru w piołunach niczym jest bez przeszłości
słowem co w połowie dźwięku traci sens i ścianą wśród płomieni
w piasku był popiół stuleci zmieszany z krwią świeżą naówczas
odstąpiła nas pycha i niski pokłon złożyliśmy ludziom minionym*



Maszyny kruszenia słowa

ADAM
REGIEWICZ
MICHAŁ
WILK



Zmieniająca się na naszych oczach Z pod wpływem nowych mediów i technologii kultura pociąga za sobą zmiany w komunikacji kulturowej (w tym literackiej), a także w samym sposobie doświadczania audiowizualności. Szczególnie od czasu tzw. przełomu cyfrowego i towarzyszącej mu intensywnej transformacji literatury i eksplozji multimedialności, coraz wyraźniej rysuje się potrzeba opisywania nowych zjawisk z tym związanymi. Sztuka słowa poddana presji wysokiej technologii domaga się dziś dookreślenia obecnej kondycji pisma, mowy i werbalności uwikłanych w rozmaite formy niewerbalności i komunikacji sieciowej. Stajemy się bowiem świadkami rodzącego się nowego paradygmatu kulturowego, opartego z jednej strony na ideach wolności, równości, współuczestnictwa, czego wyrazem są zjawiska tak charakterystyczne dla kultury WEB 2.0 jak: usieciowienie, pozwalające na komunikację wielu do wielu; konwergencja, będąca podłożem kultury fanowskiej zacierającej granice między treściami amatorskimi a profesjonalnymi; prosumpcja, wyrażająca się w postawie koprodukcji znaczeń kulturowych, a z drugiej na rozwoju technologii, która w sposób znaczący narusza układ dzieło-twórca,

wchodząc nie tyle w rolę pośrednika, ile często współtwórcy efektu finalnego.

Czym są bowiem tytułowe „maszyny kruszenia słowa”, jeśli nie metaforą technologii wdzierającej się w twórczość literacką, które korzystając z mechanizmu automatyzacji jej przypisanego dokonują aktu re.kreacji. Tym samym współczesne zjawiska literackie zarzucają dotychczasowe tradycyjne pojęcia jak autorstwo, podmiotowość czy natchnienie na rzecz „kombinacji”, „obróbkii”, „gry” czy „strategii”. Maszyna zatem zostaje włączona w proces twórczy na prawach artysty, zmieniając dotychczasowe rozumienie dzieła sztuki, nie tylko w jego warstwie znaczeniowej, treściowej czy kompozycyjnej, ale także piśmiennej, językowej, estetycznej, na co pozwala intermedialny charakter przekazów w nowych mediach dzięki reprezentacji numerycznej. Wraz z dziełem poddanym technologii zmienia się także rola twórcy i odbiorcy, bowiem dzięki współdziałaniu maszyny i człowieka pojawia się niezwykle sprzężenie zwrotne, którego objawem jest tak znaczące dziś w komunikacji kulturowej zjawisko interaktywności.

Mając świadomość zmieniającej się sytuacji w komunikacji literackiej, od czterech lat w Częstochowie organizowany jest Festiwal Dekonstrukcji Słowa „Czytaj”, podczas którego prezentowane są nowe zjawiska literacko-medialne, prowadzone warsztaty czytania zdigitalizowanych tekstów, spotkania autorskie, projekcje filmów i koncerty, gdzie nowe media obecne są zarówno w temacie, jak i sposobie prezentacji. W tym roku w dniach 6 do 12 października festiwal ten zaproponował aż trzydzieści imprez, podczas których uczestnicy mogli m.in. czytać książki w sposób hipertekstowy, brać udział w odczytaniach performatywnych, dźwiękowych, z towarzyszeniem muzyki granej na żywo, mogli „dotknąć” czytania itp. Uczestnicy przygotowanych przez organizatorów imprez mieli okazję do wzmocnienia swojej kreatywności, a to dzięki zestawowi ćwiczeń rozwijających pomysłowość, myślenie abstrakcyjne i metaforyczne w postaci liku propozycji samodzielnego konstruowania tekstu czy to tradycyjnego czy też za pomocą kodu HTML pozwalającego na stworzenie wielu hipertekstowych powiązań. Wśród wielu autorskich spotkań warto wyróżnić to z Witem Szostakiem, autorem cyklu powieści fantasy o Smoczko-

górach oraz tzw. trylogii krakowskiej: Chochoły, Dumanowski i Fuga. Ta ostatnia książka stała się inspiracją dla zespołu RAGAZZI CLAVI, który w Regionalnym Ośrodku Kultury w oparciu o barokowe dzieła, szukał współczesnych rozwiązań, takich jak połączenie elektroniki z żywymi instrumentami (np. wiolą da gamba czy klawesynem). Podobny multimedialny charakter miało zderzenie literatury, filmu oraz muzyki, za które odpowiedzialny był multiinstrumentalista Krzysztof Niedźwiecki. Jego literacka taperska, czyli improwizowane dźwiękowe odczytanie ulubionej lektury, w tym roku dotyczyła powieści Henryka Sienkiewicza pt. *Krzyżacy*, a filmowy obraz, który towarzyszył muzyce, wyreżyserowany został przez Aleksandra Forda. Relacja słowa i obrazu w budowaniu współczesnej komunikacji literackiej towarzyszyła wielu spotkaniom, czy wystawom malarstwa inspirowanego tekstami literackimi, czy przedstawieniu teatralnemu opartemu na interpretacji fragmentów sztuki Thierry’ego Debroux pt. *Bibliopata* i opowiadającym historię miłośnika książek, który potrafi poznać za-



Prof. dr hab. Ryszard Kluszczyński



Prof. dr hab. Andrzej Głowacki

wartość wolumentu na podstawie jego zapachu, czy wreszcie prezentacji premier „Wydawnictwa Ha! art”, które podnosiły tak ważki dziś temat ikoniczności pisma i oralności obrazu w literaturze eksperymentalnej, komputerowego generowania tekstu literackiego i tym podobnych.

Jedną z propozycji festiwalu, którą organizatorzy przygotowali wraz z Zakładem Teorii Literatury Akademii im. Jana Długosza było seminarium otwarte *Maszyny kruszenia słowa*, w którym wzięli udział prof. dr hab. Ryszard Waldemar Kluszczyński (UŁ), prof. dr hab. Andrzej Głowacki (UJ), dr hab. Piotr Zawojski (UŚ), dr Piotr Marecki (Londyn), dr Mariusz Pisarski (UAM), dr Bogusława Bodzioch Bryła (Ignatianum), dr Grażyna Pietruszewska-Kobiela (AJD), dr Agnieszka Przybyszewska (UŁ), dr Monika Górską-Olesińska (UO) oraz dr hab. Adam Regiewicz, prof. AJD, a którego tematem była dystrybucja słowa i książki w dobie nowych technologii.

Podjęte przez uczestników seminarium zagadnienia wpisują się w dyskusję nad współczesną sytuacją literatury i innych wyrazów artystycznych ze względu na rozwijające się dziś nowe media. Niewątpliwie – jak zauważa Tadeusz Miczka – sztuka słowa poddana presji wysokiej technologii, domaga się dookreślenia obecnej kondycji pisma, mowy i werbalności uwikłanych w rozmaite formy niewerbalności i komunikacji sieciowej. Mając świadomość, że zmieniająca się komunikacja literacka wymaga od współczesnego literaturoznawcy wyjścia poza granice dyscyplinowe ku zjawiskom artystycznym, medialnym, technologicznym do udziału w seminarium zaproszono nie tylko teoretyków zajmujących się literaturą, ale właśnie przedsiAtawicieli działań nieliterackich (artystów, medjoznawców), z którymi literatura – rozumiana tu zarówno w kontekście tekstowości, jak i literackości – wchodzi w zadziwiające relacje, o czym przypomnieli Ryszard Kluszczyński, Piotr Marecki i Mariusz Pisarski, wskazując na prace artystów nie związanych z literaturą, ale właśnie filmem, projekcjami wideo, muzyką – slam poetry, grami wideo itp.

Ten niezwykle mariaż sztuki słowa z innymi wyrazami myślenia symbolicznego zaowocował nowymi formami obecności tekstu w komunikacji literackiej, których kształt jest definiowany poprzez relację z mediami audiowizualnymi, grafiką cyfrową, kompozycją hipertekstową, kombinatoryką gier wideo itp. Jak pokazali uczestnicy seminarium, „tekst literacki (i generowany przez niego przekaz) często okazuje się być z medium nie tylko sprzężonym, lecz na nim się zasadzać i z niego bezwzględnie wynikać. Specyfika samego medium przenosi się więc na literaturę”, o czym świadczą przywołane przez Bogusławę Bodzioch-Bryłę powieść *Schemat* Konrada Polaka czy dokonania Zenona Fajfery (*Powieki*). Te hipertekstowe czy libe-rackie pomysły kompozycyjne tak jeszcze niedawno szokujące scenę literacką, zostają dziś wypierane przez inne zabiegi stwarzające możliwość nieskończonego odczytywania tekstu poprzez przypadkowość szeregu znaczeniowego, a poprzez to eksplorowanie dodatkowych znaczeń. Jak za-



Dr hab. Adam Regiewicz, prof. AJD

uważa Grażyna Pietruszewska-Kobiela, zjawiska literatutowe tego typu „odwołują się do metaforyki chaosu, [opierając się] na hipertekstowych odnośnikach, układach fraktalnych i afabularnych – przynoszą narrację dyskursywną”. Jedną z wielu propozycji takiej lektury zaproponował prof. Andrzej Głowacki w *Archetypturze magicznej rzeczywistości*. Ta aplikacja książkowa zmienia czysto wizualny, statyczny sposób percepcji literatury w twórczy i dynamiczny proces poszukiwania i konstruowania nowych znaczeń. Parafrazując słowa Rolanda Barthesa, wieszczącego „śmierć autora”, projekt ten zapowiada „śmierć czytelnika” i narodziny „użytkownika książki”, tym samym zmusza do ponownego zdefiniowania sytuacji lektury i miejsca czytelnika w relacji do tekstu. Jeszcze dalej idą projekty *living letterforms* (ożywionych glifów), stwarzających wrażenie quasi-autonomicznych form, które w środowisku wirtualnym zachowują się niczym organizmy biologiczne, ulegając ewolucji, krzyżowaniu się, rozmnażaniu, konsumowaniu itp. W klasyfikacji takich form Monika Górską-Olesińska zauważa „ożywanie” liter przy pomocy algorytmów zachowania żywych organizmów, „ożywanie” energią i sygnałami pochodzącymi z ciała, hodowanie słów i atomów języka w biologicznym substracie (w tym także hodowanie bakterii/poetów i krytyków) oraz eksperymenty bio-typograficzne, do których należą animistyczne czy quasi-organiczne fonty.

Wraz z pojawieniem się nowych przestrzeni komunikacji kulturowej, nowych urządzeń, nośników, inaczej mówiąc – nowych obszarów, w które wchodzi literatura, pojawiają się też nowe reakcje, zachowania odbiorcze, a nawet – rzecz można – nowi uczestnicy kultury literackiej: zarówno po stronie twórców, jak i po stronie czytelników czy krytyków. Zmieniająca się obecnie pozycja książki jako przedmiotu materialnego wymusza także nowe strategie czytelnicze, o czym mówiła Agnieszka Przybyszewska, zwracając uwagę, że literatura elektroniczna „angażuje w proces czytania inne niż wyłącznie wzrok zmysły, zapraszając do poznawania opowieści poprzez czytelnicze gesty i fizyczną aktywność”. Mówiąc inaczej, konieczne wydaje się porzucenie przyzwyczajonych czytelniczych, którym towarzyszyła

lektura zmysłowa, cicha, wyłącznie intelektualna, niecielesna, na rzecz doświadczenia, immersji, czytania jako wykonywania określonych czynności, które posuwają wydarzenia fabuły, a nawet wpływają na ich konstrukcję narracyjną w zależności od dokonywanych wyborów. Tym samym czytanie staje się współtworzeniem nie tylko sensu przekazu, ale jego ciągu znaczeniowego czy struktury fabularnej.

Dziś, z pozycji badacza znajdującego się tak naprawdę w samym oku cyklonu przeobrażających się i konwergujących ze sobą nowych technologii informacyjno-komunikacyjnych, ze wszech miar ryzykowną byłaby próba poddawania ocenie wymienionych zjawisk w makroskali, choć i takie ujęcia już zdążyły się pojawić przynajmniej w odniesieniu do historii zjawisk literatutowych lub w kontekście „archeologii mediów” podkreślającej awangardowe źródła współczesnych eksperymentów literackich w połączeniu z technologią. Bardziej uprawomocnione jednak wydają się oceny formułowane w odniesieniu do skali mikro, konkretnych zjawisk, czy też – jeszcze lepiej – poszczególnych wytworów kultury, utworów literackich, co starali się uczynić biorący udział w seminarium goście.

Zorganizowany po raz czwarty w Częstochowie Festiwal Dekonstrukcji Słowa „Czytaj!” udowodnił, że z łatwością i przyjemnością można połączyć wiele dziedzin z literaturą, bez żadnego uszczerbku dla tej ostatniej. Co więcej, uświadomił jak ważne jest czytanie i odbiór tekstów cyfrowych, których doświadczenie jest dziś częścią obiegu literatury, a sam akt lektury powiązany jest z kompetencjami gracza, performerera czy po prostu widza. I chociaż książka współcześnie przechodzi wiele przeobrażeń, jednak nadal istnieje w swojej tradycyjnej formie, co potwierdzałoby myśl Umberto Eco, który w rozmowie z Jean-Claudem Carriere stwierdził, że książki w wersji papierowej nie znikną, ale staną jednym z możliwych obie-gów literatury pozostającym w hybrydycznym związku z obiegiem elektronicznym. Zaproponowane przez organizatorów festiwalu „Czytaj!” spotkania zdają się potwierdzać intuicję włoskiego semiologa, zderzając tradycyjne czytanie z nowymi formami komunikacji, które z pewnością nie powie-działy swego ostatniego słowa.

Katarzyna Panas jest studentką zarządzania kulturą. Michał Tyszkiewicz licealistą. Kiedy spotkali się w styczniu 2014 roku, w głowach zaświtał im pomysł zorganizowania przeglądu filmów. Doszli do wniosku, że w Bytomiu, gdzie tak dobrze rozwija się teatr tańca czy opera, przydałaby się cykliczna impreza filmowa. Początkowo miał to być jednodniowy przegląd krótkiego metrażu, w całości tematycznie związany tylko z ich miastem. Później impreza się rozrosła do trwającego trzy dni ogólnopolskiego festiwalu dokumentalistów.

Ponieważ nie mieli ani grosza, rozpoczęli wędrówkę w poszukiwaniu pieniędzy na sfinansowanie imprezy. Na początek trafili do bytomskiego Urzędu Miejskiego.

– Usłyszeliśmy nieśmiałą zachętę, że możemy spróbować – wspomina Michał Tyszkiewicz, organizator Bytom Film Festival 2014.

Następnie wstąpili w progi zasłużonego w działalności kulturalnej Towarzystwa Miłośników Bytomia, gdzie uzyskali już konkretną pomoc w postaci obsługi księgowej festiwalowych finansów, na którą zgodziła się Elżbieta Plewniak. Po mozolnych próbach udało im się zebrać potrzebną kwotę: 5 tysięcy złotych z Urzędu Miejskiego w Bytomiu i 2 tys. zł od bytomskiego Zarządu Budynków Mieszkalnych. Dopomogli im obchody 760-lecia istnienia miasta i w związku z tym wzmożona chęć władz do organizacji jak największej liczby imprez kulturalnych.

– Dostaliśmy jedenaście razy mniej niż jednodniowy miejski zlot pojazdów militarnych i dwa razy mniej niż godzinny koncert organowy – mówi Michał Tyszkiewicz.

To na barkach organizatorów spoczęły sprawy rozreklamowania festiwalu i poszukiwania miejsca projekcji filmów konkursowych. Znaleźli je w sali widowiskowej Bytomskiego Centrum Kultury. Sami przygotowali stronę internetową festiwalu, rozśleli 400 maili z zawiadomieniami o konkursie i nawiązali kontakt z redakcjami. Choć odzew mediów był niewielki. Telewizja Canal Plus wyemitowała spot reklamowy, w „Życiu Bytomskim” ukazała się zaledwie krótka wzmianka. Najwięcej miejsca poświęcił festiwalowi miejscowy portal Bytomski.pl.

– Mieliśmy kłopoty z wywieszaniem plakatów, w ostatniej chwili sami rozklejaliśmy je w niedozwolonych miejscach. Na szczęście nie złapała nas Straż Miejska – opowiada Katarzyna Panas.

Swoje wsparcie zaoferował za to Bytomski Teatr Tańca i Ruchu „Rozbark”, udostępniając dla uczestników festiwalu noclegi w swoim hotelu dla artystów. Skorzystało z nich 6 młodych filmowców.

Zanim rozpoczął się konkursowy przegląd, mimo solidnej pracy organizatorów, początkowo nie napływały żadne zgłoszenia dokumentalnych filmów krótkometrażowych, bo taki charakter



Jury nagrodziło film *Koreańczyka Suk-hwa Honga pt. „Trzeci pokój”* za najlepszą reżyserię.

Filmowa druga liga w Bytomiu

nadali festiwalowi. Trochę czasu minęło, zanim do rąk organizatorów zaczęły docierać krótkie obrazy dokumentalne, których twórcami byli przede wszystkim studenci łódzkiej szkoły filmowej. Organizatorom spadł kamień z serca, bowiem nagrody, jakie początkowo oferowali nie były imponujące. Zwycięzca miał otrzymać 500 złotych, wyróżnieni jeszcze mniej. Na szczęście w ostatniej chwili prezydent Bytomia Damian Bartyla przekazał większą kwotę i nagrodą główną było 2 tysiące złotych.

Z powodu obaw o niską frekwencję, wpadli na pomysł zorganizowania trzeciego dnia festiwalowego, bardziej komercyjnego, podczas którego z widzami spotkał się Lech Majewski. Znany reżyser wpadł do Bytomia zaprezentować swój najnowszy film „Onirica – Psie Pole”, dzień po festiwalu filmowym w Gdyni. I odniósł sukces, bo sławnego twórcę zapragnęły zobaczyć tłumy. Publiczność przyciągnęły także – prowadzone przez jurorów festiwalowych Jakuba Pudełkę, Mariusza Szemalikowskiego, Leszka Staronia – warsztaty dla szkół na temat teorii i praktycznej realizacji krótkich form filmowych oraz sposobów pozyskiwania przez filmowców publiczności. Konkursowi towarzyszył przegląd dokumentalnych filmów o Bytomiu z okresu międzywojennego i powojennego. Okrasą był pokaz filmu „Podzielona klasa” i spotkanie z pochodzącym z By-

tomia, ale mieszkającym w Wiesbaden, jego reżyserem Andrzejem Klamtem, zarazem producentem i założycielem firmy „Halbtotal Film”.

Na nadspodziewanie dobrym poziomie artystycznym stał sam konkurs, do którego zakwalifikowano kilkanaście filmów krótkometrażowych. Jury uznało za najlepszy film pt. „Arena” wyreżyserowany przez Martina Ratha, studenta łódzkiej filmówki, który otrzymał 2 tys. zł nagrody. Za świetne zdjęcia w tym filmie nagrodzony tysiącem złotych został Bartosz Świniarski. Autorzy tego niespełna półgodzinnego obrazu krótkometrażowego w bardzo atrakcyjny sposób ukazywali Bieszczady i zamieszkujących je ludzi. Przejadkowy autostopowicz, który trafił do grupy uciekinierów od cywilizacji, zajął się razem z nimi wycinką drzew. Akceptację w grupie uzyskał, gdy pokonał jednego z bieszczadników w siłowaniu się na ręce. Jednak nie miał aż takiej siły ducha, żeby zarząć myśliwskim nożem sarnę. Z tego powodu opuścił grupę drwali.

W końcowej scenie kamera pokazała go podróżującego autostopem z holenderskimi turystami. Zakończenie filmu, dość niejednoznaczne i otwarte co do dalszych losów bohatera, wzmocniło wymowę ideową dokumentu.

Za najlepszą reżyserię jury nagrodziło film *Koreańczyka Suk-hwa Honga pt. „Trzeci pokój”*. To kilkunastominutowy ciąg obrazów ukazujących ostatnie chwile przed wprowadzką trzyosobowej koreańskiej rodziny z domu matki do nowego mieszkania. Kamera beznamiernie rejestrowała codzienne czynności bohaterów, praktycznie bez żadnych dialogów. Do widzów przemawiał obraz gestów i zachowań ludzi. Zwłaszcza finałowa scena, gdy głowa rodziny w nowym mieszkaniu z nostalgii buja fotel, na którym zawsze zasiadała matka pozostała w swoim domu. Nagrodę publiczności i prezydenta Bytomia – razem tysiąc złotych – otrzymał film Edyty Rembały pt. „Father”. Choć spore szanse na wyróżnienie miał też – dopuszczony do pokazu laureatów – film Marcina Straucholda pt. „Enrichment” o pobudzaniu do aktywności zwierząt we wrocławskim ogrodzie zoologicznym.

I Bytom Film Festiwal 2014, choć zorganizowany za niewielkie pieniądze przez bardzo młodych zapaleńców, wypadł bardzo dobrze. Jeżeli organizatorom wystarczy zapału ma szanse stać się cyklicznym konkursem krótkiego metrażu o sporym znaczeniu – uważają znawcy tematu.

– Spośród setek festiwalu filmowych organizowanych w Polsce, mamy pierwszą ligę i czwartą. Bytomski Film Festiwal ma szansę szybko dołączyć do drugiej ligi – chwali Jakub Pudełko, menedżer filmowy, nagrodzony na ostatnim Festiwalu Filmowym w Gdyni przez Polski Instytut Sztuki Filmowej za prowadzenie w Tarnogórskim Centrum Kultury najlepszego w Polsce Dyskusyjnego Klubu Filmowego „Olbrzym”.

RYSZARD BEDNARCZYK





Od szczytów Himalajów po głębiny mórz. Od bieguna południowego po północny. W przestrzeni ziemskiej i kosmicznej. Wszędzie śmieci, których nie ubywa. W żadnym, dostępnym dla ludzi, miejscu na świecie.

I dalej zaśmiecamy naszą planetę. Bez opamiętania. Z tą różnicą, że od ponad dwudziestu lat, każdego roku od nowa, szturmem zaczynamy ją sprzątać.

W tym globalnym przedsięwzięciu, dzięki Fundacji Nasza Ziemia, uczestniczy również Polska. Na Śląsku sprzątamy z Zielona Liga.

Globalne sprzątanie spontanicznie rozpoczęł Ian Kiernan, australijski żeglarz i miłośnik przyrody. W 1987 roku, po powrocie z rejsu dookoła świata doświadczył mu wspomnienia z Morza Sargassowego. Spodziewał się tam ujrzeć prawdziwe cuda przyrody. Słynne dryfujące na pełnym Atlantyku ogromne łąki pokryte glonami, przypominającymi kiście winogron. Zobaczył morze pełne niezniszczalnych odpadków. Zużytych stringów, wiader plastikowych, pieluch jednorazowych, tubek po paście do zębów i niezliczone ilości toreb z tworzyw sztucznych. Przeżył szok. Nie ostatni. Podobnie było, gdy wpłynął do Zatoki Sydnejskiej. Postanowił coś z tym zrobić.

Skrzyknął sporą grupę przyjaciół i obrońców czystego środowiska, chętnych do posprzątania portu i plaż zatoki. Zebrało się jakieś czterdzieści tysięcy ludzi. Ian uznał, że w ten sam sposób można sprzątać Australię, a może nawet cały świat.

Jego marzenie się spełniło. W 1993 roku akcję sprzątania Świata (Clean up the world) wsparł Program Środowiskowy ONZ.

W gronie aktywnych ochotników sprzątania Świata w Australii, była mieszkająca tam Polka, Mira Stanisławska-Meysztowicz. Gdy rok później wybierała się do rodzinnego kraju, postanowiła „przyłączyć” go do tej globalnej akcji „Sprzątania Świata”, w której uczestniczą każdego roku miliony ludzi ze stu kilkudziesięciu krajów świata.

Minęło 20 lat i...

Nie było łatwo, wspomina dziś Mira Stanisławska-Meysztowicz. Urzędnicy tradycyjnie nie palili się do dodatkowej pracy. Ale nie rezygnowałam. Postanowiłam założyć Fundację pod nazwą „Nasza Ziemia”, która rozpoczęła działalność w 1994 roku. To nazwa nieprzypadkowa. Chcemy nią przypominać, że nasza planeta to nasze miejsce do życia i nasza odpowiedzialność za jego trwanie na Ziemi.

W tym samym roku odbyła się pierwsza wspólna akcja pn. „Sprzątanie Świata – Polska”. Od lat nie jest ona wyłącznie masowym, dobrze zorganizowanym, sztur-



Mira Stanisławska-Meysztowicz posadziła na Śląsku niejedno drzewo

Nasza Ziemia, nasze miejsce

mem na śmieci, zbierane w lasach, parkach, na plażach, w dolinach rzek czy w samych akwenach przez ekipy nurków. Uczestniczy w nich młodzież szkolna z nauczycielami, harcerze, sportowcy, turyści, wolontariusze. Nieoceniona jest pomoc porządkowych organizacji ekologicznych, leśników, lokalnych stowarzyszeń czy pracowników różnych firm specjalistycznych.

Podczas sprzątania Polski nie odstaje żadne województwo. Wszyscy rywalizują, by zebrać jak najwięcej śmieci i zrobić coś więcej. Przed trzema laty padł rekord – sto tysięcy ton! Ilość uczestników przekroczyła 160 tysięcy! Ale to tylko liczby.

Największą wartością powszechnego zbierania śmieci jest wspólna lekcja poszanowania środowiska naturalnego i promocja ekologicznego postępowania z odpadami na co dzień. Nabieranie nawyku, by „produkować” ich jak najmniej; selek-



Sprzątanie Świata z Zielona Liga

tywnie gromadzić do ponownego wykorzystania bądź recyklingu.

Sprzątanie Polski jest też okazją do jej upiększania: zakładania zieleńców, sadzenia drzew, krzewów i kwiatów, rywalizowania w konkursach ekologicznych, organizowania wystaw, ognisk, festynów czy rajdów rowerowych i pieszych po czystych szlakach turystycznych.

Swoją specyfikę ma akcja „Sprzątanie Świata – Śląsk”. Nabrała ona tempa, gdy włączyła się do niej przed siedemnastoma laty – Fundacja „Zielonej Ligi”, wydająca od lat miesięcznik pod tym samym tytułem.

Sprzątanie na Śląsku

Wszystko zaczęło się, wspomina Anna Tarkowska, prezes tej Fundacji, od wizyty Miry w naszej redakcji w 1997 roku. Rozumiałyśmy się znakomicie. W tym samym roku Zielona Liga zorganizowała pierwsze sprzątanie w Mikołowie-Mokrem. Miejscu, gdzie dziś rozciąga się ogród stworzony z marzeń grupy zapaleńców – Śląski Ogród Botaniczny i prężny Ośrodek Edukacji Ekologicznej.

Kolejną akcją „Sprzątania Świata” Zielona Liga objęła Zespół Parków Krajobrazowych w Smoleniu. Wkrótce przystąpili do niej leśnicy z Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Katowicach. Ich pomoc jest nieoceniona dla obu stron. Sprzątając Polskę zyskali konkretnie wsparcie, leśnicy obrońców i społecznych opiekunów lasu.

Po wspólnych akcjach (a było ich sporo m.in. w Katowicach, Rudach Raciborskich, Brynku, Suchej Beskidzkiej, Ustroniu, Koniopolu, Koszęcinie, Bielsku-Białej, Wiśle, Opolu czy Rudzińcu) w lasach jest czystiej, rosną nowe drzewa i odbywają się najpiękniejsze lekcje ekologii przez cały niemal rok.

Również działalność Fundacji Nasza Ziemia nie kończy się wraz z akcjami sprzątania Świata. I ta Fundacja prowadzi całoroczną edukację na rzecz ekorozwoju, zachęca skutecznie lokalne społeczności do praktycznej ochrony przyrody i środowiska. W kampaniach takich jak: Międzynarodowe Sprzątanie Bałtyku, Kluby Naszej Ziemi, Zielona Stopa Filantropa, Firma w klimacie czy Czysta Gmina uczestniczą tysiące Polaków. Tak samo w szkoleniach, warsztatach, konferencjach i coraz to nowych działaniach dla każdego. Wśród tych ostatnich popularny jest program „Ogród ostoja zwierząt”, służący ochronie bioróżnorodności czy „Pomóżmy kasztanowcom”.

Tę działalność doceniają wszyscy. Wydatnie wspierają ją Wojewódzki Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach. Tylko w 2014 roku przekazał na rzecz organizacji ekologicznych w regionie około 1,5 mln złotych.

JOLANTA MATIAKOWSKA



Pierwszym krokiem w kompleksowym porządkowaniu polskiej gospodarki ściekowej było przygotowanie w 2003 roku Krajowego Programu Oczyszczania Ścieków Komunalnych. Identyfikował on nie tylko potrzeby i koszty, jakie trzeba będzie ponieść, by osiągnąć standardy Unii Europejskiej w tej dziedzinie. Wytyczył również obszary i granice 1378 aglomeracji komunalnych, dla których przewidziano wspólne, międzygminne przedsięwzięcia. Budowę, rozbudowę bądź modernizację oczyszczalni ścieków oraz zbiorczych systemów kanalizacyjnych. Wszystkie inwestycje miały być gotowe do końca przyszłego roku!

Zaraz po starcie okazało się, że Krajowy Program... wymaga korekty. Jego pierwszą aktualizację przeprowadzono już w 2005 roku. Dotyczyła zwiększenia liczby aglomeracji, a więc i inwestycji wodno-ściekowych.

Celem kolejnej korekty było wskazanie tych priorytetowych inwestycji w aglomeracjach, na których trzeba się skoncentrować w pierwszej kolejności. To warunek, by w terminie sprostać unijnym standardom w oczyszczaniu ścieków komunalnych.

Trzecia aktualizacja w 2011 roku wprowadziła zmiany, wymuszone opóźnieniami w terminowym zakończeniu poszczególnych inwestycji.

Ostatnia, czwarty audyt prawdy o realizacji Krajowego Programu Oczyszczania Ścieków Komunalnych jest analitycznym podsumowaniem jego sukcesów i porażek na rok przed unijnym rozliczeniem.

Trudno dziś nie docenić wielkiego boomu inwestycyjnego w sferze gospodarki wodno-ściekowej, jaki dokonał się w wolnej Polsce. Dzięki unijnemu wsparciu, w całym kraju powstały setki nowoczesnych technicznie i technologicznie oczyszczalni. Drugie tyle, a może i więcej, zmodernizowano na unijną miarę.

Pietrowice Wielkie i ekologiczne!

Nieoczyszczone ścieki komunalne, przenikające do środowiska naturalnego, mają ogromną siłę rażenia. W Polsce zbyt długo pozbywaliśmy się ich metodą „wprost do rzeki, jeziora czy na pola”. Z wszelkimi tego konsekwencjami. Dla rolnictwa, zasobów wód pitnych, zdrowia ludzi.

Takie były realia. W miastach brakowało oczyszczalni ścieków. Na terenach wiejskich i w małych miejscowościach podstawowym elementem techniki sanitarnej były nieszczelne szamba.

Ogromne zaniedbania w gospodarce wodno-ściekowej dyskwalifikowały nas jako członka Wspólnoty Europejskiej. Z mizerną, przestarzałą infrastrukturą komunalną, nie można było sprostać wymaganiom unijnej dyrektywy z 1991 roku, dotyczącej oczyszczania ścieków komunalnych.

Udało się na szczęście wynegocjować w Traktacie Akcesyjnym okresy przejściowe, dostosowawcze. W praktyce dodatkowy czas (do końca 2015 roku!) na nadrobienie zaszłości cywilizacyjnych w technice i technologii sanitarnej.

Czy zdążymy? Co się zmieniło dotąd w polskiej gospodarce wodno-ściekowej? I co mają do tego Pietrowice Wielkie?



Hubert Rzytki z dumą pokazuje w swoim ogrodzie oczyszczone ścieki...

Również stan systemów wodociągowo-kanalizacyjnych, rozbudowywanych w dużych i mniejszych aglomeracjach oraz poszczególnych gminach, można uznać za zadowalający. Zauważany jest proces kanalizowania wielu mniejszych miejscowości. Ale...

Porządkowanie gospodarki ściekowej na terenach wiejskich, niezurbanizowanych, gdzie budownictwo jest rozproszone, wciąż pozostawia wiele do życzenia. Takie miejsca wymagają

innych niż w gminach miejskich, często nietypowych, indywidualnych rozwiązań, czego na początku tworzenia Krajowy Program... dostatecznie nie uwzględnili. A to może nas słono kosztować.

Jeśli nie osiągniemy za rok zakładanego efektu ekologicznego w oczyszczaniu ścieków, Unia Europejska może zażądać zwrotu dotacji.

Pułapki aglomeracyjne

To niemal pewnik. W danym nam do dyspozycji czasie nie zakończymy wszystkich zaplanowanych inwestycji. Nie sprostamy w pełni unijnym standardom, zapisanym w dyrektywie „ściekowej”.

Potrzebujemy więcej niż rok czasu, by naprawić błędy w wytyczaniu granic aglomeracji komunalnych. Tworzyły je dla wspólnych inwestycji, gęsto zabudowane miasta i małe gminy, ba nawet sołectwa, nierzadko o mocno rozproszonej zabudowie. Taki mariaż często okazywał się pułapką dla tych drugich. To prawda. Nie było innej możliwości, by małe, wiejskie gminy mogły samodzielnie skorzystać z unijnych programów pomocowych, przeznaczonych dla międzygminnych inwestycji.

A te często okazywały się pułapką.

W taką pułapkę aglomeracyjną w województwie śląskim wpadła m.in. gmina Krzyżanowice, wpisana za swoją zgodą na skład wodnokanalizacyjnej aglomeracji Racibórz. Początkowo był w tym sens.

Miasto Racibórz za pieniądze z Funduszu Spójności rozbudowało i unowocześniło swoją oczyszczalnię ścieków. Miała ona świadczyć usługi komunalne chętnym gminom powiatu. To wymagało wybudowania w nich wielokilometrowych kanalizacji. Mało kto wówczas myślał, że ceny usług komunalnych (pobór wody, odprowadzanie ścieków) świadczone odległym miejscowościom będą wyższe niż w Raci-

borzu. Przesył kosztuje. Im dalej od źródła, tym więcej.

Mieszkańcy Krzyżanowic, którzy policzyli aglomeracyjne opłaty za wodę i ścieki, nie chcą już takiego rozwiązania. Ich władze postanowiły wystąpić z komunalnej aglomeracji Racibórz. Jest to trudne, ale możliwe. W ostatniej aktualizacji Krajowego Programu Oczyszczania Ścieków Komunalnych weryfikacja granic i obszarów aglomeracji została uwzględniona. Zainteresowane strony muszą dojść do porozumienia.

Oczyszczalnie obywatelskie

Inna gmina z powiatu raciborskiego – Pietrowice Wielkie, która od lat słynie z aktywności obywatelskiej i ekologicznej, nie popełniła tego błędu. Świadomie i bez wahania wybrała własną drogę w porządkowaniu gospodarki wodno-ściekowej.

To gmina nietypowa. Liczy zaledwie 6,5 tysiąca mieszkańców, ale rozciąga się na powierzchni ponad 68 kilometrów kwadratowych. Głównie na terenach użytków rolnych, wśród łąk, pastwisk, lasów, zagajników. Mimo to, od kilkunastu lat sięga po europejskie standardy nie tylko w ochronie środowiska. Nawet odległości pomiędzy jej jedenastoma sołectwami, oddalonymi od siebie w rozpiętości od jednego do dwudziestu kilometrów, nie są przeszkodą we wspólnym kreowaniu rozwoju.

Ma swoje sukcesy. Jednym z nich jest bynajmniej nie lokalna, organizowana od 14 lat wielka ekologiczna wystawa i towarzyszące jej wydarzenia. Na stałe wpisane w kalendarz regionalny.

Obecnie wszystko wskazuje na to, że Pietrowice Wielkie sięgną po najwyższy laur w kraju za uporządkowanie gospodarki ściekowej.

Do 2012 roku i ta gmina wyposażona była w bezodpływowe, przestarzałe szamba w poszczególnych posesjach mieszkalnych. Użytkowane, często nawet kilkadziesiąt lat, stały się źródłem skażenia gruntów, wód powierzchniowych



Tego typu obiekty przydomowych oczyszczalni doskonale sprawdzają się nie tylko w Pietrowicach.

i podziemnych. Zmianę tej sytuacji pietrowicka społeczność potraktowała priorytetowo!

Zanim jednak zdecydowano o wyborze sposobu uporania się z problemem, gmina przeprowadziła ekonomiczną i techniczną analizę budowy bądź modernizacji lokalnej sieci sanitarnej. Przy uwzględnieniu naturalnych warunków terenu. Jej wynik nie pozostał w wyborze.

Zbyt kosztowna okazała się budowa sieci kanalizacji sanitarnej. Na skanalizowanie Pietrowic Wielkich trzeba by pociągnąć rury o długości dziewięćdziesięciu kilometrów. Gminy nie było na to stać. Wybór padł na przydomowe, biologiczne oczyszczalnie ścieków nowej generacji.

Nie dziwi, że tę obywatelską i ekologiczną gminę oraz jej pilotażowy projekt, wsparł Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej. Udzielił jej dotacji w wysokości 9 mln złotych i w takiej samej wysokości – pożyczki. Za te pieniądze sfinanso-



Ogrodowe kompozycje doskonale maskują posadzone głęboko w ziemi urządzenia biologicznej oczyszczalni ścieków.

sowano zakup i montaż 1170 przydomowych biologicznych oczyszczalni ścieków. Już pracują, oczyszczając 85 proc. gminnych ścieków.

Udział własny mieszkańców w inwestycji wyceniono jednorazowo na 1845 złotych. Comiesięczne koszty wywozu osadu, opłatę karty SIM do monitorowania pracy każdej przydomowej oczyszczalni, przeglądów serwisowych itp., w sumie ich utrzymania i obsługi w ciągłym ruchu, wyceniono na 29 złotych!

Pietrowickie biologiczne oczyszczalnie ścieków, wyposażone w optymalne technologie, funkcjonują bez zakłóceń. Pracę każdej z nich nadzoruje program komputerowy, który w razie awarii przesyła sygnał poprzez system GSM. Nadzór nad tym programem i serwis urządzeń zapewnia Zakład Gospodarki Komunalnej, w którym uruchomiono specjalne laboratorium do badania jakości ścieków.

Są czyste, prawie jak woda z kranu, zapewniał dziennikarzy Hubert Rzytki, w swoim przydomowym ogródku. Ta biologiczna trzykomorowa oczyszczalnia, której nie widać, oczyszcza ścieki w 95 procentach! Nie zamienilibym jej na żadną inną.

Przekonajcie się sami. W oczyszczonych ściekach nie ma ani zawiesiny, ani smrodu. Takiego efektu nie spodziewaliśmy się, dodawał jej dumny właściciel.

Doświadczenia Pietrowic Wielkich w zastosowaniu innowacyjnej metody gospodarki ściekowej na terenach zabudowy rozproszonej, były prezentowane w trakcie specjalnie zorganizowanej konferencji.

Podczas jej trwania padła zapowiedź Gabrieli Lenartowicz, prezes Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Katowicach, o udzieleniu Pietrowicom Wielkim preferencyjnej pożyczki w wysokości 1,3 mln. Pozwoli ona na wybudowanie 200 kolejnych, potrzebnych tej gminie przydomowych biologicznych oczyszczalni ścieków. Będzie to prawdziwy rekord Polski.

JOLANTA
KARMAŃSKA



Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA



Fot. Agnieszka Sikora

Naukowcom w prowadzeniu badań od samego początku towarzyszy UŚka, łódź badawcza Uniwersytetu Śląskiego. Ułatwia ona pobieranie prób do badań, liczenie ptaków i ryb, obserwowanie ruchów wody, piętrzenia, badanie roślinności.

Zbiornik

MAŁGORZATA
KŁOSKOWICZ

Goczałkowicki dla Śląska

Oddany do eksploatacji w 1955 roku zbiornik zaporowy w Goczałkowicach pełnił początkowo dwie funkcje: chronił przed powodzią tereny położone poniżej zapory oraz stanowił źródło zaopatrzenia w wodę mieszkańców aglomeracji katowickiej i rybnickiej. Przemiany społeczno-gospodarcze spowodowały, że dziś zbiornik ten pełni więcej funkcji, niż pierwotnie zakładano, a proces starzenia się obiektów akwenu znacząco komplikuje realizację podstawowych zadań. Kluczem do rozwiązania tych problemów jest system informacyjny wspomagający zarządzanie sztucznymi zbiornikami zaporowymi, opracowany przez zespoły badawcze w ramach projektu ZiZO-Zap, którego koordynatorem był Uniwersytet Śląski w Katowicach.

Wszystko o zbiorniku

W ciągu ostatnich czterech lat mieszkańcy terenów sąsiadujących ze zbiornikiem Goczałkowice mogli wielokrotnie dostrzec pływającą łódź badawczą UŚkę,

a w niej naukowców, którzy pobierali próby wody, osadów dennych, flory i fauny wodnej. Otrzymany w ten sposób materiał do badań stanowił jedno z wielu źródeł danych tworzących rozbudowaną bazę informacji o Zbiorniku Zintegrowanego Systemu Wspomagającego Zarządzaniem i Ochroną Zbiornika Zaporowego (ZiZO-Zap). Ponad stu naukowców pracowało nad stworzeniem numerycznych modeli sztucznego zbiornika wodnego, umożliwiających nie tylko bieżącą ocenę jego stanu ale także prognozowanie zmian.

Zbiornik w Goczałkowicach, jeden z największych obiektów tego typu w Polsce, został potraktowany jako obiekt modelowy. Aby móc identyfikować problemy oraz proponować możliwe rozwiązania, realizatorzy projektu postanowili go zbadać i dokładnie opisać, uwzględniając wszystkie możliwe czynniki mające wpływ na jego funkcjonowanie. – *Nie da się racjonalnie zarządzać środowiskiem, jeśli bierzemy pod uwagę tylko jeden element, na przykład ptaki mające swoje siedliska w obrębie zbiornika. Dla uzyskania rzeczywistego*

obrazu zbiornika ważne są relacje między fauną i florą, ukształtowanie terenu, dynamika przepływów wody, warunki meteorologiczne, układ dna akwenu czy zasoby wód podziemnych i wiele innych. Dlatego nasz projekt nastawiony był na propagowanie sposobu zarządzania zbiornikiem zaporowym, opartego na zachowaniu równowagi pomiędzy poszczególnymi elementami – mówi dr Andrzej Woźnica z Uniwersytetu Śląskiego, z-ca koordynatora projektu ZiZO-Zap.

Uwzględnienie wszystkich aspektów funkcjonowania zbiornika w Goczałkowicach okazało się możliwe wyłącznie dzięki współpracy między zespołami badawczymi reprezentującymi różne dyscypliny naukowe. W realizację projektu zaangażowało się ponad stu naukowców, głównie ze śląskich i małopolskich ośrodków naukowych, a także przedstawiciele instytucji związanych z gospodarką wodną. Koordynatorem projektu był Uniwersytet Śląski, natomiast głównymi realizatorami zadań – Politechnika Krakowska (PK), Instytut Ekologii Terenów Uprzemysłowionych w Katowicach (IETU) oraz Instytut Podstaw Inżynierii Środowiska PAN w Zabrzu (IPIŚ), a partnerami strategicznymi Górnośląskie Przedsiębiorstwo Wodociągów SA (GPW SA) oraz Regionalny Zarząd Gospodarki Wodnej w Gliwicach.

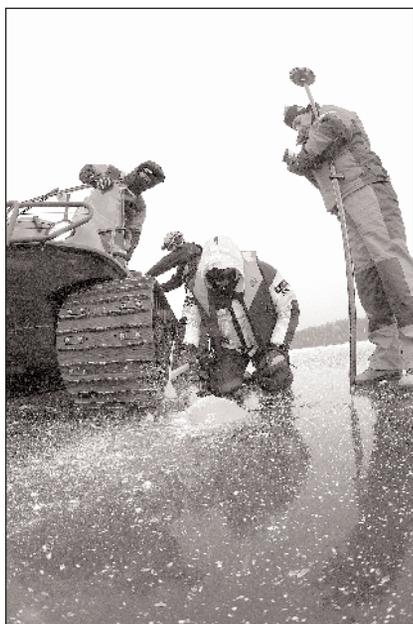
Wspólny cel

Na początku była burza mózgów. Inicjatorzy projektu prof. Paweł Miguła (UŚ), dr hab. Piotr Łaszczycza (UŚ), dr Andrzej Woźnica (UŚ), dr Czesław Kliś (IETU), dr Antoni Bojarski (PK) i prof. Elżbieta Nachlik (PK), a także Andrzej Study (GPW SA) wielokrotnie dyskutowali podczas przygotowywania wniosku na temat zakresu badań. Ustalali wstępną liczbę zespołów badawczych, kategorie informacji oraz sposób ich gromadzenia. Wraz z rozpoczęciem realizacji projektu, informatycy zaczęli budować strukturę bazy danych.

Znaczna część informacji pochodziła z monitoringu automatycznego. Na zbiorniku i w zlewni Wisły wyznaczono ponad 190 punktów, w których zmierzono i opisano prawie 2,4 tys. parametrów. Automatyczne sondy umieszczono na wlocie i wylocie zbiornika, a w jego najgłębszym punkcie została zamontowana pływająca stacja hydro-meteorologiczna. Działający od czerwca 2010 roku system umożliwiał monitorowanie stanu fizykochemicznego wód zbiornika, temperatury i wilgotności powietrza, prędkości i kierunku wiatru, przesyłając dane bezpośrednio do bazy co piętnaście minut.

Ponadto naukowcy z poszczególnych zespołów analizowali próby pobierane





Pomiar lokalizacji boi lodowych na Zbiorniku Goczałkowickim.

na zbiorniku w Goczałkowicach, interpretowali otrzymane wyniki i uzupełniali powstającą bazę. Wyniki monitoringu badawczego i operacyjnego służyły do modelowania pozwalającego na obrazowanie i prognozowanie zmian parametrów fizykochemicznych, hydromorfologicznych i biologicznych zbiornika. Z tego powodu monitoring musiał być rozszerzony, w stosunku do wymaganego przepisami prawa, pod względem zakresu rzeczowego, metodyki oraz częstotliwości badań.

Monitoring biologiczny dostarczył danych o biomasy i składzie taksonomicznym fitoplanktonu oraz zooplanktonu. Liczebność ryb szacowano na podstawie analizy obrazów sonarowych, wykorzystując opracowany w projekcie specjalny algorytm, pozwalający na nieinwazyjną i szybką kontrolę populacji ryb w akwenach wodnych. Monitoring ornitofauny był odpowiedzią na konflikty pomiędzy potrzebami ochrony ptaków na obszarze Natura 2000 obejmującym część akwenu, a funkcjami gospodarczymi i przeciwpowodziowymi zbiornika, przekładającymi się na problemy w jego zarządzaniu. Ptaki rybożerne są istotnym konsumentem ryb, co w konsekwencji może oddziaływać pośrednio na fito- i zooplankton oraz jakość wody. W projekcie testowano również system monitoringu szuwarów, bazujący na analizie satelitarnych obrazów terenu. Rozpoznawana była zmienność sezonowa zdolności wiązania biogenów i zanieczyszczeń przez szuwar.

Dziś można już mówić o sukcesie, a interdyscyplinarna współpraca, jak przyznają realizatorzy, okazała się skuteczna. – Jesteśmy dumni, że udało nam się połączyć prace tak różnych zespołów badawczych. Pokazaliśmy, że może dojść do konsensusu między przyrodnikami, hydrotechnikami,

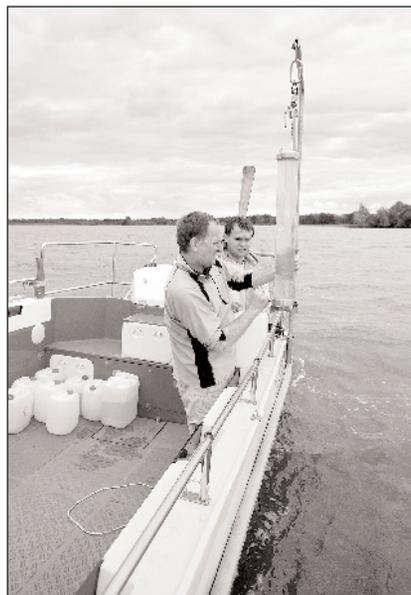
hydrogeologami, modelarzami, matematykami czy informatykami. Połączył nas wspólny cel – mówi dr Woźnica.

Funkcje zbiornika

Zgodnie z założeniami projektu ZiZOZap zrównoważone zarządzanie zbiornikiem retencyjnym powinno zostać uwzględnione w „scenariuszach pracy zbiornika”. Badacze rozpoczęli od ustalenia jego głównych funkcji oraz wpływających na nie czynników. Następnie monitorowali aktualny stan zbiornika, identyfikowali problemy oraz proponowali podjęcie określonych działań służących eliminowaniu czynników zakłócających jego funkcjonowanie. Scenariusze pozwalają sprawdzić, w jaki sposób podejmowane działania wpłyną na pozostałe elementy zbiornika i, czy nie doprowadzą do kolizji pełnionych aktualnie funkcji.

Jednym z istotnych problemów w zarządzaniu zbiornikiem w Goczałkowicach jest ilość oraz jakość wody do zaopatrzenia Śląska. Analiza danych jakościowych wskazuje czynniki wpływające na obniżenie klasy wody w zbiorniku oraz okresy, w których wody zbiornika nie nadają się do spożycia i, tym samym, do zaopatrzenia aglomeracji.

Efektywność przeciwpowodziowa uzależniona jest natomiast od stanu technicznego akwenu, jego pojemności oraz od hydrologicznej charakterystyki wód go zasilających. Tworzone dynamiczne modele zbiornika w Goczałkowicach pozwalają monitorować także te czynniki i umożliwiają śledzenie różnych scenariuszy sytuacyjnych na zbiorniku. Innymi słowy, to właśnie dzięki nim osoba zarządzająca obiektem może bezpiecznie sprawdzić, w jakim stopniu działania podjęte w sytuacjach kryzysowych, takich jak powódź czy susza, wpłyną na ekosystem zbiornika.



Przemysław Ziemiński oraz dr Andrzej Woźnica pobierają próby wody i osadów do dalszych badań.

Niebagatelne znaczenie dla prac nad numerycznymi modelami zbiornika miały nietypowe warunki klimatyczne oraz hydrologiczne w okresie monitoringu badawczego i operacyjnego – od powodziowych w 2010 roku, przez „przeciętne” w 2011 roku aż do suszy hydrologicznej w 2012 roku. Okoliczności okazały się zatem „sprzyjające” z perspektywy przygotowanych modeli zbiornika dla skrajnych warunków środowiskowych.

Wspomniane powyżej funkcje są ze sobą ściśle powiązane. Między nimi zachodzą bowiem istotne relacje. Powiększenie stałej rezerwy powodziowej przez obniżenie poziomu piętrzenia wody może między innymi skutkować obniżeniem jakości wody, co z kolei ma znaczenie dla możliwości zaopatrzenia aglomeracji w wodę przydatną do spożycia.

Zbiornik Goczałkowice to bujny choć sztucznie stworzony ekosystem, objęty obszarem Natura 2000 ze względu na swoje znaczenie przyrodnicze. Model jakościowy zbiornika pozwala określić racjonalny poziom ochrony tego obszaru, nie ograniczający innych pełnionych przez niego funkcji.

Nauka – biznes – administracja

ZiZOZap jest projektem komercyjnym, Złatego spółka celowa Uniwersytetu Śląskiego zajmie się wdrożeniem narzędzi przygotowanych i wykorzystanych podczas czteroletnich badań. Przetestowane na zbiorniku w Goczałkowicach, mogą wspomagać zarządzanie pozostałymi ponad sześćdziesięcioma sztucznymi zbiornikami wodnymi w Polsce. Jak przyznaje dr Woźnica, jest to kolejne wyzwanie. Wszystkie wysiłki realizatorów koncentrują się obecnie na przygotowaniu ofert rynkowych. W tej chwili mogą przedstawić już czterdzieści sześć produktów i usług, w tym wspomaganie zarządzania przeciwpowodziowego, system analizy liczebności ryb, sposoby regulacji powierzchni szuwarów czy wycenę świadczeń ekosystemów.

– Na początku nie wiedzieliśmy, że wielu analiz nie da się zrobić, i pewnie dlatego nam się udało! Za wcześniej jednak na ogłaszanie pełnego sukcesu. Satisfakcję poczuje dopiero wtedy, gdy zobaczę, że udało nam się zatrzymać zespół naukowców, z którymi współpracowaliśmy. To są wiarygodni ludzie. Każdy zespół zgłaszał swoje produkty i, także w przypadku złożonego wdrożenia, będzie nadal z nimi powiązany. Mijmy nadzieję, że połączenie nauki, biznesu i administracji okaże się dla wszystkich satysfakcjonujące – mówi dr Woźnica.

Jednym z narzędzi jest również łódź badawcza UŚka. W tej chwili została zabezpieczona przed zimą, ale z pewnością mieszkańcy okolic zbiornika Goczałkowickiego znów będą mogli zobaczyć ją „w akcji” na wiosnę 2015 roku.

Projekt ZiZOZap został dofinansowany ze środków Europejskiego Funduszu Rozwoju Regionalnego w ramach Programu Operacyjnego Innowacyjna Gospodarka.



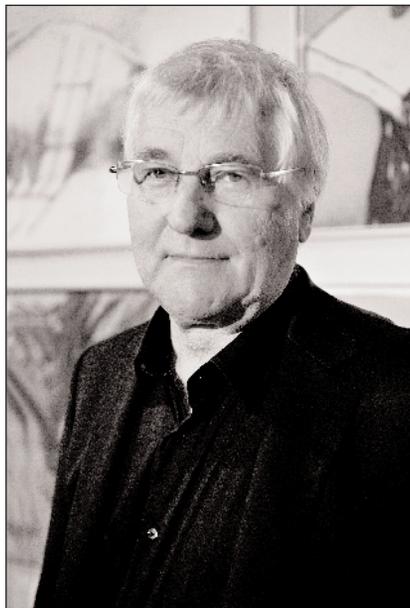
Dofinansowano ze środków
Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska
i Gospodarki Wodnej w Katowicach

EKOLOGIA

Mieli plakaciści tzw. „śląskiej szkoły plakatu” szczęście, że ich prace były przez wiele lat nieodłącznym elementem codzienności. Towarzyszyły rozmaitym wydarzeniom społecznym, imprezom kulturalnym – profesjonalnym, ale też tym bardziej ambitnym, organizowanym przez amatorski ruch filmowy czy teatralny. Anonsowały premiery teatralne, konkursy literackie, przeglądy i festiwale – od folklorystycznych po światowe np. z dziedziny muzyki poważnej. Kiedy na słupach ogłoszeniowych czy w gablotach instytucji kultury pojawiał się nowy plakat wystarczyło zwykle jeden rzut oka by stwierdzić czy to „Grabowski”, czy „Kalarus”, a może „Kliś”. Tych nazwisk oczywiście było o wiele więcej. Ale wszystkie rozpoznawalne poprzez kreskę, literactwo, sposób budowania obrazu, znaku. Te plakaty tworzyły niejedną kolekcję, pieczołowicie przechowywane jako coś nierozłącznego z wydarzeniem, w którym się uczestniczyło. Rzecz jasna, że nie były to egzemplarze jednostkowe – jak dziś często bywa, bądź raptem drukowane – ze względu na koszty – plakaty w kilkunastu egzemplarzach. Oczywiście dzisiejsze technologie dają takie możliwości, ale plakat przestał być wszechobecny w przestrzeni publicznej. Na ten temat zapisano już wiele stron, także w miesięczniku „Śląsk”.

Do tęsknoty za plakatem jako zjawiskiem powszechnym, zwykle prowokują takie wystawy, jak wielka ekspozycja retrospektywna autorstwa Michała Klisia – jednego z tytanów tej dziedziny sztuki – w katowickim Rodzie Sztuki. W tej „industrialnej” przestrzeni plakaty mają się znakomicie. A plakaty Michała Klisia szczególnie, bo trochę jakby na zasadzie kontrastu: pełne malarskiego gestu, ledwo uchwytnie, czasem operujące prostym skrótem, czasem wyrażone kreską, także rozmalowane, mieniące się kolorami i beskidzkim temperamentem.

Ekspozycja w Rondzie jest wielkim nagromadzeniem nie tylko prac Michała Klisia, ale została pomyślana jako wędrówka: od spraw intymnych, rodzinnych, starych fotografii ojca i matki, fotografie które zatrzymały w kadrze panoramy ukochanych miejsc, górskich widoków, wspomnień młodości, poprzez prywatne szkice zanotowane na kartkach, w notesach, na serwetkach, utrwalone na czymkolwiek w momencie pojawienia się sugestii czy pomysłu na jakiś temat. Ta intymność została oddzielona od pozostałej części ekspozycji ścianami, zamknięta niczym w domowym zaciszu. Do tej prywatnej przestrzeni należą także obrazy – wszak Michał Kliś jest też malarzem. Te fragmenty wystawy to jego pejzaż wewnętrzny. Resztę ekspozycji zajmują plakaty i znaki graficzne. A wszystko to opatrzone krótkim wspólnym tytułem, jednosylabowymi słowami: znak, ślad. Większość plakatów Klisia jest jak te słowa. Piszę „większość”, bo są wśród nich te opowiadające o niezwykłym folklorze jego ukochanych Beskidów, które aż drżą



Fot. Zbigniew Sawicz

W świecie plakatu Michała Klisia

od koloru, roztańczone, pełne muzyki, łączące wysublimowaną sztukę plakatu z tym co najpiękniejsze w ludowej tradycji. Są też inne, bardzo malarskie – jak plakaty zapowiadające Bielską Jesień czy wystawę z okazji 150. Rocznicy urodzin Juliana Fałata. Są zatem w twórczości Michała Klisia takie sytuacje, kiedy plakat nie sprowadza się do wyrafinowanego znaku. Obraz drogą eliminacji, staje się wypreparowanym sensem, sednem, ale nie pozbawionym anegdoty. Jak to dzieje się na przykład w plakat�ch teatralnych, których głównie dla bielskiego Teatru Baniałuka stworzył ogromne ilości. Każdy – podobnie jak kolejne spektakle – w innej poetyce, ściśle powiązany z zapowiadany dziełem, oddający jego niepowtarzalny charakter.

Plakat zgodnie ze swym przeznaczeniem musi odbiorcę na swój sposób zaczepiać, sprawiać, żeby się zatrzymał. Plakat jest informacją, ale też zaproszeniem, preludem do tego, co sam zapowiada. Spoczywa więc na jego twórcy wielka odpowiedzialność – i Michał Kliś z tej odpowiedzialności wywiązuje się od 40 lat znakomicie. Nie ma w twórczości Klisia jakiegoś artystycznego „wytrycha”, każdy plakat to indywidualna interpretacja wydarzenia, o którym mówi, do którego się odnosi. Jak w katalogu towarzyszącym wystawie napisał Tadeusz Sławek: „[...] człowiek chce zostawić po sobie ślad wierząc, że archiwizowanie tychże śladów pomoże przetrwać kulturze, wtedy, gdy fizycznie nie będzie już autorów materiałów zebranych w archiwum”. Michał Kliś za-

prasza nas do chodzenia po jego śladach, do odnajdywania kolejnych tropów. Ślady Michała Klisia przez lata prowadzić będą naszą pamięć do miejsc, zdarzeń, do ludzi. Wszystko co zapowiadały – przeminęło. Pozostał plakat, który wcielił się w kolejną rolę – nie tylko przechowuje pamięć, ale staje się samoistnym dziełem sztuki. I w tym też jest wielka rola plakatu. Oglądając tę ogromną ekspozycję podziwiamy dzieła Michała Klisia, ale zarazem uświadamiamy sobie ilu zdarzeniom towarzyszyły. Dzięki plakatom Klisia powstały w naszej pamięci – i to niekoniecznie za sprawą naszego bezpośredniego uczestnictwa w danym wydarzeniu. Nie musimy być na każdej z anonsowanych wystaw czy premierach teatralnych, nie musimy uczestniczyć w festiwalach folkloru beskidzkiego, żeby nie kojarzyć plakatów tego artysty z konkretnymi wydarzeniami.

Jeszcze większe skupienie uzyskuje Michał Kliś tworząc na zamówienie instytucji znaki graficzne – wprawdzie znakomicie funkcjonujące w naszej rzeczywistości, łatwo rozpoznawalne, ale na swój sposób anonimowe. Całą paletę znaków można było również zobaczyć na ekspozycji w Rondzie Sztuki.

Ale, moim zdaniem, do najbardziej ujmujących należą pierwsze szkice do powstających plakatów – będące zapisem impulsu, ułamka sekundy, który w kolejnej fazie twórczości ulegać będzie dalszym przeobrażeniom. A w każdej nawet najdrobniejszej kresce, mieści się tyle skupienia, tyle głębokiego namysłu i refleksji, że starczyłoby na niejeden obraz. Plakaty Michała Klisia – pozbawione gadulstwa, naznaczone wewnętrzną, ale jakże mądrą prostotą.

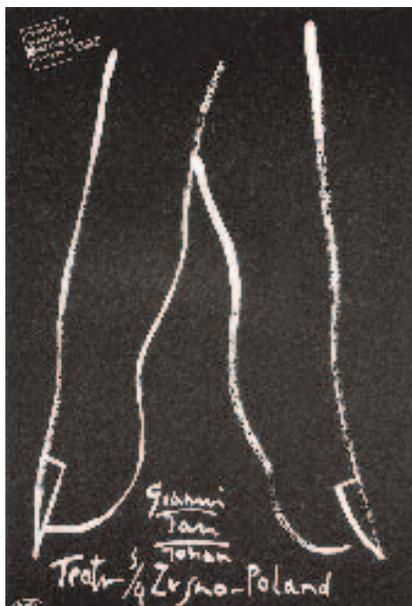
WIESŁAWA KONOPELSKA

Prof. zw. Michał Kliś – grafik, plakacista, rektor pierwszej Akademii Sztuk Pięknych w Katowicach. Urodzony 13 września 1945 roku w Bielsku – Białej. Studiował na katowickim Wydziale Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (dyplom główny w Pracowni Plakatu prof. Tadeusza Grabowskiego, dodatkowy z projektowania książki u prof. Stanisława Kluski oraz z malarstwa u prof. Andrzeja S. Kowalskiego). Od 1974 r. jest nauczycielem akademickim. W latach 1993-1995 dziekan katowickiego Wydziału Grafiki, następnie prorektor ASP w Krakowie do spraw Filii w Katowicach. Od 2001-2005 – rektor samodzielnej ASP w Katowicach. Obecnie prowadzi Międzykierunkową Pracownię Projektowania Plakatu oraz Pracownię Projektowania Alternatywnego w ASP w Katowicach.

Brał udział w ponad 150 wystawach w kraju i zagranicą. Wielokrotnie nagradzany najwyższymi laureami na międzynarodowych i krajowych konkursach graficznych, laureat licznych nagród i wyróżnień. Twórca wielu znaków graficznych – m.in. Województwa Śląskiego i Europejskiego Centrum Solidarności w Gdańsku. Jego prace znajdują się w zbiorach muzealnych w kraju i zagranicą m.in. w Japonii, Lahti, Nowym Jorku, Watykanie, Sydney i Paryżu.



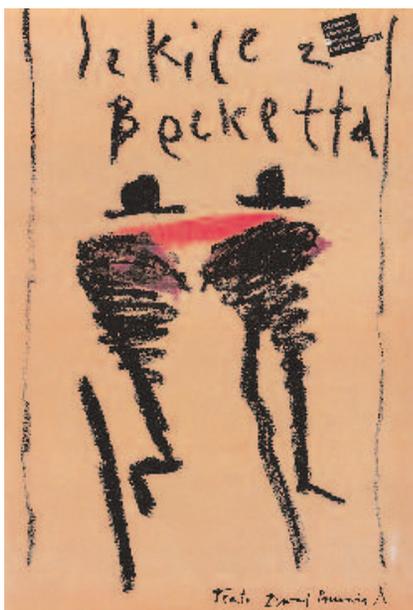
XXVI Ogólnopolska Wystawa Malarstwa
Bielska Jesień, offset, 1989



Gianni/Jan/Johan, Ośrodek Teatralny
Białaluka, druk cyfrowy, 1994



XXIII Tydzień Kultury Beskidzkiej,
druk cyfrowy, 1986



Szkice z Becketta, Ośrodek Teatralny
Białaluka, offset, 2000



Byki – wystawa malarstwa Michała Klisia, BWA w Bielsku-Białej,
sitodruk, 2009

Michał **KLISZ** ZNAK/ŚLAD
Rondo Sztuki Katowice



15 Biennale Plakatu Polskiego, sitodruk, 1997



Julian Fałat 1853-2003 – w 150. rocznicę śmierci, offset 2003

JERZY DUDA-GRACZ
(1941 - 2004)



Autoportret (Ora et Colabora), Nr 615, 20x60,7 cm, 1982



Wieś Kamion. Zmory dzieciństwa, Nr 1712, 60x80 cm, 1994



Wieś Trzęsiny. Straszny dwór, Nr 1891, 81x199 cm, 1995



Wieś Kamion. Drugi brzeg, Nr 1722, 60-180 cm, 1994



I co dalej najmiłsza moja jedyna, Nr 1463, 122x224 cm, 1991



Wieś Jodłowa. Spłoszone ptaki, Nr 1907, 52x119 cm, 1995

Jerzy Duda-Gracz zmarł nagle, podczas snu, 5 listopada 2004 r. Miał 63 lata. Przebywał wówczas na plenerze malarskim w Łagowie. Pozostawił po sobie ogromny dorobek twórczy. Bo też tworzył cały czas. Sztuka była dla niego sposobem na postrzeganie świata, na jego komentowanie, na komunikowanie się z drugim człowiekiem i z samym sobą. Jego obrazy, grafiki, scenografie przysporzyły mu wielkiej popularności. W ocenie Polaków to właśnie Duda-Gracz zasługuje na miano najpopularniejszego polskiego malarza po 1945 r. (dane wg ogólnopolskich badań TNS OBOP). Prosto-liniowy, szczerzy, niewysokiego wzrostu z wąsikami, często we flanelowej koszuli. Profesor, pedagog. Autor 168 indywidualnych wystaw w kraju i zagranicą, reprezentant Polski na weneckim Biennale w 1984 r., artysta, którego prace zasilają kolekcje najważniejszych polskich muzeów oraz m.in. Muzeum Uffizi we Florencji, Muzeum Watykańskiego czy moskiewskiego Muzeum im. A. Puszkina. Na jego dorobek malarski składa się blisko 3000 płócien. Chętnie kupowane i kolekcjonowane. Ale też wciąż budzący kontrowersje.

Przedstawiciel groteski

Już od swojego debiutu, na początku lat 70., Duda-Gracz uznawany był za przedstawiciela groteski. W swoich pracach łączył świat realny z wyobrażonym, piękno z brzydotą. Specyficzna atmosfera dziwności, tragicomiczny wyraz i deformacje postaci często budziły skojarzenia z twórczością Witolda Wojtkiewicza czy Pietera Bruegela. Za pomocą karykatury, satyry wytykał wady ówczesnego systemu i uwikłanych w niego ludzi. Krytykował rewolucję przemysłową. Brak poszanowania natury, brak poszanowania człowieka. Demaskował głupotę, chamstwo, ukazywał społeczne lęki i kompleksy. Do tego celu stworzył swoją „postać”, wyolbrzymiając, przerysowując ludzką sylwetkę. Tak jak w obrazie „Śniadanie na trawie” z cyklu „Tryptyk polski”, będącym parodią słynnego obrazu Maneta, gdzie zamiast dostojnych jegomości umieścił obok betoniarki trzech rubasznych mężczyzn w beretach z antenką, a przy nich dwie potężne, odpychające kobiety. Czy tak jak w obrazie „Józefowi Chełmońskiemu”, gdzie na łące, z głową przy odborniku radiowym, leży postać ogromnej baby, której noga i biodro przesłaniają prawie cały horyzont. Bohaterowie jego scen rodzajowych są brzydce, często wręcz odpychające, wyniszczeni, niezdrowi, ale w tym wszystkim jakby zagubieni, apatyczni, smutni, świadomi swojego beznadziejnego położenia. Jak pisał o malarstwie artysty Krzysztof Teodor Toeplitz, jest to świat, w którym

10. rocznica śmierci Jerzego Dudy-Gracza



Fot. Zbigniew Sawicz

Pozostać wiernym sobie

człowiek nie potrafi znaleźć wewnętrznej harmonii i godnego miejsca.

Malarz

Malarstwo Dudy-Gracza to jednak zdecydowanie nie tylko „literatura”. W jego twórczości widać zachwyt obrazami dawnych mistrzów. Ważne dla niego były rysunek, kolor, światło. Pod tym względem był klasykiem, a jego umiejętności wpisują go w tradycję malarstwa polskiego, stawiając obok takich mistrzów jak Gierzyński, Grottger, Chełmoński, Malczewski, Stanisławski. Nakładał cienką, często laserunkową warstwę farby z widocznym śladem pędzla. Operował zarówno monochromatyczną gamą barwną, światłocieniem, rysunkiem, jak i żywymi kolorystycznymi zestawieniami. Stworzona przez niego postać ma interesującą, rozpoznawalną formę. Umiłował sobie też pejzaż. Często jest on w obrazie tak samo ważny jak postać, przeciwstawiał jej brzydocie jego czystość i naturalne piękno. Pejzaż w pracach Dudy-Gracza urzeka. Zawsze typowo polski – będący odzwierciedleniem kraju artysty, którego wsie i peryferia odwiedzał na wielu plenerach.

Grafik

Wszyscy znają obrazy Dudy-Gracza, nie każdy jednak wie, iż był on też świetnym grafikiem. Wykonał m.in. obszerny cykl linorytów i drzeworytów pt. „Judaica”. Tematyka tych prac inspirowana była życiem i tradycjami żydow-

skiej społeczności, ukazywał ją przy pracy, na tle wiejskiego pejzażu, podczas różnych uroczystości. Odnajdujemy tam rzemieślników, grajków, rabinów, narzeczonych. To nie tylko ciekawe spojrzenie na grupę etniczną ale przede wszystkim prace te są pretekstem dla zabawy kompozycją, kontrastem, dla żywego i odważnego rysunku. Niewielki format, czerń – biel, proste formy. Ekspresyjny wyraz, swoboda śladu. Prace te mają „oddech”, stanowią przeciwieństwo niektórych, silnie dopracowanych formalnie obrazów artysty.

Meloman

Kochał muzykę i przyjaźnił się z wieloma muzykami. Z tej bliskiej, koleżeńskej relacji powstał cykl obrazów ilustrujących utwory Wojciecha Kilara. Jak opowiadał w rozmowie ze Sławomirem Zygmuntem: *Obrazy te namalowałem z dwóch powodów. Po pierwsze, bo kompozytor Wojciech Kilar jest moim przyjacielem. Po drugie, bo łączy nas miłość do gór, zwłaszcza do pejzażu tatrzańskiego. Podczas tej pracy nie zawsze się zgodziliśmy, np. afirmatywne przesłanie „Exodusu”, które mi tłumaczył Kilar nie bardzo się pokrywało z tym, czego wysłuchałem, bo dla mnie exodus jest tragiczny, z coraz bardziej narastającym dramatem. Ale w sumie uważam, że ta współpraca przyniosła bardzo ciekawe rezultaty, zarówno mnie jak i Wojtkowi Kilarowi.*

Po wizycie w Muzeum Beethovena w Bonn, artysta zaczął rozważać możliwość namalowania obrazów inspirowanych jego muzyką. Jednak w końcu wybrał innego kompozytora, którego twórczość obecna była w jego rodzinnym domu. Podjął się zilustrowania utworów Chopina. Do pracy nad tym monumentalnym cyklem przygotowywał się dwa lata. Studiował biografię kompozytora, jego listy, wyszukiwał informacje na temat utworów. Podążając śladami kompozytora, artysta odwiedził około 97 miejscowości w środkowo-wschodniej Polsce. Ich krajobrazy były dla niego podstawową inspiracją. Prace z cyklu „Chopinowi” stanowią prawdziwą afirmację polskiego pejzażu. Są esencją romantyzmu. Realny świat miesza się tu z baśnią. Niezwykle przestrzenie, pochylone polskie wierzby, łąny zboża, łąki. O różnych porach dnia i nocy. Przechesywane wiatrem, tonące we mgłę. A nad nimi unoszące się zwiewne postaci, rodem z mickiewiczowskich baśni. Stonowana kolorystyka, miękkie, przenikające się ze sobą plamy barwne. Uczta dla oka. Razem 313 obrazów ilustrujących wszystkie utwory Chopina. Jeden z największych cykli nowożytnego malarstwa. Cykl składa się z serii prac akwarelowo-temperowych („Etiudy”, „Preludia”, „Pieśni”), olejnych (pozostałe formy muzyczne), oraz całunów – prac na materiale, symbolizujących zaginione utwory.

Twórca autoportretów

Namalował kilkadziesiąt autoportretów. Pierwszy powstał, gdy miał 11 lat. Ostatni, pod koniec życia, ukazuje artystę w niewyraźnym odbiciu telewizyjnego ekranu. Pisał: *moje obrazy są nieustającym, póki żyję, ciągiem autoportretów, które kształtuje teraźniejszość, [...] utożsamiam się w nich z mędrkiem i z głupcem, z grubym i z chudym, z humanistą i z bydlakiem, z perłą i śmieciem, bo jestem tym wszystkim naraz, jak każdy, tyle że usiłuję to, co we mnie zmaterializować jakoś i uzewnętrznzić. Ale oprócz „zdeklarowanych” autoportretów na wielu obrazach można odnaleźć jego postać. Na zadane mu przez Sławomira Zygmunta pytanie o to, kto jest na tych portretach odpowiedział: *To wszystkie moje autotypy. Staram się wygrzebać i obnażyć to wszystko, co człowiek ma do schowania za ubraniem, to, co nosi w sobie. To mnie najbardziej interesuje. Ponieważ najlepiej można obnażyć siebie, poprzez siebie pokazując innego człowieka. To jest totalny striptiz.**

Człowiek wiary

Od samego początku w twórczości Dudy-Gracza pojawia się wątek religijny. Urodzony w Częstochowie artysta wspominał, że jego rodzinne miasto i związany z nim religijny kult miały na niego duży wpływ. Kwestie wiary podejmował w swojej twórczości na różnorodne sposoby. Od krytyki napompanych religijnych uroczystości, używania religii dla własnych celów, jak np. w pracach „Tryptyk Częstochowski”, „Odpust” i „Quo Vadis Homine?” po realizację *Dróg Krzyżowych*, w których podejmował głęboką, osobistą refleksję nad męką Chrystusa. Pierwszą z nich wykonał w 1973 r. w technice litografii. Nie brakowało w niej elementów satyry i groteski. Cykl ten posłużył za ilustracje dla wydawanych poza cenzurą wierszy Joanny Kulmowej pt. „Jak to Pan Jezusek cierniowy po świecie przepatrywał?”.

Kilka lat później namalował kolejną Golgotę do kaplicy domu Zgromadzenia Sióstr Maryi Niepokalanej w Brennej. Są to nieduże, formatu 30x30cm obrazy – studia samej głowy Chrystusa i odmalowującej się na jego twarzy męki. Cykl ten jest wyjątkowo silny w wyrazie. Następnie powstają Droga Krzyżowa dla Zgromadzenia Sióstr Maryi Niepokalanej w kaplicy klasztornej w Katowicach oraz kolejna, do niewielkiej kaplicy przydrożnej w Nadrzeczuku Biłgoraja. Jednak największym marzeniem artysty, które towarzyszyło mu podobno od dzieciństwa, była chęć pozostawienia swoich obrazów na Jasnej Górze. Wiosną 2000 r. rozpoczął prace nad „Golgotą Jasnogórską”. Do 2001 r. powstało 18 stacji – do 14 tradycyjnych

artysta dodał jeszcze obrazy pt. „Zmartwychwstanie”, „Tomasz”, „Galilea” i „Wniebowstąpienie”. Jest to cykl pełen symboli i postaci odwołujących się do historii polskiego narodu – od świętych przez powstańców i więźniów obozów koncentracyjnych po różnorodne typy ludzkie. Wszystkie one podane są typowej dla artysty deformacji. Co ciekawe, córka artysty – Agata Duda-Gracz w jednym z wywiadów wspomina:

Mало kto wie, że ojciec malował Golgotę dwa razy. Mieliliśmy taki zwyczaj w domu, że od czasu do czasu, gdy ojciec coś namalował, organizowaliśmy tam wernisaże. Tak też było, gdy ojciec po raz pierwszy, po trzech latach pracy chciał pokazać Golgotę. Przyjechał Ernest Bryll, napisał wiersze. Potem, w nocy, słycać było ojca w pracowni, tłukł się jak potępieniec. Rano siedział nadal w pracowni, w garniturze, a wszystkie 18 obrazów było zamalowanych na białą. Zapytaliśmy dlaczego. Bo nikt z was nie powiedział, że to jest złe. I przez następne trzy lata malował nową Golgotę na tych białych płótnach.

„Chory” na Polskę

Polska obecna jest we wszystkich pracach artysty. Jej mieszkańcy, ustrój polityczny, tradycje, wady, zalety, jej pejzaż. Pisał: *Urodziłem się w Częstochowie, mieszkam na Śląsku, maluję wyłącznie w Polsce, bo jestem człowiekiem chorym na Polskę. Mogę żyć i pracować tylko tutaj. Gdzieś w świecie, najpewniej zgłupiałbym do reszty, zmarniał i wreszcie umarł z tęsknoty. Jestem przywiązany do tego, co moje, bliskie, lokalne i zanurzając się w polskość malarstwa, muzyki i literatury, od sarmackich trumniaków, poprzez Chopina do Gombrowicza, próbuję ten ukochany peryferyjny grajdoł nie tyle „podnieść do wymiarów wszech, do wymiaru kosmicznego”, ile wyrazić tak, żeby adresaci moich obrazów nie zapierali się rodzinnej ojcowizny, nie wstydzili własnej słomy w butach, swojej tubylczości i odrębności, bo są jak linie papilarne, niepowtarzalni w tym co dobre i złe...*

Był też Duda-Gracz przywiązany do Katowic. To tutaj przez większość swojego życia pracował, mieszkał i tworzył. W tutejszym artystycznym środowisku funkcjonował. I pozostawił po sobie dla niego wyjątkowo prezent. Jest to obraz pt. „Parnas Śląski”. Jak wspomina Tadeusz Kijonka, obraz ten malowany był przez artystę przy wielu towarzyskich spotkaniach i toastach w 1973 r. w budynku zebrań „katowickiej bohemy” – w Klubie Związków i Stowarzyszeń Twórczych w Katowicach przy ulicy Warszawskiej 37. Jego format i kształt dostosowany został do pomieszczenia, w którym był malowany i gdzie miał pozostać – była to piwniczka o owalnym stropie. Na obrazie ukazanych zostało 78

osób. Portrety wykonywane były na podstawie zdjęć, co zresztą zostało napisane na wstępie wymalowanej nad głowami artystów: PARNAS ŚLĄSKI CZYLI WIERNY WIZERUNEK PLASTYKÓW TUTEJSZYCH I ICH NIEKTÓRYCH POPELECZNIKÓW WYŁĄCZNIENIE NA PODSTAWIE DOSTĘPNYCH FOTOSÓW RĘCZNIE MALOWAŁ JERZY DUDA GRACZ. Po likwidacji Klubu obraz „wędrował” po Katowicach, aż znalazł swoje reprezentacyjne miejsce w sali Górnośląskiego Towarzystwa Literackiego w Katowicach, przy ul. Dworcowej 13.

Krytykowany i uwielbiany

Sztuka Jerzego Dudy-Gracza cieszy się zainteresowaniem szerokiej publiczności. Jest zrozumiała, wpisuje się w estetykę dawnego malarstwa, zachwyca doskonałością warsztatu. To wszystko zapewniło artyście dużą popularność, różnego rodzaju nagrody i odznaczenia oraz wysokie noty na aukcjach sztuki. Mimo to całe życie musiał stawiać czoła krytyce, która zarzucała mu zbyt dużą „literackość”, krytykowała niektóre podejmowane tematy oraz brak nowoczesnego – czy też wpisującego się w aktualne nurty, podejścia do obrazu. Zaszczęty i popularność oraz odmiennosc jego sztuki nie zjednywały mu artystycznego środowiska. Jak wspomina Andrzej Giza, prezes Fundacji Conspero *On sam na swoje sukcesy patrzył z pobłażliwym uśmiechem, traumatycznie odczuwając każdy kolejny atak wymierzony w jego osobę. Jako człowiek dumny, świadomy swojej wartości nie umiał zgiąć karku, co przyplacał coraz to nowszymi konfliktami. Pelen wewnętrznych rozterek nie przetrzymał czwartego zawalu serca, odszedł nagle bez pożegnania. Czy właściwym jednak jest krytykowanie artysty za to, że nie można go zaklasyfikować? Że jego twórczość biegnie innym torem niż pozostałych współczesnych mu twórców? Czy umiejętność dotarcia do szerokiego odbiorcy, jeżeli nie wynika z celowego dostosowywania się do gustów, może być wadą? Dorobek Jerzego Dudy-Gracza jest ogromny, jego sposób wypowiedzi charakterystyczny i rozpoznawalny. Nie ujmujemy mu z jego wielkości. Cieszymy się, że mieliśmy – mamy, takiego artystę. Indywidualność, silną osobowość, którą stać było na zachowanie odrębności i pozostanie wiernemu sobie.*

MICHALINA
WAWRZYCZEK-KLASIK

Redakcja serdecznie dziękuje żonie artysty pani Wilmie Dudzie-Gracz za udostępnienie dzieł Jerzego Dudy-Gracza.

Kiedy moja koleżanka z katowickiej polonistyki prof. Helena Synowiec wspomina w takiej czy innej rozmowie swój rodzinny Chełm Śląski, zawsze wyróżnia głosowo jego dopełniaczową końcówkę „-u”: z *Chełmu*, do *Chełmu*. Inną postać słyszę i widzę przy znanym *Chełmie* ze wschodu Polski: z *Chełma*, do *Chełma* (w Słowniku ortoeupicznym Stanisława Szobera z roku 1937 przy haśle *Chełm* czytamy: z *Chełma*, rzadziej z *Chełmu*; współczesne wydawnictwa poprawnościowy polecają już tylko wariant z *Chełma*, ostrzegając przed brzmieniem z końcówką „-u”).

Preferencja końcówki „-a” w wypadku nieśląskiego *Chełma* jest typowym spełnieniem aż nadto wyraźnej w odmianie nazw miejscowych tendencji do ucieczki przed fonetycznie identyczną postacią wyrazu pospolitego: ponieważ *hełm* „ochronne nakrycie głowy” ma w drugim przypadku stabilną formę *hełmu* (nie *włożył hełmu*) – z końcówką „-u” – nazwa miejscowa *Chełm* przyjmuje na ogół odmienną końcówkę „-a” (*jestem z Chełma*, *jadę do Chełma*).

I na odwrót: ponieważ od rzeczownika pospolitego *zęb* wszyscy tworzymy dopełniacz *zęba* z końcówką „-a” (nie *ma zęba*, *brakuje zęba*), nazwa miejscowości *Ząb*, z której pochodzi nasz znakomity skoczek narciarski Kamil Stoch, ma w dopełniaczu formę z końcówką „-u”, czyli *z Zębu*, do *Zębu* – tak jak każdy warszawiak powie w tym przypadku gramatycznym *Nowego Świata*, bo – dajmy na to – *świata za kimś nie widzi*.

Wracajmy jednak na Śląsk! – W trzecim wersie popularnej piosenki Marii Pańczyk i Grzegorza Spyry „Pogodomy po naszymu”, niezmiennie otwierającej co roku finałową batalię konkursu gwarowego, znajdujemy fragment: „Mama z Wirka, tata z Chebzio” – z dopełniaczową końcówką „-a” nazwy *Wirek* (dziś – część Rudy Śląskiej) – strukturalnie poprawną, a w skali ogólnopolskiej zdecydowanie częstszą niż wariantywnie „-u”. W tym wypadku jednak miejscowa ludność tradycyjnie używa formy z „-u” – z *Wirku*, do *Wirku*, a potwierdzeniem tego są i zdanie z Internetu: „Dziś powierzchnia Wirku to 5,9 kilometrów kwadratowych”, i tytuł pracy Antoniego Ratki: „Od osady Villa Nova do Wirku”.

Chebzio – dopowiedzmy – to rzeczownik rodzaju nijakiego, więc końcówka „-a” jest jedynie możliwa:

Śląska ojczyzna polszczyzna



JAN MIODEK

Z Chełmu Śląskiego i z Wirku

z *Chebzia* – jak z *Nakla*, z *Załęża*, z *Podlesia*, z *Bielska* itp. (w piosence Pańczyk i Spyry zapisano ją jako „o”, co odpowiada gwarowej wymowie dawnych długich samogłosek).

Współwystępowanie końcówek „-a” i „-u” w drugim przypadku liczby pojedynczej rzeczowników męskich jest bardzo trudne do opisania – zarówno w odniesieniu do wyrazów pospolitych, jak i nazw własnych. Jedyną niezawodną regułą jest ta, która mówi, że formy żywotne mają „-a”: *ojca*, *brata*, *wujka*, *dziadka*, *Franciszka*, *Jana*, *Marcina*, *Wiktora*, *Huberta*, *lwa*, *psa*, *kota*, *tygrysa*, *hipopotama*, *skunksa*, *kreta*

(tradycyjne wyjątki: *wołu*, *bawołu*). Zachowanie fleksyjne innych rzeczowników uzależnione jest wyłącznie od zwyczaju, bo nie można przecież wyjaśnić, dlaczego z jednej strony mamy serię *lasera*, *komputera*, a z drugiej – *radaru*, *motoru*, dlaczego *Chorzowa*, *Pszowa*, *Rybnika*, *Cieszyna*, *Radzionkowa*, *Koszęcina*, *Brynka*, *Kluczborka* – ale *Chełmu Śląskiego* i *Wirku* (patrz wyżej), a także *Szczyrku*, *Elku* czy *Śremu*, *Parzyża*, *Berlina* – ale *Londynu*, *Madrytu* – tak jak nie jestem w stanie wytłumaczyć, czemu wiele wyrazów rodzaju męskiego przyjmuje w drugim przypadku wariantywnie brzmienia, aprobowane przez normę, np. *krawata* – *krawatu*, *filara* – *filaru*.

W gwarach śląskich na pewno częstsza jest końcówka „-a”: słyszy się nawet *autobusa*, *pociąga*, *śniega*, *zeszyta*, *długopisa* (wobec ogólnopolskich: *autobusu*, *wociągu*, *śniegu*, *zeszytu*, *długopisu*).

Jakie formy fleksyjne są jeszcze charakterystyczne dla naszego regionu? – W celowniku rzeczowników męskich końcówka „-owi” ma na pewno jeszcze szerszy zakres użycia niż w języku ogólnym, bo słyszy się na co dzień takie brzmienia, jak *kotowi*, *psowi*, *panowi*, *bratowi* (a nie zgodnie z normą standardową *kotu*, *psu*, *panu*, *bratu*).

W miejscowniku bardzo często używanych słów *syn* i *dom* z reguły pojawiają się postacie z końcówką „-e”: *o synie*, *przy domie* (a nie *o synu*, *przy domu*).

Piękną staropolską skamieliną gramatyczną jest dopełniacz żeńskich rzeczowników miękko tematowych z końcówką „-e”: *ze ziymie*, *do piekarnie*, *od babcie* (z *ziemi*, *do piekarni*, *od babci*).

W liczbie mnogiej zdecydowanie częściej niż w języku ogólnym używa się końcówki „-ów” w dopełniaczu, np. *sanków*, *łoknów*, *szklonków*, *jeleniów* (*sanek*, *okien*, *szklanek*, *jeleni*), w narzędniku zaś króluje końcówka „-ami” – łącznie z formami, które w języku literackim mają „-mi”: *ksyindzami*, *koniami*, *gościami*, *dzieciami*, *liściami* (*księżmi*, *końmi*, *gośćmi*, *dziećmi*, *liśćmi*). Za bardzo charakterystyczne trzeba też uznać deklinowanie zaimków *on*, *ona*, *ono*: w gwarach śląskich przyjmują one w przypadkach zależnych formy *onego*, *onyj*, *onymu*, *onym*, *onych*, zachowując w odmianie ten sam temat fleksyjny (w języku ogólnym mamy zmianę: *on*, *ona*, *ono* – *jego*, *jej*, *jemu*).



Jan Matejko, „Ostafi Daszkiewicz”, 1874

Jan Matejko

S toj mały, w czapie, ze strzelbą gotową do strzału i zdaje się pytać: Ktoś ty?! Nie wiem jednak, czy zdążyłoby się odpowiedzieć, bo ten kozacki hetman mógłby wypalić na wszelki wypadek. Urodzony do walki, niezłomny, z mądrymi oczyma. „Ostafi Daszkiewicz”, (1874). Ten obraz Jana Matejki wygląda jak wycięty fragment z jakiegoś innego monumentalnego dzieła artysty. Fragment bardzo wyrazisty, żywy, filmowy. Można powiedzieć, że malarz dobrze dobrał aktora.

Portret Daszkiewicza pozwala zrozumieć fenomen tej twórczości. Otóż Ma-

tejko był właściwie reżyserem, i to wybitnym.

Cały problem z reżyserowaniem filmów (szczególnie wielkich historycznych produkcji) polega na tym, że trzeba skoordynować nieskończenie wiele działań różnych osób. Kubrick powiedział, że reżyserować film to tak, jakby wiązać but prowadząc jednocześnie samochód i rozmawiając przez telefon. Trudność polega na tym, żeby to wszystko co dzieje się na planie stopić w jedną wizję.

A Matejko robił superprodukcje. I znalazł sposób, żeby decydować absolutnie o wszystkim. W pracowni malarskiej

spełnił największe marzenie reżyserów: sam na sam z materia dzieła. Sam studiował obyczaje, stroje, uzbrojenie i rysy twarzy dawnych władców (łącznie z zagładaniem do królewskich grobów), prowadził badania archeologiczne.

Otwórzcie jeden z wielu albumów poświęconych Matejce i zobaczcie dobrą reprodukcję np. „Konstytucji 3 Maja”. Wpatrując się w ten obraz zaczniecie oglądać znakomity film. W centrum triumf, udało się dokonać wielkiej rzeczy, niesiony jest na rękach marszałek Małachowski z wysoko uniesioną konstytucją. Ale ile dzieje się po bokach! Są entuzjaści i przeciwnicy, każdy swoją rolę odgrywa świetnie. Jest dramatyczny epizod z oszalałym Janem Suchorzewskim, przeciwnikiem konstytucji, który w oblężonym geście chce zabić swojego synka. W ostatnim momencie, chwytem jak z dzudo, zapobiega temu poseł Stanisław Kublicki. Lecz oprócz wielu takich mocnych i pełnych wyrazistych gestów scen jest fascynujące tło wydarzeń. Są mniej zainteresowani sprawą, są przyklaskiwacze, pochlebcy, a szlachcic z założonymi rękami (całkiem po prawej) już myśli o tym co będzie na kolację. Są aktorzy drugiego, trzeciego i czwartego planu, a każdy ważny dla całości. Tak potrafił montować wewnątrz kadru jedynie Fellini – z przesuwającymi się na pierwszym planie statystami wybranymi z wielkiej księgi niezwykłych gęb.

Można powiedzieć, że Matejko opanował montaż wewnątrzkadrowy. Polega on na tym, że ujęcia w filmie nie są zestawiane ze sobą na zasadzie cięć, ale w jednym szerokim planie rozwija się i komplikuje akcja, bo jeden się usuwa, drugi wchodzi, a trzeci unosząc rękę, odsłania zdumioną twarz czwartego.

Wielkie formaty u Matejki robiły z obrazu film. Kamera jest tu nasz wzrok, który sam sobie buduje dramaturgię.

To samo dzieje się, ale już w skrajnej postaci, w „Bitwie pod Grunwaldem”. Wszystko jest ściśnięte, zagęszczone w kłębowisko. Montować akcję musimy jeszcze szybciej. Zarzucono Matejce brak oddechu, zróżnicowania planów, perspektywy. Ale niewątpliwie udało mu się jedno: nasz wzrok pracuje, chodzi, myśkuje, wraca, przebiega.

Drugi obraz z MŚ to **Portret Józefa Ciechońskiego** (1873). Spokój, klasyczny układ portretowy, ale w rysach i spojrzeniu siła. Ten szlachcic mógłby znaleźć się na płótnie dramatycznym, w trakcie kluczowych dla Polski wydarzeń. I tu ciekawostka: za portretowanym jest gruba draperia, na której dzieją się jakieś historie, są bojarzy, woje, gesty i spojrzenia. Tak, jakby Matejko nie mógł się bez tej filmowej narracji obejść.

Matejko czasami bywa na zapleczu wielkich spraw i wtedy tworzy przenikliwe, wyciszone obrazy jak autoportret w stroju Stańczyka. Ale najczęściej jest w samym środku wielkiego planu, wielkiej bitwy i ustawia, przedstawia, dyryguje. Cisza. Kamera! Akcja!!!

Poniespodziankę, jaką był triumf *Idy* na zeszłorocznym festiwalu w Gdyni, tym razem wszystko wydawało się jasne. Faworytem było powstające przez 8 (!) lat *Miasto 44* Jana Komasy, według pękającego z dumy producenta opowiadające o „młodości, miłości i walce”. Stało się inaczej. Najważniejsze nagrody, w tym za najlepszą rolę męską i najlepszy film roku przypadły *Bogom* w reżyserii Łukasza Palkowskiego.

Zbigniew Religa (Tomasz Kot, chyba jedyny człowiek zdolny do wcielenia się zarówno w największego polskiego lekarza, jak i w największego polskiego bluesmana) ma marzenie – chce dokonać pierwszego udanego przeszczepu serca w Polsce. Zamiar wydawałoby się szlachetny, ale tak jak w przypadku jego poprzednika, Jana Molla (Władysław Kowalski), który taką próbę podjął już w 1969 roku, nie wszyscy mu sekundują. Gdy przekonuje się, że jego warszawscy zwierzchnicy nigdy do tego nie dopuszczą, decyduje się na dramatyczny krok – porzuca pracę w stolicy i wysłużonym Fiatem 125p jedzie do Zabrze, gdzie postanawia własnymi rękami zbudować nową klinikę. Dosłownie.

Choć za sukcesem *Bogów* stoi reżyser, którego ostatni film opowiadał o kobiecie robiącej zdjęcia... penisom, największym zaskoczeniem jest nie tyle sukces w Gdyni, wyprzedane do ostatniego miejsca seanse, czy wyjątkowo entuzjastyczne recenzje. Największą niespodzianką stanowi to, że dramata o Relidze i jego zabrzańskich początkach świetnie się ogląda. W przeciwieństwie chociażby do *Onirici*, czyli spektakularnego potknięcia Lecha Majewskiego, *Bogowie* stanowią przykład kina na poziomie, do którego nie trzeba się zmuszać.

Zbigniew Religa to instytucja; wybitny lekarz, niedoszły prezydent, silna osobowość. Film Palkowskiego pokazuje jednak, że życie z tym palącym nawet podczas snu i zwalnającym co 5 minut najbliższych współ-

pracowników człowiekiem bywało, delikatnie mówiąc, trudne. O tym, jak doskonały jest Tomasz Kot w wymagającej roli powiedzano już tak dużo, że nie warto się powtarzać – jest tak charyzmatyczny, że parafrazując Voltaire’a, gdyby Religa nie istniał, trzeba by było go wymyślić. To spektakularna kreacja, która jednocześnie nie wydaje się być na pokaz. Każdy, kto widział obсыpywane nagrodami przerysowane portrety słynnych i zasłużonych zrozumie, jak duży to komplement.

Pan życia i śmierci

Bogowie nie są filmem pozbawionym wad i Palkowskiemu zdarza się powtarzać pewne schematy – jak przystało na film biograficzny o słynnym mężczyźnie, żona głównego bohatera (niewykorzystana Magdalena Czerwińska) głównie siedzi w pustym domu i cierpi, a wątek przyjaźni z chorą dziewczynką dokleiono chyba tylko po to, by główny bohater nie wydał się, proszę wybaczyć niezamierzoną grę słów, zupełnie pozbawiony serca. Wszelkie niedociągnięcia rekompensują jednak dialogi, co w kinie polskim stanowi rzadkość i niepoprawny politycznie, wisielczy wręcz humor broniący przed popadnięciem w łatwy sentymentalizm. „Tylko żeby to nie był jakiś pedał albo Żyd” – wzdycha jeden z pacjentów godząc się na przeszczep. Scenarzyści „Lekarzy” pewnie dostaną zawału.

Dzięki scenografii Wojciecha Żogały realia smutnych lat 80. ukazane są na tyle subtelnie, że można o nich czasem zapomnieć i na tyle umiejętnie, że w pokazywany przez Palkowskiego świat odpalających jednego pa-

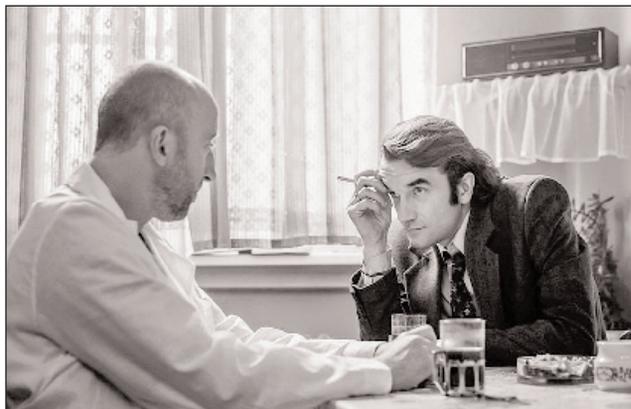
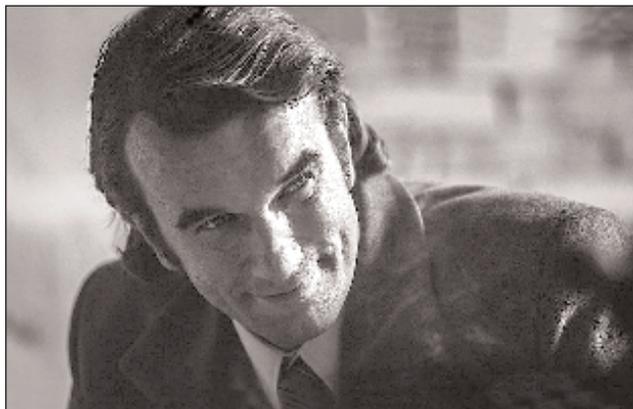
pierosa od drugiego lekarzy i herbaty w szklance można bez trudu uwierzyć. Debatą na temat moralności zabiegu przeszczepu serca przypomina trochę zacierzowanie, jakie wzbudza dziś samo poruszenie tematu *in vitro* i powoływanie się przez lekarzy na klauzulę sumienia. „Nie wiem czemu wy kardiochirurdzy uważacie się za bogów” – słyszy w pewnym momencie Religa. „Serce w naszym kraju jest relikwią”. „Ale to też mięsień” – odpowiada kardiochirurg. Brzmi znajomo?

W momencie, kiedy czarno-biała perełka Pawła Pawlikowskiego wciąż jeszcze może zdobyć nagrodę Europejskiej Akademii Filmowej i Oscara, wielu zadaje sobie pytanie, czy *Bogowie* mają szansę powtórzyć sukces *Idy* za granicami kraju. Filmowi Palkowskiego do *Idy* wprawdzie daleko, ale rzeczywiście może okazać się kolejnym sukcesem eksportowym polskiej kinematografii. Głównie dlatego, że jest to film o człowieku, a nie kolejna rozprawa w bolesną historię i martyrologię. O człowieku, który najpierw stwierdza, że „z samymi łóżkami to możemy burdel zrobić, a nie klinikę kardiochirurgiczną”, a potem wbrew powszechnemu marazmowi tworzy ośrodek znany na całym świecie. Jeśli tak ma wyglądać nowe polskie kino ku pokrzepieniu serc, to zaczyna się robić naprawdę ekscytująco.

P.S.

Wracając pociągami z Warszawskiego Festiwalu Filmowego dopiero po chwili zorientowałam się, że zupełnie obcy sobie współpasażerowie rozpoczęli zażartą dyskusję na temat *Bogów*. „Ten film nie był laurką” – zauważyła pewna elokwentna pani. „Religa lubił sobie tyknąć, a nie palił chyba tylko podczas operacji. Ten film pokazuje, że miał wady i zalety i to mi się najbardziej podobało.” Nic dodać, nic ująć.

MARTA BAŁAGA



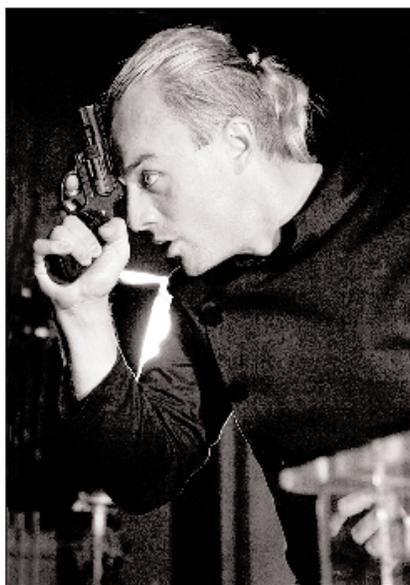
O recenzowaniu dramatu Szekspira marzyłam, odkąd tylko zainteresowałam się teatrem. Niezmiennie zachwycałam się tą sztuką, konstrukcją wątków i kreacjami postaci, znam propozycje odczytań, także tych teatralnych – gdy Dania stawała się metaforą Polski, istniejącej przecież na obrzeżach świata przedstawionego, a *Duch ojca* przybierał kształt husarza. Pod zaborem rosyjskim *Hamlet* uchodził za utwór tak bardzo niebezpieczny, że nie pomogły nawet nalegania Marii Kalgis i Heleny Modrzejewskiej, daremnie próbujących przekonać Siergieja Muchanowa, prezesa Dyrekcji Teatrów Rządowych, że sztuka Szekspira opowiada niemal wyłącznie o sprawach rodzinnych.

Taki kierunek wybrał André Hübner-Ochodlo z częstochowskim zespołem. Głównym tematem uczynił psychologię członków królewskiej rodziny i ich problemy; eksponuje samotność, różne odmiany miłości, także tej niemożliwej i prowadzącej do szaleństwa. Nie jest to spektakl o państwie ani o władcy, choć o *Hamlecie* wszyscy mówią „książę”, ale raczej o dorastaniu, potrzebie kreowania losu i podporządkowaniu sobie świata, to raczej współczesna odmiana Freuda stosowanego.

Częstochowski *Hamlet* (Maciej Półtorak) to buntownik, dla którego Dania jest za ciasna, ale zamiast studenta dyszącego kiedyś potrzebą zmiany świata jakąś naukową teorią, filozoficznym systemem, widzimy artystę-amatora, trochę piosenkarza rockowego, trochę aktora... Gra na pianinie i harmonice ustnej, moduluje głos, parodiuje, drwi, a przy tym spala się w histerycznej potrzebie działania. Marzy o zemście, ale tragiczny finał nie jest skutkiem jego aktywności, choć przypomina trochę współczesną masakrę.

Klaudiusz (Adam Hutyra) jest dorobkiewiczem, który gotowy jest wykorzystać każdą okazję, choć wraz z rozwojem akcji, odczuwa coraz większy strach, by wreszcie w scenie modlitwy stać się dalekim krewnym *Gustawa/Konrada*, który mocuje się z Bogiem. *Gertuda* (Teresa Dzielska) to przede wszystkim zawiadziona kochanka; poprzedni mąż albo jej obrzydlł albo znudził ją śmiertelnie (w rozmowie z synem pluje na wizerunek starożytnego *Hamleta*), jego brat zapowiada więc nową namiętność, choć wraz z rozwojem akcji siła ich pragnienia wyraźnie słabnie... Jest jeszcze doskonała *Ofelia* (Martyna Kowalik, częstochowianka, obecna już na warszawskich scenach), wzruszająca, naiwna i tragiczna w swoim szaleństwie. Ale *Ofelia* zawsze taka była, sytuując się poza światem dworskiej polityki. Pozostałe postacie: *Poloniusz* (Piotr Machalica), *Horacja* (Adam Machalica, student warszawskiej Akademii Teatralnej), *Laertes* (Daniel Misiewicz), *Ozryk* i *Rosenkrantz* (Waldemar Cudzik), *Guildestern* (Bartosz Kopeć), to raczej figury pozbawione psychologii, no może w przypadku *Laertes* zwraca uwagę jego czuła relacja z siostrą *Ofelią*. Aktorzy zagraли doskonale; chwilami jedynie *Laertesowi* brakowało głosu, ale to pewnie ze wzruszenia, a i inni niektóre kwestie wypowiadali zbyt cicho, mimo wyraźnego skupienia na widowni.

Świat pokazany przez Ochodlo poszukuje uniwersalności, jakiegoś bezczasu, o współczesności przypominają rekwinity (pistolet), ekrany, a nawet psychologia postaci, które posługując się nieco odmiennym, chwilami niezwykłym poetyckim językiem, jednak przeplnionym prawdziwymi emocjami, zachowują się zupełnie tak samo, jak widzowie. Oczywiście, pokazaną współczesność doprawiono szczyptą mrocznego średniowiecza – *Duch ojca* pojawia się na scenie, by jeszcze zza grobu rządzić żywymi (dręcząc *Gertrudę* i przekształca syna w bicz boży, więc *Hamlet*



Częstochowski *Hamlet* (Maciej Półtorak) to buntownik, dla którego Dania jest za ciasna.

Krzyk Hamleta

TEATR

próbuje zreformować świat, który nie potrzebuje takich reform, a dym wydobywa się zbyt obficie z otwartego grobu. Dla współczesnego widza to tylko gra z konwencją...

W stechnicyzowanym świecie możemy śledzić albo raczej podglądać reakcje postaci dzięki ekranom, gdy *Horacy* za kamerą utrwala to, w czym nie uczestniczy. W ten sposób staje się strażnikiem pamięci nie tylko o *Hamlecie*, ale o całej tragedii państwa duńskiego. Jego świadectwo oraz taśma wyznaczają kolejne opowieści, a odpowiednie kadrowanie obrazu utrwala najdrobniejsze szczegóły – gesty, mimikę, układ dłoni, buty.

Ten świat zdaje się trochę nieprawdziwy, przygotowany na pokaz; najbardziej niedostępny fragment sceny, przestrzeń intymności narusza lustro umieszczone na suficie i skierowane w stronę widowni. Niezmienną scenografię (André Hübner-Ochodlo, współpraca Stanisław Kulczyk) tworzy srebrne tło oraz plastikowa, przezroczysta konstrukcja – plaszczyzna dzieląca scenę na część przednią i tylną (staje się ona ścianą kaźni albo miejscem walki z Bogiem), a także bryła, która służy jako mównica, klatka lub katafalk. Z lewej strony znajduje się sofa, z prawej kamera *Horacja*, w głębi pianino. Widownia została pomniejszona, a rozbudowane proscenium wyznacza scenę dla śpiewającego *Hamleta* (oświetlonego wówczas reflektorem punktowym) czy cmentarz. Ważną rolę odgrywają efekty świetlne; w finale między ostatnim wypowiedzianym słowem, a zalegającą widownię ciemnością, scena zaczyna falować czerwienią. To sygnał, że dopełniło się; krwawy rytuał dobiegł końca i zgładził wszystkich – dobrych i złych.

Przez większą część spektaklu scena i postaci utrzymane są w kolorze białym-srebrnym, dwór królewski ubrany jest w stylizowane białe stroje (kostiumy Aleksandra Sosnowska-Krywult), by podkreślić brak załoby, nastrój weselny albo rozsądną biel myśli, o której mówi *Hamlet*. To świat zachowujący się zgod-

nie z logiką, pragmatyką, świat doskonale potrafiący ukryć niewygodne emocje. Na tym tle wyróżnia się *Hamlet*, od początku ubrany w ciemny kostium. Ale wraz z rozwojem akcji układ ulega stopniowo rozchwianiu. Książę dojrzewa, zaczyna rozumieć zasady rządzące światem, a pozostali nie mogą pozostać obojętni wobec wydarzeń. Jeszcze przed wyśłaniem *Hamleta* do Anglii, matka w rozmowie z synem ubrana jest w ciemny szlafrok, a w finałowej rozgrywce białe kostiumy noszą jedynie *Hamlet*, *Horacy* oraz *Laertes*.

W takim świecie chyba już nikogo nie zainteresuje, co czyta *Hamlet*, choć kiedyś było to pytanie niemal podstawowe. On zresztą wydobywa z siebie jakieś trudne do zrozumienia słowa, egzotyczne albo zniekształcone, co jeszcze bardziej upodabnia go do bohaterów literatury popularnej... W takim świecie nie ma czasu na Szekspirowskie monologu. Stefania Skwarczyńska już w 1970 roku ubolewała nad ich uciążliwością dla współczesnego widza. Ochodlo zamienił je w bardziej wiarygodny sposób ekspresji, w piosenki, songi (muzyka Adam Zuchowski, to kompozytor zdecydował o wykorzystaniu w przedstawieniu przekładu Jerzego S. Sity). Tak słowo stało się krzykiem, uwewnętrzną emocją. Piosenka wprawdzie uprawdopodobnia monologu, ale jednocześnie eksponuje (mniej czy bardziej celowo) ekshibicjonizm współczesnej kultury, przekształcając spektakl i wymarzony przez reżysera rytuał w popis (rzeczywiście Półtorak doskonale śpiewa). A że czasami w nerwowym rytmie słuchacz gubi tekst? Znaczeniem krzyku są przeciw emocje.

Ten świat daremnie poszukuje sensu, choć marzą o tym postacie i widzowie; ideały *Hamleta* przestały być obowiązujące. Finałowy pojedynk jeszcze bardziej ujawnia szczupłość tego świata – przez głośniki *Hamlet* i *Laertes* klócą się o pchnięcia i przyznane punkty, choć na scenie to po prostu walka na śmierć i życie pod pozorem jakichś zawodów ujętych w regulamin. Chęć zemsty, bierność przyjęcia losu, zatrute wino, zatruta szpada – to wszystko sprawia, że zagłada tego świata jest już tylko kwestią czasu. Kto teraz decyduje o świecie? *Król Klaudiusz*? *Hamlet* (wciągający innych w swoją grę i udawanie, prowadzący tragików i przekształcający się w konferansjera)? A może *Duch ojca*?

Śmierć księcia jest przedwczesna. Historia o dorastaniu kończy się klęską, a *Hamlet* nie rozwiązuje swoich problemów. I choć potrafił rozróżnić dobro od zła, zabrakło mu pewności siebie i skuteczności w działaniu, może dlatego, że nie potrafi jednoznacznie określić swoich postaw; on jednocześnie kocha matkę i nienawidzi jej. W chwili śmierci *Hamlet* i widzowie raz jeszcze słyszą głosy bohaterów sztuki (jak w słuchowiskach radiowych). To one go kształtowały i one umierają wraz z nim. Pozostał tylko krzyk, jako wyraz przerażenia i niezgody na taki świat, krzyk, który w ostatecznym rozrachunku okazuje się beznadziejny, a nawet bezsensowny... Częstochowski *Hamlet* spala się w działaniu, a jego śmierć przypomina samobójstwo, zapowiadające wytchnienie po krótkim i wyczerpującym życiu...

JOANNA WAROŃSKA

Hamlet William Szekspir, spolszczył: Jerzy Sito, opracowanie tekstu, reżyseria, scenografia: André Hübner-Ochodlo, muzyka: Adam Zuchowski, kostiumy: Aleksandra Sosnowska-Krywult, współpraca scenograficzna: Stanisław Kulczyk, przygotowanie wokalne pieśni *Ofelii* – Marzena Lamch-Loniewska. Premiera w Teatrze im. Adama Mickiewicza w Częstochowie 13 września 2014 r.

Kochamy czeskich artystów, chociaż czasem głośno wyśmiewamy ich dokonania. Nadal pokutuje mit, że czeski film to taki – co to „nikt nic nie wie”, a przecież doskonale rozumiemy o co chodzi, wzruszamy się, śmiejemy, trochę nawet zazdrościmy naszym sąsiadom dystansu z jakim potrafią pokazać najokrutniejsze sytuacje. Autor wystawianej właśnie w Teatrze Śląskim sztuki „Dubbing Street” Petr Zelenka powiedział: *Bo moim zdaniem Polacy to tak naprawdę Czesi plus papier* (Rzeczpospolita). Trudno mu nie przyznać racji.

Akcja sztuki Petra Zelenki, napisanej pierwotnie specjalnie dla obsady z Teatru Dejvického w Pradze, toczy się w małym upadającym studiu dubbingowym. My mówimy lektora i napisy, ale Czesi niemal wszystko, co pokazują w TV i w kinie dubbingują. Wraz z wolnością zapotrzebowanie na te usługi wzrosło. To studio akurat pada, bo w nim zebrali się ludzie toksyczni, pokrewni, zdziwaczali. Gadają cytatami z telenoweli, działają niczym bohaterowie najgłupszych seriali. Całkowicie pogubili się w rzeczywistości. To nie jest, niestety, jedynie czeska przypadłość, tak samo bywa i u nas – przecież najordynarniejsze i najgłupsze telewizyjne zwroty trafiają do codziennego języka. Na początku wydają się zabawne, potem już tylko denerwują... Mało dochodowy interes prowadzą *Ewa* i *Paweł* – małżeństwo przeżywające kryzys, nad stroną techniczną czuwa nosząc wszelkie niedogodności, z brakiem zarobków włącznie, ich przyjaciel *Karol* – brat *Lady*, dziewczęcia do cna zepsutego i bez skrępułów. Trafia do nich z dziwną propozycją tajemniczy *Michał*, który chce wynająć studio dla swoich „muzycznych” eksperymentów. Chodzi o wielkim futerałem na kontrabas, w którym ma całkiem niezły „zestaw muzyczny do trąbienia”... Jak się okazuje to alkoholik próbujący zerwać z nałogiem albo raczej pragnący się zapisać na śmierć. No i zaczyna się dziać. Jest wesoło i straszno, smutno z nadzieją i bez nadziei. Farsowo i tragicznie. Kiedy autor przerazi nas sceną ponurą i okrutną to zaraz rozbawi do łez jakimś błazeństwem. Wszystko kończy się tak, jak w najdurniejszym serialu morderstwem i samobójstwem... Teatralna wizja świata w wykonaniu Zelenki do tego przecież prowadzi, a jednak jesteśmy zaskoczeni banalnością i głupotą... Nie dajmy się całkiem otumanic różnym medialnym szamanom!

W cenionym u nas dorobku Petra Zelenki tę sztukę potraktowano po macoszemu i trochę się za nią autorowi oberwało. Mnie się po prostu podoba. Budzi wściekłość, sprzeciw, staje się tarczą obronną przed destrukcyjnym złem wlewającym się nieprzerwanym potokiem



Barbara Lubos (*Ewa*) i Grzegorz Przybył (*Michał*).

Otwarcie 107. sezonu Teatru Śląskiego im. Stanisława Wyspiańskiego

Zelenka bawi i przeraża

z telewizyjnych ekranów. Za co jeszcze lubię twórczość tego czeskiego mistrza kina i sceny – ano za to, że swoimi ogłupiałymi bohaterami nigdy nie gardzi.

Robert Talarczyk należy do grona szczególnych adoratorów sztuki czeskiej, zarówno kina, jak i teatru, kabaretu literackiego, czy piosenki. Jest wielbicielem Joramira Nohavicy i niezrównanym interpretatorem jego twórczości, o czym niejednokrotnie mogłem się przekonać. To przecież ta sama śląska wrażliwość! Któż więc inny mógłby lepiej ukazać wszystkie smaczki sztuki Zelenki polskiej publiczności? Reżyser dobrał najlepiej pasujących aktorów do wymyślonych przez autora postaci – wszyscy wywiązali się z powierzonego zadania znakomicie. Grzegorz Przybył (*Michał*) jest do bólu prawdziwy jako al-

psychologicznych niuansów rola. Wielkie brawa! Swoje pięć minut ma także aktorka, która nigdy mnie nie zawiodła. Żal tylko, że perfekcyjnie wykreowana przez Annę Kadulską terapeutka *Jana* tak krótko jest obecna na scenie. Postaci wiernej i kochającej do końca, kobiety opętanej przez czarusia-alkoholika, która nie dała się zniszczyć, zapomnieć nie sposób. No i wreszcie najmłodsza i najmniej sympatyczna postać, czyli *Lada* – jej bezmyślny konsumpcjonizm, brak zasad i uczuć przeraża najbardziej. Po wyjściu z teatru to na niej wieszamy psy. Niełatwo aż tak widza rozdrażnić – tym większe uznanie dla Katarzyny Błaszczyńskiej!

Scenograf Marcel Sławiński zagospodarował scenę w Malarni po mistrzowsku. Nie było to łatwe, bo miejsca tyle co kot napłakał. Mam tylko jedną uwagę do reżysera i jednocześnie autora opracowania muzycznego Roberta Talarczyka. Nie wszystkie piosenki zdołają spektakl. Z niektórych śmiało można zrezygnować albo zastąpić je innymi...

Zapewniam, że przedstawienie warto zobaczyć. Trochę się przestraszyć, podumać i pośmiać...

WITOLD KOCIŃSKI

Petr Zelenka: *Dubbing Street*, przekład: Gabriela Gańczarczyk, reżyseria i opracowanie muzyczne: Robert Talarczyk, scenografia: Marcel Sławiński, kostiumy Marcel Sławiński, Magdalena Partyka, realizacja światła: Ireneusz Pawliszyn, realizacja dźwięku: Paweł Szymkowiak, animacje: Kamil Malecki, Paweł Szymkowiak, projekt lalek: Agata Kurzak, Berta Witowska, realizacja animacji: Krzysztof Woźniak. Prapremiera: Teatr Śląski im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach – Scena w Malarni 17 października 2014.



W historii z początków ubiegłego wieku zakorzeniony jest najnowszy spektakl sosnowieckiego teatru, „Czerwone Zagłębie” na podstawie dramatu Jarosława Jakubowskiego.

Teatr – medium historii lokalnych

ANETA
GŁOWACKA

Lokalność to coraz częściej istotny element w tworzeniu relacji z publicznością na Górnym Śląsku. Teatry chętnie wykorzystują narracje odwołujące się do przeszłości miejsca i kulturowej tożsamości jego mieszkańców w celu zbudowania wspólnotowych narracji, zrewidowania stereotypów i dominujących wersji historii, czy przyjrzenia się współczesnym problemom ekonomicznym i społecznym. Tym samym – podobnie jak kiedyś ośrodki w Legnicy, Wałbrzychu czy Gdańsku – dążą do wykreowania teatru jako medium historii lokalnych. Powstające w nich przedstawienia podejmują wątki dotyczące nie tylko specyfiki konkretnego miejsca, ale również całej śląskiej aglomeracji (krytyka patriarchy w spektaklu *Koń, kobieta i kanarek* w reżyserii Remigiusza Brzyka z Teatru Zagłębia w Sosnowcu, 2014), przywołują historie dotyczące zarówno przeszłości miasta, jak i śląsko-zagłębiowskich animozji (*Korzeniec* w reżyserii Remigiusza Brzyka, Teatr Zagłębia w Sosnowcu, 2012 i zrealizowane w tym samym teatrze *Czerwone Zagłębie* w reżyserii Aleksandry Popławskiej i Marka Kality, 2014), albo podejmują temat niełatwej dwudziestowiecznej historii regio-

nu i etnicznych napięć wynikających z różnic kulturowych i historycznych doświadczeń (*Piąta strona świata* w reżyserii Roberta Talarczyka z Teatru Śląskiego im. S. Wyspiańskiego, 2013, czy kontrowersyjna *Miłość w Königshütte* Ingmara Vilquista z Teatru Polskiego w Bielsku-Białej, 2012).

Jeszcze kilka lat temu pomysł wystawienia sztuki o tematyce śląskiej w publicznym teatrze wydawał się niedorzeczny. Nie przypadkiem *Cholonek* (w reżyserii Roberta Talarczyka i Mirosława Neinerta, 2004), pierwszy spektakl, który na szerszą skalę podjął temat kulturowej odmienności Ślązaków, a dziś uchodzi za przedstawienie kultowe, powstał w prywatnym Teatrze Korez w Katowicach. Dyrektorzy odżegnawali się od tej inicjatywy, swoją decyzję tłumacząc brakiem wystarczająco dobrych tekstów dramatycznych, które w niebaldywalny sposób, odbiegający od stereotypów i uproszczeń, przedzierzałyby się przez historyczną, społeczną i polityczną specyfikę regionu. Te diagnozy potwierdził *Polterabend* Stanisława Mutza (2008), wyreżyserowany przez Tadeusza Bradeckiego w Teatrze Śląskim, drugi, po *Cholonce*, śląski spektakl i, nieste-

ty, wobec niego epigoński. Nawet ówczesny publicysta „Dziennika Zachodniego”, Michał Smolorz, znany orędownik twórczości teatralnej w gwarze, krytykował go za uproszczenia i schematyczne potraktowanie losów rodziny Jorga i Berty.

Wydawało się więc, że o ile skomplikowana kulturowa przeszłość miejsca i bagaż współczesnych doświadczeń mogą być interesujące dla twórców i widzów w Legnicy czy w Wałbrzychu, których teatry na tym fundamencie zbudowały swój sukces, o tyle portreciści Górnego Śląska na zawsze pozostanie Kazimierz Kutz i jego nostalgiczno-mityczne filmowe obrazy, Lech Majewski jako twórca słynnego *Angelusa* (2001) oraz sportretowani w tym filmie, prezentujący śląską rzeczywistość w groteskowym odkrzywieniu malarze prymitywiści z Grupy Janowskiej.

Dyrektorzy teatrów tłumaczyli się brakiem atrakcyjnych literacko tekstów, ale – trzeba dodać – żaden z nich nie zamówił sztuki o tematyce śląskiej ani nie ogłosił stosownego konkursu, chociaż były takie plany. Nie bez znaczenia było zapewne myślenie, że jeżeli utwór ma dotyczyć regionu, to musi być napisany gwara, co w oczywisty sposób redukowało grono potencjalnych autorów. Poza tym wydawało się, że kluczowe tematy, a te wiązano przede wszystkim z dwudziestowieczną historią Śląska, już zostały wyeksploatowane w filmie. Trudno więc będzie powiedzieć cokolwiek nowego o powstaniach śląskich, tragicznych losach Ślązaków podczas drugiej wojny światowej i po jej zakończeniu, czy o konsekwencjach trudnych polsko-śląskich relacji. Być może drzwi teatrów przed lokalnością zamykało również utożsamienie śląskiej tematyki z plebejskim wymiarem tej kultury – *Pozłacany warkocz* Katarzyny Gärtner (1980), pierwsze widowisko słowno-muzyczne napisane gwara i wystawione na scenie, sięgał właśnie do tego ludowego rezeruaru. Wreszcie, coraz bardziej aktywna działalność Ruchu Autonomii Śląska mogła rodzić obawy uwikłania teatru w lokalną politykę, co – jak pokazała medialna i polityczna kariera *Miłości w Königshütte* – nie było, nawet jeśli z innych powodów, nieuzasadnione.

Niedobry śląskich autorów i sztuk miał zmienić ogłoszony po raz pierwszy w 2011 r. na łamach „Gazety Wyborczej” konkurs na napisanie jednoaktówki po śląsku. Jego pomysłodawcą był pochodzący z Chorzowa dramaturg Ingmar Villquist. Podczas pierwszej edycji spłynęło stosunkowo dużo, bo blisko czterdzieści prac o bardzo różnej tematyce, jakkolwiek przede wszystkim dotyczącej codzienności współczesnego mieszkańca tej części Polski i dylematów wynikających z tradycyjnie rozumianej śląskiej tożsamości (m.in. problem zaakceptowania w konserwatywnej rodzinie Wietnamczyka czy konieczność uporania się z przeszłością reprezentowaną przez wujka, który był w Wehrmachcie). Konkurs zakończył się czytaniem w Teatrze Korez nagrodzonych sztuk. W kolej-

nych latach był kontynuowany, jakkolwiek nie przyniósł spektakularnych dramatis personarum odkryć, nie udało się również zaistnieć tym tekstom na scenach lokalnych teatrów. Z dzisiejszej perspektywy inicjatywa Villqista, jakkolwiek warta podtrzymania, nie wydaje się już tak wyjątkowa. W ostatnim czasie nastąpił bowiem wysyp spektakli eksplorujących lokalne tematy.

W repertuarze niemalże każdego tutejszego teatru można znaleźć spektakl, który odwołuje się do lokalnej historii, miejskiej legendy albo podejmuje próbę zdiagnozowania rzeczywistości mieszkańców. W niektórych przypadkach tytuł z lokalnością w tle pojawia się incydentalnie, jako wyraz chwilowej mody, próba zróżnicowania repertuaru albo owoc obliczonej na szybki efekt, co nie znaczy, że zawsze skutecznej, strategii marketingowej. W innych – jako wyraz świadomości prowadzonej polityki repertuarowej, która w mentalności mieszkańców ma związać teatr z miejscem funkcjonowania, uczynić go depozytariuszem zbiorowej pamięci i platformą dyskusji o współczesności.

Wydaje się, że w tym kierunku dążył Teatr Polski w Bielsku-Białej za dyrekcji Roberta Talarczyka (2005–2013), który oprócz lekkiego, komediowego repertuaru skierowanego do mniej wymagającego widza, proponował również spektakle osadzone w historii miasta i problematyzujące jego wielokulturową, chociaż nie zawsze chlubną przeszłość, jak *Żyd* Artura Pałygi (reż. Robert Talarczyk, 2008) albo odnosząca się do współczesnych wydarzeń, napisana przez tego samego autora, *Bitwa o Nangar Khel* (reż. Łukasz Witt-Michałowski, 2011). Nastawienie dyrekcji na lokalny kontekst przyczyniło się zresztą do rozpoczęcia współpracy Pałygi z teatrem, dla którego napisał swój pierwszy tekst dramatyczny, odwołujący się do historii Bielska *Testament Teodora Sixta* (2006). Najbardziej spektakularnym – przede wszystkim ze względów medialnych (o recepcji spektaklu pisały nawet ogólnopolskie media) – tytułem w okresie dyrekcji Talarczyka była niewątpliwie *Miłość w Königshütte* w reżyserii Ingmara Villqista. Spektakl, w dość uproszczony sposób podejmujący temat tragicznej przeszłości Śląska i ciemnych kart z historii polsko-śląskich relacji, niespodziewanie stał się medium wyzwalającym mówienie o traumatycznej przeszłości, od lat dostępnej w opracowaniach historycznych, jednak – jak się okazało – nieobecnej w codziennej rozmowie. Okazał się również doskonałym przykładem na przechwytywanie sztuki przez politykę, która natychmiast kanalizuje społeczne emocje.

Od zeszłego roku Talarczyk jest dyrektorem Teatru Śląskiego w Katowicach, któremu również próbuje nadać wyrazisty, naznaczony lokalnością rys. W rozmowie dla miesięcznika „Śląsk”, przeprowadzonej tuż po otrzymaniu dyrektorskiej nominacji, reżyser jako główny mianownik programu artystycznego katowickiego teatru wskazywał na regio-

nalizm. Sugerował jednak, że będzie on wykraczał poza tradycję, kulturę i historię Górnego Śląska, ponieważ teatr znajduje się w stolicy województwa, które składa się z obszarów należących kiedyś do trzech różnych jednostek administracyjnych. Siłą rzeczy pamięć i przeszłość ich mieszkańców różni się więc od doświadczeń rdzennych Ślązaków.

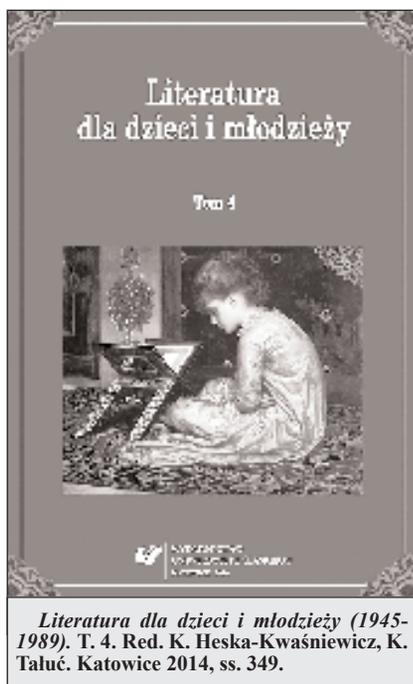
Tak pojęta misja teatru znalazła odzwierciedlenie w dwóch projektach realizowanych przez teatr od zeszłego sezonu artystycznego. Pierwszy z nich to *Puder i pył*, cykl spotkań z artystami i specjalistami z różnych dziedzin sztuki i humanistyki, dyskutujących o istotnych zjawiskach artystycznych i społecznych związanych z regionem, zarówno w perspektywie historycznej, jak i współczesnej. Drugi projekt to pomysł realizacji spektakli, eksplorujących śląskie tematy, prezentowanych w ramach cyklu „Śląsk święty/Śląsk przeklęty”. Dotychczas powstały dwa przedstawienia: *Skazany na bluesa* – opowieść o legendarnym frontmanie zespołu Dżem w reżyserii Arkadiusza Jakubika, który bardziej sprawdził się jako koncert aniżeli spektakl oraz wyreżyserowany przez Waldemara Patlewicza na podstawie tekstu Jakuba Roszkowskiego *W popiele diament* – fantazja na temat Zbigniewa Cybulskiego (przez krótki czas mieszkającego w Katowicach). W listopadzie odbędzie się premiera *Morfiny* Szczepana Twardocha w reżyserii Eweliny Marciniak, w przekorny sposób zajmująca się śląską tożsamością, a w planach jest realizacja utrwalającego mitologię miejsca *Czarnego Ogrodu* Małgorzaty Szejnert. Nie można również pominąć *Piątej strony świata* (2012) na podstawie książki Kazimierza Kutza, którą Talarczyk przygotował w Teatrze Śląskim zanim został jego dyrektorem. Przedstawienie można więc uznać za zapowiedź polityki repertuarowej realizowanej dzisiaj, której główny trzon stanowią śląskie narracje, utrzymane w nostalgiczno-sentymentalnym tonie. Z tego zestawu wyłamej się ostatnia premiera, *Dubbing Street* Petra Zelenki w reżyserii Talarczyka, która – zgodnie z zapowiedzią sprzed roku – wyszła poza mitologiczną śląską swojskość. Akcja spektaklu dzieje się bowiem współcześnie u naszych południowych sąsiadów.

W nieco odmienny sposób do tworzenia świadomości miejsca i budowania zbiorowej tożsamości podchodzi trzeci z teatrów – Teatr Zagłębia w Sosnowcu, od 2011 r. prowadzony przez Dorotę Ignatjew i Zbigniewa Leraczyka. Ten rok oznacza przede wszystkim zmianę jakościową proponowanych w Sosnowcu spektakli. Tradycyjnie wystawianą klawiszką, spektakle komediowe, farsy i lektury szkolne, zastąpiły przedstawienia odwołujące się do doświadczeń, pamięci i świadomości współczesnych mieszkańców. Teatr z jednej strony proponuje krytyczny namysł nad współczesnością – spektakl *Między nami dobrze jest* (2011) na podstawie tekstu Doroty Małowskiej w reżyserii Piotra Ratajczaka

rysował obraz współczesnego społeczeństwa, cechującego się rosnącym rozwarstwieniem ekonomicznym i kulturowymi podziałami, widocznymi zwłaszcza w mniejszych ośrodkach, z drugiej – spektakle tworzące mitologię miejsca, odwołujące się do jego historycznych początków, kluczowych wydarzeń i szczególnych postaci. *Korzenie* (2012) w reżyserii Remigiusza Brzyka na podstawie historyczno-obyczajowej powieści Zbigniewa Białasa – największy do tej pory sukces artystyczny teatru, doceniony na wielu festiwalach – sięga do czasów, gdy miasto nazywało się jeszcze Sosnowice. W historii z początków ubiegłego wieku zakorzeniony jest również najnowszy spektakl sosnowieckiego teatru, *Czerwone Zagłębie* na podstawie dramatu Jarosława Jakubowskiego. Twórcy przedstawienia prowadzą nić narracji od rewolucji 1905 r. aż do czasów współczesnych, mocując ją o tzw. „miejsca pamięci”: obrosłe legendą spotkanie Piłsudskiego ze Stalinem, nieudany zamach na Gierka, wreszcie wprowadzając na scenę samego pierwszego sekretarza, który poza Janem Kiepurą jest najbardziej znaną postacią urodzoną w Sosnowcu. Stosunek do miasta i jego przeszłości nie jest w tych spektaklach tak apologetyczny jak w śląskich przedstawieniach. W sekwencji nostalgicznych obrazów zostają wplecione portrety krytyczne, a przeszłość okazuje się tak samo ważna jak współczesne doświadczenia.

Pisząc o przedstawieniach osadzonych w lokalności, na koniec nie można nie wspomnieć o spektaklu, który powstał poza teatrem instytucjonalnym, w Zabytkowej Kopalni Guido w Zabrze. *Synek* (2013) – w reżyserii Macieja Podstawnego na podstawie tekstów Marcina Gawła, Zbigniewa Stryja i Zbigniewa Kadłubka – został pomyślany jako kompilacja monodramu, performansu i instalacji, w której Bohater (grany przez Marcina Gawła), przedzierając się przez rozmaite stereotypy i wspomnienia, próbuje zdefiniować tożsamość współczesnego Ślązaka. Ten zaś jedną nogą zakorzeniony jest w tradycji, drugą – funkcjonuje w ponowoczesnym świecie ze świadomością, że dawny Śląsk bezpowrotnie odchodzi w przeszłość. Spektakl, chociaż grany rzadko, cieszy się dużą popularnością i zdaje się idealnie wpisywać w oczekiwania widzów. Lokalność jako temat spektakli okazuje się niewyczerpanym źródłem inspiracji i rezerwuarem tematów do pracowania, co teatry na Śląsku od jakiegoś czasu zaczęły wreszcie dostrzegać.

Tekst jest zmodyfikowaną wersją referatu wygłoszonego podczas Międzynarodowej konferencji naukowej „Teatr historii lokalnych w Europie Środkowej”, która odbyła się na Wydziale Filologicznym Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach 24 i 25 września 2014 r.



Literatura dla dzieci i młodzieży (1945-1989). T. 4. Red. K. Heska-Kwaśniewicz, K. Tałuć. Katowice 2014, ss. 349.

O Literaturze dla dzieci i młodzieży

Katowickie środowisko młodych badaczy piśmiennictwa dla małego i młodego czytelnika, skupionych wokół prof. Krystyny Heskiej-Kwaśniewicz i dr hab. Katarzyny Tałuć, wydało pod redakcją obu Pań kolejną cenną publikację. Nakładem Wydawnictwa Uniwersytetu Śląskiego ukazał się 4. tom serii skryptów *Literatura dla dzieci i młodzieży*. Ze względu na zawartość treściową i układ strukturalny komponuje się on w całość z wydanym rok wcześniej tomem 3. To ciąg dalszy historyczno- i krytycznoliterackich rozważań o twórczości dla dzieci i ludzi młodych powstałej w okresie PRL-u.

Tom 4. otwiera przegląd dokonań powojennej krytyki tej literatury, z charakterystyką ośrodków badawczych w Polsce, z prezentacją autorytetów w tej dziedzinie wiedzy i omówieniem ich dokonań w zakresie bieżącej oceny utworów dla dzieci, inicjatyw badawczych i prób systematyzowania materiału źródłowego w postaci słowników, podręczników i innych opracowań syntetycznych.

Drugą część publikacji, zatytułowaną *Poezja i proza*, wypełnia osiem tekstów,

z których każdy stanowi tematyczne opracowanie jakiejś formy literackiej. Każdy wywód wpisano w kontekst historycznoliteracki. Przywołanie pisarskich dokonań w okresie międzywojnia, kondycji poszczególnych gatunków literackich w tym czasie i tradycji ich uprawiania ma uzmysłowić skutki powojennej indoktrynacji i ingerowania w proces twórczy.

Wszystkie zagadnienia osadzone również w szerokim kontekście krytycznoliterackim. Autorki ukazują zawsze dotychczasowy stan i zakres badań, traktując swoje rozważania albo jako ich dopełnienie w kwestiach z wiadomych powodów przemilczanych lub zniekształconych, albo jako polemik, albo też jako ciąg dalszy w zakresie nowych zdarzeń literackich lub postrzeganych na nowo z perspektywy czasowej i w odmiennej sytuacji kulturotwórczej, bez ideologicznych obciążeń.

Na wielkie uznanie zasługuje ogrom materiału badawczego, jaki w poszczególnych opracowaniach został uwzględniony, choć z reguły pomijano teksty, które doczekały się wcześniejszych solidnych omówień, a uwagę skupiono na utworach reprezentatywnych i tych, które w czasach PRL-u uznano za niezgodne z ówczesną ideologią i które z tego względu rugowano z obiegu czytelniczego, z zasobów bibliotecznych i ofert wydawniczych. Powojenne losy poszczególnych form genologicznych wyznaczają znamienne określenia czasowe: do roku 1949, w latach 1949-1956, po roku 1956, lata 70. i 80. W odniesieniu do wszystkich niemalże rodzajów i gatunków literackich oznaczają one kolejno: kontynuację tradycji sprzed wojny, okres silnych represji wobec twórców, co przekłada się na zubożenie treściowe i obniżenie walorów artystycznych dzieł lub całkowite zaniechanie tematyki, czas odwilży, następnie próby odradzania się tradycji obok ujawniania się nowych trendów. Każde z opracowań literaturoznawczych bogato ilustruje te procesy konkretnymi przykładami utworów i dowodzi ostatecznego wyzwolenia się twórców z cenzuralnych rygorów, choć nie zawsze ze schematów i uproszczeń.

Z opracowań wyłania się rzetelny wizerunek analizowanej literatury. Jest tu ukazana ogromna różnorodność stylistyczno-estetyczna i strukturalno-nowatorska powojennej poezji z jej ewoluowaniem w stronę „wiersza dziecięcego” o postaci bezprzymiotnikowej. Wykazano, jak dalece niewygodna była literatura harcerska, zwłaszcza teksty szaroszeregowe sprzed 1949 r., dlatego w latach stalinowskich dokonano jej unicestwienia. Powrót tekstów nastąpił dopiero w latach 80. W międzyczasie, od późnych lat 50., tradycyjną tematykę harcerską podejmowano rzadko w różnych realizacjach: od książki biwakowo-obozowej po drobne motywy czy marginalne wzmianki w powieści przygodowej.

Powieść dla dziewcząt z lat 1969-1980 ukazano w odniesieniu do bohaterki: ich dorastania na oczach czytelniczek i kreacji charakterologiczno-osobowościowej. Dowiedziano, że ten typ powieści zyskał

na problematyce, sposobach jej prezentacji i na różnorodności kreacji postaci nie dających się sprowadzić do dawnych schematów. Na przykładzie powieści historycznej ukazano proceder manipulowania materiałem historyczną – kamuflowania niewygodnych dla władzy faktów i zdarzeń, ich wybiórczego traktowania albo jawnego fałszowania, co w oczywisty sposób wpłynęło na wartość (nie) poznawczą tekstów lub całkowity niebyt w przestrzeni czytelniczej twórców niepokornych, sięgających po tematy zakazane. Na obfitym materiale źródłowym pokazano też różnego rodzaju próby zachowania postawy neutralnej, czyli ucieczki w tematy bezpieczne.

Podobnych okaleczeń doznała powieść biograficzna; także i tu próbowano narzucone dyrektywy obejść, podsuwając młodemu czytelnikowi głównie sylwetki „poprawnych politycznie” artystów, co spowodowało schematyzm portretowania postaci, mitologizację ich dokonań i przekłamania interpretacyjne. Tekst poświęcony różnym publikacjom fantastycznonaukowym ujawnia, jak manipulowano młodzieżą, wykorzystując jej zainteresowania rozwojem nauki i techniki, jak kosztem arcyzmu wykorzystywano popularność fantastyki naukowej do oddziaływania ideologicznego. Próby sterowania młodzieżą objęły także wydawnictwa komiksowe – postrzegane jako pozbawione wartości estetycznych i literackich, a więc ostro krytykowane, tymczasem niezwykle popularne wśród młodych, obecne w obiegu czytelniczym w różnorodnych formach.

W kolejnej części skryptu *Szkola – biblioteka – księgarnia* czytelnik znajdzie kolejne ciekawe opracowania. Pierwsze stanowi analizę programów nauczania w szkołach podstawowych pod kątem kanonów lektur w poszczególnych okresach PRL-u, drugie omawia działalność bibliotek publicznych na rzecz wychowania dzieci i młodzieży, zaś cztery pozostałe dotyczą polityki wydawniczej wobec książki dziecięco-młodzieżowej, a więc publikacji baśni, seryjnego wydawania książek, wznawiania dzieł z okresu międzywojennego i wreszcie książki-zabawki. W osobnej części *Sztuka książki* zamieszczono opracowanie poświęcone ilustracjom. Te części skryptu przenoszą uwagę z procesów twórczych na problematykę organizowania kontaktów dzieci i młodzieży z książką. To świetne dopełnienie obrazu literatury dla dzieci i młodzieży z lat 1945-1989, zwłaszcza że te tematy krytyka podejmowała rzadko.

Tomy 3. i 4. *Literatury dla dzieci i młodzieży* stanowią istotny przyczynek do wiedzy o tym piśmiennictwie w Polsce Ludowej. To dzieło zbiorowe przygotowane z dbałością o wiarygodność przekazu, rzetelność informacji i dopełnienie dotychczasowego stanu badań. Zajmująca treść obu tomów i przystępna narracja czynią z nich ciekawą lekturę dla wszystkich zainteresowanych komunistycznymi praktykami fałszowania polskiej tradycji i kultury dla celów wychowawczych.

HENRYKA ANDRZEJCZAK

Hanna Schygulla, niemiecka aktorka znana przede wszystkim z ról w filmach Rainera Wernera Fassbindera, doczekała się pierwszej w języku polskim monografii przygotowanej pod redakcją Andrzeja Gwoźdźcia, od lat konsekwentnie badającego i promującego bogate tradycje regionalnej kinematografii Górnośląska.

W najnowszej książce zatytułowanej *Urok melancholii. Dziewięć spotkań z Hanną Schygullą*, stworzonej przy udziale ośmiorga innych autorów, śląski filmoznawca stara się przedstawić bogate oblicze ekranowe i zróżnicowany dorobek zawodowy gwiazdy o niekwestionowanej europejskiej renomie, która w Polsce rozpoznawana jest – niesłusznie – głównie przez pryzmat efektownych kreacji w filmach *Małżeństwo Marii Braun*, *Lili Marleen*, czy w popularnym niegdyś serialu *Berlin Alexanderplatz*, powstałych w latach 1979-1981. W każdym z nich zagrała bohaterki dramatycznie uwikłane w szeroko zarysowaną historię społeczną Niemiec, sięgającą narodzić Trzeciej Rzeszy. Tymczasem ekranowy dorobek tej aktorki sięga roku 1968, kiedy to po studiach w Bawarii zaangażowała się, podobno przez przypadek – na co zwraca uwagę Monika Wąsik, w tworzenie ruchu kontestacyjnego „antyteatru”, i równocześnie stała się czołową twarzą nurtu Nowego Filmu Niemieckiego, analizującego fenomen kraju odradzającego się po II wojnie, o czym pisze Gwoździec, wskazując, że to właśnie główny mentor aktorki Fassbinder (wspólnie z Schygullą pracowali aż przy osiemnastu filmach) starał się wykreować Hannę na ekranową divę, uzyskując jednak efekt „ekwiwalentu cudu gospodarczego lat 60. ubiegłego stulecia”.

Nie ulega wątpliwości, że w kolejnych latach Schygulla „pobiła” inne współczesne jej aktorki, robiąc prawdziwie międzynarodową karierę. „Ikoną kina transnarodowego” nazywa Hannę Magdalena Podsiadło, zwracając uwagę nie tylko na jej pracę pod kierunkiem wybitnych reżyserów różnych narodowości (Schlöndorf, Branagh, Varda, Godard, Saura, Wenders), ale i na fakt wyjątkowego otwarcia się na różne wątki kulturowe, analizując typy postaci, które aktorka kreowała na ekranie. Co mogła ofiarować europejskiemu kinu, i czego szukali w aktorce reżyserzy? – tego zaś docieka Barbara Kita, omawiając kulisy powstania *Pasji Godarda*, na planie której aktorka wystąpiła zresztą z Jerzym Radziwiłowiczem.

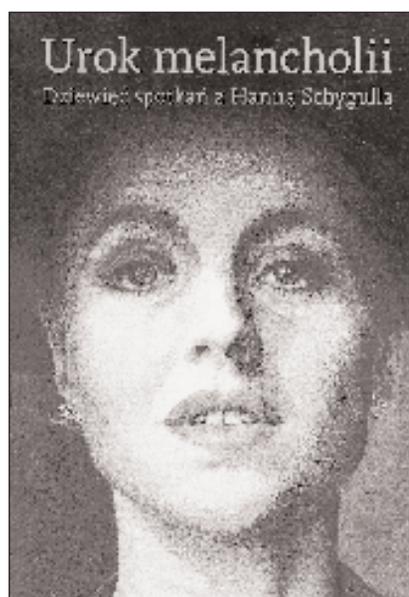
Polskie kino nie potrafiło skorzystać z talentu gwiazdy. Zaledwie dwie role – w *Miłości w Niemczech* Andrzeja Wajdy i w *Tragarzu puchu* Janusza Kijowskiego – to z pewnością zbyt mało jak na potencjał urodzonej w 1943 roku w Chorzowie Starym aktorki, która

skutecznie, acz bez oszałamiającego sukcesu, potrafiła odnaleźć się także w Hollywood. Praca w Stanach Zjednoczonych zaowocowała udziałem w kilku komercyjnych produkcjach, z których najbardziej znany jest sensacyjny *Oddział Delta* w reżyserii Menahema Golana z roku 1986, z udziałem Chucky Norrisa, o czym pisze Magdalena Kempna-Pieniążek, dociekając, dlaczego kariera w kinie amerykańskiego mainstreamu nie potoczyła się dalej.

Schygulla nie skupiała się zresztą wyłącznie na kinie, poświęcając czas także muzyce i estradzie. Wykonywana na wielu scenach piosenka o Lili Marleen przyniosła jej, znów niesłusznie, porównania do Marleny Dietrich, podczas gdy nagrała przecież kilka własnych albumów solowych, na co zwraca uwagę Magdalena Dziadek, pisząc także o występach w różnorodnym repertuarze teatralnym, m.in. wg tekstów Brechta, a nawet Gombrowicza. Zwraca też uwagę na ważne w życiu autorki podróże w poszukiwaniu inspiracji, które prowadziły od szkoły filmowej w Hawanie, po legendarny moskiewski teatr MChT. Całości tomu dopełnia szkic Jana F. Lewandowskiego, konsekwentnego tropiciela historycznych zagadek, który rekonstruuje pierwszą wizytę artystki w Chorzowie Starym, jaka miała miejsce w roku 1998.

Autorzy skupiają się na pokazaniu nieznanego w Polsce oblicza gwiazdy i odejściu od postrzegania jej bohaterek przez stereotyp zmysłowych i rozertyzowanych kobiet. Z powodzeniem przytaczają nieznane wcześniej informacje, np. o kulisach wyczerpującej pracy z Godardem, czy też o wpływie, jaki wywarła aktorka na rozwój kina spod znaku kampu i queer. Ograniczona objętość książki nie jest w stanie pomieścić wszelkich możliwych wątków i zachęca do dalszego zgłębiania tematu; ewentualny niedosyt kompensują nieopatrzone fotosy, ilustrujące różne etapy kariery, oraz kilka indeksów filmograficznych.

Siłą *Dziewięciu spotkań z Hanną Schygullą* jest jednak przede wszystkim udana próba określenia fenomenu artystki, urodzonej w tym samym miejscu, co inni znani, a czasem wielcy twórcy. Do filmowców-chorzowian należą przecież także: wynalazca efektów specjalnych operator Günther Rittau, dwukrotnie nagrodzony Oskarem kompozytor Franz Waxman czy też wielu Polaków, wśród których najjaśniej świeci znakomita autorka kostiumów Barbara Ptak. Być może wszyscy oni mają tę samą cechę wspólną, którą książka Andrzeja Gwoźdźcia przypisuje Hannie z Chorzowa Starego: „W podstawówce z powodu dziwnego nazwiska nazywali mnie «polskim brzdącem». Nic sobie z tego nie robię. Zdaje się, że nawet mi to pochlebia. A więc jestem inna (...). Ale właśnie jestem inna i wszystko, co



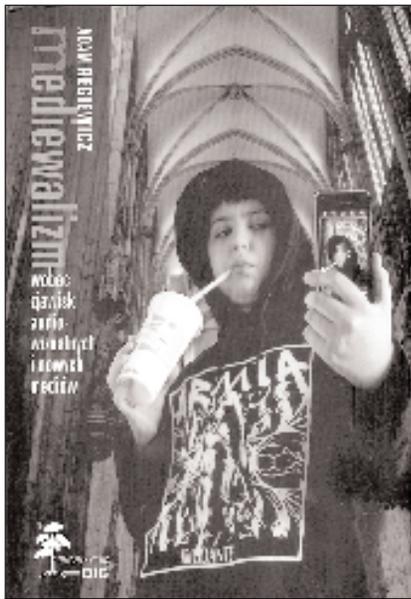
Urok melancholii. Dziewięć spotkań z Hanną Schygullą. Red. Andrzej Gwoździec. Katowice 2014, ss. 186.

Inna Hanna

inne, mnie pociąga” – mówi cytowana w tomie artystka, która w innym miejscu stwierdza: „Byłam zawsze chętna, by przekraczać granice (...). Mnie fascynuje wszystko, co jest choć odrobinę inne i obce”. Ów oryginalny koncept postrzegania Schygulli przez pryzmat wykluczenia (*Podsiadło*) wydaje się być szczególnie trafiony w przypadku aktorki o tak mocno urozmaiconej biografii, i z pewnością może być zastosowany także do jej krajan, a zarazem kolegów, po – szeroko rozumianym – fachu.

Warto sięgnąć po kolejną już publikację zgłębiającą śląskie *genius loci* w rozwoju sztuki filmowej. Co ciekawe, autorzy tomu rysują nadzieję na kolejne wydawnictwa i publikacje prowadzonych badań. „Mocno wierzymy – mówi Mariusz Wróbel, dyrektor Instytucji Filmowej Silesia Film w Katowicach, a zarazem jeden z dwóch współwydawców książki – że właśnie film stanowi jedno z najlepszych mediów oddziałujących na dyskurs społeczny”, natomiast Rafał Bartek, dyrektor gliwickiego Domu Współpracy Polsko-Niemieckiej, dodaje: „Dzięki temu przyczyniamy się do (...) wzbudzenia świadomości, że Śląsk – jako wielokulturowy obszar pogranicza – ma tylko jedną przyszłość: wspólną”.

MAREK KOSMA CIEŚLIŃSKI



Adam Regiewicz: *Medievalizm wobec zjawisk audiowizualnych i nowych mediów*. Wydawnictwo DiG, Warszawa 2014.

Rozbieranie średniowiecza

Medievalizm to w dużym uproszczeniu zwrócenie się ku średniowiecznej tradycji, ale także badanie późniejszych obecności dorobku średniowiecza. Dyscyplina naukowa pod tą nazwą pojawiła się dopiero w II połowie XX wieku. Na wstępie Adam Regiewicz wyznaje, że jego książka ma za zadanie częściowo zapełnić lukę w przestrzeni badań medievalistycznych. Jak sam autor twierdzi, to jedna z pierwszych prób na gruncie polskim omówienia kategorii medievalizmu wraz z całym aparatem metodologicznym i pojęciowym.

Swoją analizę autor rozpoczyna od rozpatrzenia średniowieczności jako fantazmatu kultury, jako rzeczywistości wyobrażonej, kostiumu, maski, świata ukrytego pod marzeniami czy skrywanego za zasłoną nieświadomości. Zauważa, że średniowieczność jest konstrukcją mentalną, obrazem średniowiecza kreowanego w danej rzeczywistości kulturowej warunkowanej historycznie, która nie tyle dotyka istoty wieków średnich, ile poddaje analizie zagadnienia związane z cza-

sem, w którym się pojawia. Jest wyrażana za pomocą języka obrazowego – ikonografii, symboli i mitów. Każda następna epoka kulturowa nakłada czy raczej nadpisuje na poprzednią kolejne warstwy znaczeń. Dodarcie zatem do narracji pierwotnej wymaga „rozebrania” wszystkich nadpisanych warstw.

Autor przypomina, że przez lata, a nawet setki lat (bo od końca XVIII wieku), średniowiecze „zarosło” wieloma negatywnymi ocenami, począwszy od określenia go jako czasu anarchii, bezprawia, zabobonów, po epokę płonących stosów z czarownicami. Źródła tego typu krytycznych opinii Regiewicz upatruje się w odmiennych założeniach ideologicznych średniowiecza oraz oświecenia, w których inaczej pojmowano znaczenie takich pojęć, jak: wolność, równość, tolerancja czy prawa człowieka.

Autor zwraca uwagę na przekaz ikoniczny ilustrowanych kodeksów średniowiecznych, których zasada działania została przełożona na malarstwo, witraże, sztukę iluminatorską – nie tylko o treściach biblijnych. To potoczne rozumienie Biblii ubogich, charakteryzujące się czytelnym i jednoznacznym obrazem, pozwala na odniesienie tego zjawiska do współczesnej kultury telewizyjnej jako najbardziej aktywnie odnoszącej się do wyobraźni odbiorcy. Telewizja stała się oknem na świat, poprzez które widać tylko to, co zechce pokazać producent. Daje pozory autentyczności, pozory charakteru edukacyjnego i pozory wiarygodności.

W dalszej części swoich rozważań autor zwraca uwagę na wiele innych aspektów współczesnej (XX i XXI wiek) średniowieczności: jej polifoniczność, autoreferencjalność z elementami autoparodyjności, uzależnienie od kultury masowej, a szczególnie kina. Filmy przynoszące wizerunek średniowiecza związane są przede wszystkim z kulturą rycerską. Twórcy sięgają do celebrowania dekoracji, scen walki, gotyckiej architektury, emanowania grozą i prezentacji niesprawiedliwego (feudalnego) porządku świata. Cały ten malowniczy entourage potwierdza jednak schematyczne wyobrażenia o średniowieczu.

Szczególnym przypadkiem, na który wskazuje Adam Regiewicz, jest również wykorzystanie średniowieczności w przestrzeniach nietypowych, a mianowicie pornografii filmowej. Autor tej tematyce poświęca cały rozdział, choć sam przyznaje, że podjęcie się badania tego wątku naraża go na pojawienie się wielu zastrzeżeń zarówno ze względów moralnych, psychologicznych, jak i estetycznych. Ponadto rodzi niebezpieczeństwo zakwestionowania przedmiotu badań jako czegoś niepowąganego lub wręcz nagannego. Uważa jednak, że warto spojrzeć na filmowy tekst pornograficzny jako istotny element wspólnoty komunikacyjnej: mitów, tradycji i narracji kulturowych, w której średniowieczność staje się językiem, a zarazem kontekstem owego aktu.

Druga część książki poświęcona jest widowiskowości, która uobecnia się – korzy-

stając z wyobrażeń o średniowieczu – we współczesnej muzyce popularnej, szczególnie heavymetalowej (koncertach, okładkach płyt, teledyskach) oraz w rekonstrukcjach historycznych, parkach rozrywki czy widowiskach nawiązujących do gier komputerowych. Autor zwraca uwagę na teatralizację występów muzycznych, podczas których średniowiecze uobecnia się za przyczyną różnorodnych rekwizytów. Szczególnie w przekazie heavymetalowym wskazuje na dominację mroczności, energii, dynamiki, brutalności, a nawet agresji. Średniowieczność wpisuje się w warstwę muzyczną, dekoracyjną, elementy ubioru. Można zauważyć nawiązania do postaci rodem ze skandynawskiej mitologii, średniowiecznego *danse macabre* i personifikacji Śmierci czy demonologii z zastępami wiedźm i diabłów. W przypadku rekonstrukcji historycznych Regiewicz zwraca uwagę na ludyczny charakter tego typu imprez, wykorzystanie artefaktów oraz swobodne podejście do przeszłości, które definiuje się jako „zabawę w historię”. Szczególnym przypadkiem jest zjawisko gier fabularnych, popularnie zwanych RPG (*role-playing game*), w których przestrzeń historyczną stanowi swego rodzaju planszę do gry oraz tworzenia swoistej narracji. Koncepcja RPG z jednej strony przypomina ideę dzieła literackiego (konstrukcja i charakterystyka postaci, schemat fabularny, świat przedstawiony), z drugiej zaś ideę „dzieła otwartego”, w którym użytkownik jest współtwórcą.

W trzeciej części książki autor skierowuje swoje badania w stronę nowych mediów. Rozważa pojęcie *anamnesis* i jego wpływ na kulturę średniowiecza. Zauważa, że anamnezę można rozumieć nie tylko jako koncepcję teologiczną realizowaną w różnych formach przekazów średniowiecznych, ale także ująć ją w kontekście przemian technologicznych. Technologia staje się nową strukturą, w której funkcjonuje zglobalizowana rzeczywistość. Media masowe zmieniają przede wszystkim wymiar życia społecznego, niwelując granice przestrzenne i czasowe, te ostatnie czasami do zera. Czas staje się momentalny, nanosekundowy, a jednocześnie wiecznie teraźniejszy. Nowe media charakteryzują się takimi cechami jak: usieciowieniem, digitalnością przekazu i interaktywnością, a także natychmiastowością. Świat nowych mediów jest zwielokrotniony, samostwarzający się, opcjonalny, pomnażany niemal automatycznie za pomocą kolejnych cyfrowych wariacji.

Podsumowując swe rozważania, Adam Regiewicz zaprzecza jakoby „czytanie” zjawisk medialnych medievalizmem było postmodernistyczną zabawą. Autor uważa, że ta metoda pozwala zrozumieć zarówno przedsięwzięcia kulturowe współczesnego człowieka w szerszym kontekście cywilizacyjnym, jak i z perspektywy antropologicznej przyglądać się podłożu jego funkcjonowania wobec technologii, będącej narzędziem globalizacji.

AGNIESZKA SIKORA

Zawsze śledzę publikacje z tej serii z zainteresowaniem, tym razem jednak tytuł wręcz mnie zaintrygował, podobnie jak okładka Tomasa Wenklara nawiązująca do dekalogu. Być może dlatego, że jestem zwyczajnym „użytkownikiem” muzyki od zawsze. Od mojego urodzenia w domu grało radio. Wtedy, poza piosenkami (i pieśniami masowymi), nadawano „klasykę” a nawet muzykę ludową. Nieco później wystarczyło przejść przez podwórko, aby posłuchać WOSPR, którą dyrygował w tamtym czasie Jan Krenz. Potem byli Bitelsi, Burano, Demarczyk, itd. . . Słuchałem i słucham praktycznie wszystkiego. Jednak nie. Nie potrafię się zmusić do odbioru utworów sonorystycznych, unikam techno, nie przepadam za nowoczesnym jazzem. . . Ale bawi mnie na przykład *Village Anka* wykonywana przez udający folklor zespół „Same Suki”. Jestem więc niefachowcem, dlatego też moje przemyślenia okołomuzyczne były – jak teraz widzę – dość ubogie. Obserwując kołyszającą się festiwalową publiczność i pogo pod sceną uznałem, że muzyka to jednak atawizm odziedziczony po zwierzętach. Myślałem także, że muzycy to mają dobrze, uprawiają bowiem sztukę niewerbalną, więc wymykającą się władzy cenzury, co pozwoliło na przykład radzieckiemu kompozytorowi zmienić tytuł pieśni na cześć Stalina na song o pokoju, przez co nadal można było sobie tego utworu słuchać. Jak widać obce mi było wiązanie muzyki z wartościami wykraczającymi poza krainę dźwięków i nut. Już jednak otwierając książkę esej Jacka Kurka zmusił mnie do refleksji. Przez lata tytuł publikowanej w *Polityce* rubryki Jerzego Waldorffa „Muzyka łagodzi obyczaje” wydawał mi się stwierdzeniem oczywistym, przyjmowałem go zatem bezkrytycznie. Kurek pokazuje, że z powodzeniem można się z taką opinią nie zgodzić, a przynajmniej zgłosić szereg wątpliwości. Przykłady hitlerowskich melomanów z obozów koncentracyjnych przemawiają do wyobraźni.

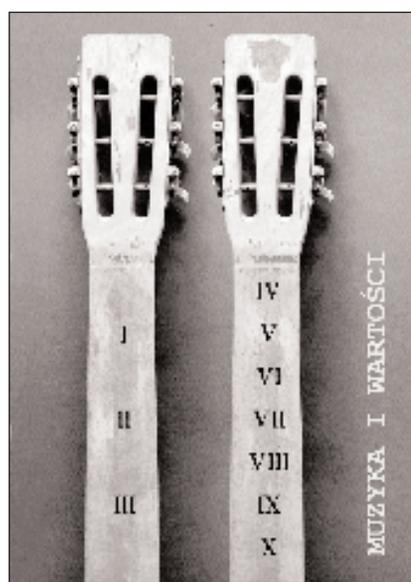
Autorzy tekstów zamieszczonych w książce nie narzucają jednak czytelnikowi własnych sądów, unikają kategorycznych rozstrzygnięć, stawiają natomiast pytania, często zaskakujące. Pierwsze już zostało zasygnalizowane: czy muzyka na pewno łagodzi obyczaje? Czy muzyka może zniszczyć życie kogoś, kto traktuje ją bardzo serio, zastanawia się Aleksandra Kunze. Czy muzyka jest etyczna? – takie pytanie stawia Marek Toporowski. Dominika Szczawińska-Ziemba audycję „Między buntem a podsłuchiwaniem nieba” przygotowaną wspólnie z Bartłomiejem Majzłem wyemitowaną przez *Radio eM* zaczyna pytaniem: jak by wyglądał świat bez muzyki? W krótkiej recenzji nie da się wymienić wszystkich autorów tekstów, które złożyły się na książkę. Nie da się także przytoczyć stawianych przez nich pytań ani poruszanych problemów, tym bardziej że w tych erudycyjnych esejach pojawia się całe mnóstwo nazwisk filozofów, poetów,

pisarzy, artystów, wreszcie samych muzyków, których wypowiedzi stanowią punkt wyjścia do podejmowanych tematów albo argument za (lub przeciw) stawianymi tezami. Pojawiają się więc między innymi: Arystoteles, William Blake, Cortazar, Derrida, Hermann Hesse, Sartre, Szekspir itd. Baudelaire i Proust są nawet bohaterami jednego ze szkiców, łączy ich bowiem przyrównanie muzyki do morza, które ogarnia człowieka.

Teksty składające się na książkę podzielono na trzy części. Pierwsza – „Dwoisty kosmos muzyki” – rzeczywiście otwiera przed czytelnikiem „kosmos”. Już starożytni Grecy byli przede wszystkim wychowani (wyedukowani) przez muzykę, tymczasem postrzegani są jako artyści przede wszystkim poprzez architekturę i rzeźbę. Zwraca na to uwagę Henri-Irenee Marou. Poszukiwanie odpowiedzi na pytanie „czym jest muzyka” jest jednym ze sposobów na zadanie pytania „czym jest człowiek?”. Ks. Tischner napisał, że sposób bycia istoty ludzkiej przypomina dzieło muzyczne. Adorno mówi o „głupocie słuchania”. Wybrałem tylko kilka opinii z bardzo ciekawego eseju Krzysztofa Maliszewskiego, który stwierdza, że „muzyka (podobnie jak wykład czy lekcja) – uważnie słuchana i mistrzowsko wykonywana – to doświadczenie źródłowo pedagogiczne, czyli przemieniające i kształtujące.” Muzyka a pedagogika, muzyka a mit, muzyka a przeżycie – to tylko niektóre zagadnienia omówione w tym szkicu. Problemem muzyka a historia zajmuje się z kolei Łukasz Michalski, a Piotr Chlebowski pisze o wartości ciszy w muzyce.

Drugą część książki „Fuga buntu i afirmacji” wypełniają teksty związane z konkretnym czasem czy też zjawiskiem. Marek Toporowski zajmuje się etycznością muzyki dawnej (przy okazji sprzeciwia się etykietkom łatwo nadawanym przez akademizm twórcom lub kompozycjom charakterystycznym dla poszczególnych epok, na przykład: Bach – matematyka, poza tym nuda, klasycyzm – ugrzęźnienie, romantyzm – wolność). Jarosław Nowosad pisze o rockach (nie ma jednego!), a Weronika Leśniak przypomina historię polskiego punk rocka – muzyki zbuntowanego pokolenia lat osiemdziesiątych XX wieku, która wbrew wielu opiniom także odwoływała się do wartości (choćby negatywnych).

Część trzecia „Między dźwiękami” zajmuje się – jakkolwiek to trochę uproszczenie – słowami i obrazami towarzyszącymi muzyce. Jest w tej części miejsce na poezję, teksty śpiewane, ale i na rozmowę o muzyce – jej tradycjach, roli, miejscu w życiu ludzi. W tym miejscu warto przytoczyć zdanie Jana „Ptaszyna” Wróblewskiego, który nie uznaje podziału muzyki na dobrą i złą, ale na „uczciwą” i „tę drugą”. To, że dźwiękom towarzyszyły obrazy jest sprawą oczywistą. Poświęcono jej dwa materiały. Pierwszy dotyczy Jerzego Dudy-Gracza i jego monumentalnego dzieła inspirowanego kompozycjami Fryderyka Cho-



Muzyka i wartości. [Red. Jacek Kurek, Krzysztof Maliszewski]. Seria: Medium Mundi X. Wyd. Miejski Dom Kultury „Batory” w Chorzowie, Chorzów 2014, s. 220.

Podróż w muzyczny kosmos

pina, drugi prezentuje twórczość zafascynowanej muzyką i Ignacym Paderewskim Marii Wollenberg-Kluzy. Oba teksty bogato ilustrowane.

Do publikacji dołączono płytkę „Eine kleine nichtmusic” w wykonaniu Tadeusza Ślawka i Bogdana Mizerskiego.

Książki *Muzyka i wartości* na pewno nie da się przeczytać „jednym tchem”. Myślę, że wynika to wystarczająco wyraźnie z mojego z konieczności dość skrótego omówienia jej zawartości. Ale – choć to lektura żmudna i trudna – zachęcam do niej z pełnym przekonaniem. Wprawdzie wielość wątków, tropów i cytowanych przez autorów zdań najróżniejszych ekspertów nie tylko „od muzyki” zmusza nie tylko do wyłączenia uwagi a czasem powrotu do wcześniejszych fragmentów, ale za to otwiera nam oczy na wiele spraw, nad którymi się wcześniej nie zastanawialiśmy. Skłania do własnych przemyśleń, rozwijania przeczytanych wywodów, albo i niezgody na niektóre tezy, co na pewno może być źródłem czytelniczej satysfakcji. Życzę więc fascynującej podróży w muzyczny kosmos.

BOGDAN WIDERA

Suchacka: Transformacja regionu przemysłowego w kierunku regionu wiedzy. Małgorzata Studium socjologiczne województwa śląskiego. Wyd. Uniwersytetu Śląskiego, Katowice 2014, s. 406.

Tytuł może laika odstraszyć. Tymczasem praca napisana jest właściwie językiem całkiem przystępnym. Nie zdajemy sobie sprawy z faktu, jak bardzo ostatnie dziesięciolecie oswoiły nas z ekonomią i terminologią, którą się posługuje. Transformacja, społeczna odpowiedzialność biznesu, innowacyjność gospodarki, kapitał ludzki – to już nie są pojęcia wymagające każdorazowo szukania definicji w leksykonach. Zachęcam więc wszystkich zainteresowanych przemianami zachodzącymi w regionie do zajrzenia do tej publikacji. Osobiście najbardziej zainteresował mnie problem innowacji, konkretnie zaś jakiegoś zdumiewającego braku zdolności porozumienia się „aktorów” uczestniczących w tej dziedzinie. Biznesmeni narzekają na naukowców (musimy sami wszystko robić, bo oni są zapóźnieni), naukowcy – na przedsiębiorców (są zainteresowani tylko zyskiem, a nie badaniami rozwojowymi), a jedni i drudzy na decydentów-urzędników.

Ty górnicza żmijo! Rozmowy z profesorem Andrzejem Karbownikiem o restrukturyzacji polskiego górnictwa węgla kamiennego. Wydawnictwo Górnicze Sp. z o.o., Katowice 2014, s. 398.

Można powiedzieć, że to w pewnym sensie „ciąg dalszy” opisu transformacji w dużej części dotyczącej naszego regionu, która dokonała się w latach 1989-2001. Tematem tej publikacji są przemiany jakie zaszły w jednej tylko dziedzinie – w górnictwie węgla kamiennego właśnie. Przedstawione są z punktu widzenia jednego z przedstawicieli „decydentów”, zaangażowanego w restrukturyzację profesora Karbownika, który zgodził się na cykl rozmów opowiadających o całym procesie z jego osobistej perspektywy. Dzięki temu możemy poznać kulisy całej operacji, dowiedzieć się wiele o ludziach w nią zaangażowanych, z którymi profesor współpracował, wreszcie prześledzić chronologicznie poszczególne etapy reformy wiążącej się z tak bolesnymi skutkami jak na przykład likwidacja wielu kopalń. Zmiany nie były łatwe, zaś ocena osób, które za nimi stały, często bywała skrajna, o czym najlepiej świadczy już sam tytuł książki.

Profesorowi w holdzie. Publikacja poświęcona setnej rocznicy urodzin profesora Jana Szczepańskiego. [Red. Daniel Kadłubiec]. Wyd. Oficyna Drukarsko-Wydawnicza AKANT S.C., Cieszyn 2014, s. 128.

Profesor Jan Szczepański trwale zapisał się w dziejach polskiej nauki swoimi badaniami i pracami. Poza tym jednak był „stela” – z Ziemi Cieszyńskiej, o czym najlepiej świadczy jego autobiograficzna, niewielka książeczka *Korzeniami wrosłem w ziemię*, ale także idea powołania w Ustroniu „Wolnej Szkoły Nauk Filozoficznych i Społecznych”. Ten pomysł, jak to wynika z prowadzonych przez Szczepańskiego *Dzienników*, narodził się w roku 1940, co tłumaczy i dodatkowo podkreśla użycie przymiotnika „wolna”. Marzenie profesora ziściło się po wielu latach, bowiem w roku 2013 zapoczątkowała swoją działalność „Letnia Szkoła Nauk Filozoficznych i Społecznych im. prof. Jana Szczepańskiego”. O tym i o wielu innych aspektach działalności wielkiego uczonego (w tym jego wpływie na socjologię czeską) traktują teksty autorstwa pracowników naukowych zawarte w tej pięknie wydanej rocznicowej publikacji.

Mirosław Słomczyński: Kamerzysta. Telewizyjne epizody i historyczne zdrapki. Wyd. PROGRES, Katowice 2013, s. 378.

Autor jest dziennikarzem telewizyjnym, specjalizuje się też w biografiami, miał więc szczególnie predyspozycje do napisania tej książki o Mieczysławie Chudziku, tytułowym kamerzyście telewizyjnym, ale także filmowym. Znam bohatera opowieści Słomczyńskiego, często się mijamy podczas rozmaitych imprez i wymieniamy ukłony, czasem jakieś drobne uwagi, ale – ponieważ zazwyczaj jesteśmy obaj „w pracy” – nigdy nie rozmawialiśmy dłużej. Mogłem więc tylko przypuszczać (mam takie doświadczenia z fotoreporterami prasowymi), że w związku ze swoim zawodem poznał wielu ciekawych ludzi i odwiedził niezwykle miejsca. Kamera to przecież rodzaj „paszportu” umożliwiającego dotarcie do przestrzeni dla zwykłego śmiertelnika niedostępnych. Jednak bogactwo wspomnień, ilość rewelacyjnych anegdot, a także ogrom kontaktów z prawdziwymi luminarzami z rozmaitych dziedzin mnie zaskoczyła. Czyta się to świetnie, przy czym jest to także swisty i nie-nudny podręcznik najnowszej historii.

Ks. Leon Stasiński: Będzin pierwsze dni wojny 1939 r. Wyd. JONA, Będzin 2014, s. 56.

Zapiski księdza Stasińskiego zaczynają się 1 września 1939 roku. Pierwsze słowo tego dziennika to „Nalot!”. Zaczyna się więc dramatycznie. Ale poza związanym zapisem okropności wojny notatki dotyczą codziennego życia, banalnych zdarzeń, rejestracji kapłańskiej posługi. Pojawia się też tragedia Żydów będzińskich. Najpierw ksiądz odnotowuje ucieczkę ubogich. Kończy zdaniem zaczynającym się od słów: „Rzadko w życiu płakałem...” 9 września spalona zostaje synagoga, ksiądz jest też świadkiem mordowania Żydów. Píše: „Unikałem podawania nazwisk Żydów. Kartki były odpowiednio przechowywane, aby nikogo nie narażać”. Teksty wprowadzające do lektury dziennika napisali Ewelina Konopczyńska-Toto i Adam Szydłowski. Ten ostatni był również inicjatorem zorganizowania 12 września 2009 roku rekonstrukcji wydarzeń z roku 1939 przygotowanej na podstawie zapisków księdza Stasińskiego. Zdjęcia z tego wydarzenia są poruszającym uzupełnieniem publikacji, która dziś jest cennym źródłem historycznym.

Janina Barbara Sokołowska: Deklinacja. Wiersze dawne i nowe. Wyd. ADVERT STUDIO, Chorzów 2014, s. 76.

W „Posłowiu” prof. Marian Kisiel zauważa, że uczucia wyrażone w wierszach Janiny Barbary Sokołowskiej związane są z imieniem (podmiotem), a nie z czasem, który i tak wygra. Ja natomiast sądzę, że czas jest w tej poezji istotny i nie bez powodu poeta zaznacza w podtytule „Wiersze dawne i nowe”. Weźmy na przykład taki fragment utworu „rozpoczyna się od strajków”: *stoję w kolejce po pięć paczek klubowych. mówią / że po południu przywiozą brazylijską po dwie na głowę / i toaletowy który zawieszę jak sznur agatów // triumfalnie niosę zdobycz. w domu pali się światło / opuszcza mnie panika. Miasto w nocy leży nieruchomo.* Nie wątpię, że to wiersz dawny. Zawarte w nim obrazy odwołują się do konkretnych doświadczeń. Dla młodzieży trzeba by do tego tekstu dodać historyczny komentarz. Dla mnie jest poruszający, budzący wspomnienia. Poza tym zgadzam się z profesorem: *Deklinacja* „jest tomem wierszy bardzo pięknych i egzystencjonalnie przejmujących”.

**Muzyka fortepianowa
Stefana Kisielewskiego
w nagraniu Magdaleny Lisak**

Kilka miesięcy temu na rynku ukazała się nowa płyta Magdaleny Lisak, zawierająca obszerny wybór utworów fortepianowych Stefana Kisielewskiego. Pomysł łączy się ze stuleciem urodzin Kisielewskiego, które przypadło w 2012 roku, sama publikacja ma jednak o wiele większy ciężar gatunkowy, niż ten, który by wynikał z samej „rocznicowości”. Otrzymaliśmy bowiem po raz pierwszy możliwość poznania twórczości fortepianowej autora *Zlego* (a był on doskonałym pianistą, posiadającym dyplom przedwojennego konserwatorium warszawskiego) w jej ewolucyjnym przekroju, z uwzględnieniem nie tylko rzeczy młodzieńczych, utrzymanych w atrakcyjnym stylu neoklasycyźnym, ale i dzieł późnych, w których kompozytor aspirował do mierzenia się z wielką tradycją muzyki fortepianowej. Płytę otwiera często dziś grywany *Danse vive* z 1939 roku, o quasi-ludowym charakterze, zapowiadający już słynną „zadziorność” Kisielewskiego. Po nim idą praktycznie nieznane *Preludium i fuga*, napisane w czasach okupacji. Można w nich widzieć, jak w wielu innych „wojennych” polskich utworach, np. w kompozycjach Lutosławskiego, przejaw szlachetnej izolacji od okrutnej rzeczywistości. Materia tej pary utworów jest tak wysublimowana, iż mogłaby służyć jako inkorporacja muzyki, którą komponował bohater jednego z muzycznych szkiców E.T.A. Hoffmanna – *der Dichter und der Komponist* (Poeta i kompozytor), nie dostrzegając, jak do jego izdebki wlatuje kawałek cegły odłupany granatem... W *Toccacie* oraz *Moto perpetuo*, których słuchamy dalej, powracamy na chwilę do przedwojennego idiomu neoklasycyźnego spod znaku Prokofiewa, ciesząc się wcale nie wyblakłymi jeszcze „barbaryzmami” współbrzmień i prowokacyjną „maszynowością” narracji. Wspomnianą dyskusję z wielką tradycją muzyki fortepianowej podejmuje Kisielewski w *II Sonacie na fortepian* z 1955 roku. W tym utworze neoklasycyźne formuły mieszają się z tematami i modelami fakturalnymi stanowiącymi symboliczne odniesienia do muzyki klasycyźno-romantycyźnej, przede wszystkim do Beethovena i Liszta. Czy udało się kompozytorowi stworzyć spójną całość z tak różnorodnego stylizacyjnie materiału? To pytanie zostawmy bez odpowiedzi. Z 1955 roku pochodzi także nagrana przez Magdaleny Lisak *Suita na fortepian*, dla odmiany, całkowicie spójna, niemal „grzeczna” w swojej stylizacyjnej czystości. W porównaniu z nią napisana ponad dziesięć lat później *Berceuse* (1968) brzmi wręcz prowokacyjnie „niegrzecznie” – wbrew konwencji gatunku wprowadza niepokój, szorstkość, hałas. Mija znowu ponad dziesięć lat i oto Kisielewski komponuje, po długiej przerwie, *Trzy sceny burzliwe* (1983). Jest to utwór-plakat, zawierający treść pozamuzycyźną przywołującą tragiczne wydarzenia stanu wojennego. Artysta posłużył się w nim

MIĘDZY NUTAMI



czytelnyymi cytatami-symbolami, słyszymy m.in. dźwięki chopinowskiego *Marsza żałobnego*. Omawiana płyta ma wielką wartość poznawczą, zwłaszcza że w booklecie zamieszczono kompetentne omówienie pióra Małgorzaty Komorowskiej, autorki monografii Kisielewskiego jako muzyka. Ale przecież nie jest to tylko kolejny „muzealny” dokument, praca domowa na temat „zapomniani polscy kompozytorzy”. Muzyka nagrana na płycie, a przynajmniej jej część, funkcjonuje w żywym repertuarze, a kilka utworów (*Danse vive*, *Toccata*) zdobyło prawdziwą popularność na antenie radiowej. Cel został zatem osiągnięty – Kisielewski powrócił do nas jako autor muzyki fortepianowej, i to w wielkim stylu, o co za dbała pianistka, prezentująca świetny warsztat i mądre podejście do wykonywanej muzyki. Płyta ukazała się nakładem Śląskiego Towarzystwa Muzycznego, reżyserem dźwięku jest Beata Jankowska-Burzyńska. Nagranie zrealizowano w Sali Koncertowej Akademii Muzycznej im. K. Szymanowskiego w Katowicach.

**„Karłowicz” przedstawił
młodych kompozytorów**

Plonem warsztatów dla młodych twórców, które zorganizowała katowicka Szkoła Muzyczna im. M. Karłowicza wspólnie ze Stowarzyszeniem Muzycznym im. Stefana Mariana Stoińskiego wiosną tego roku był koncert prawykonań utworów, które powstały w ramach tychże warsztatów. Koncert odbył się 1 października w szkolnej auli, z udziałem uczniów jako wykonawców (solistami byli wychowankowie „Karłowicza”, ponadto goszczono chór „Dominanta” szkoły muzycznej im. K. i A. Szafranków w Rybniku pod dyrekcją Joanny Glenc). Nad całością czuwała w sensie organizacyjnym i merytorycznym Anna Stachura-Bogusławska. Akcentem „profesor-skim” było również wykonanie, na początku koncertu fortepianowych *Dzwonów* Andrzeja Dziadka (który był wykładowcą warsztatów) przez Gabrielę Szeni-dzielińską.

Pora przedstawić młodych kompozytorów i ich utwory. Jako pierwsza zabrzmiała pieśń Dominika Niedźwieckiego *Reve de Baleine* (Wielorybie sny) do wiersza Roberta Desnos ze zbioru *Chantefables*, który, jak wiadomo, zainspirował niegdyś samego Witolda Lutosławskiego. Wykonali ją sopranistka Marzena Michalczyk i pianista Barbara Pakura.

Dominik Niedźwiecki zaprezentował się następnie jako klarnecista, współwykonując z klarnecistką Karoliną Stanoszek oraz pianistką Barbarą Pakurą własny utwór *Seria Cavata delle parole*. Obydwie kompozycje świadczą o tym, iż młody kompozytor odkrył już „swoją” muzykę. Jest ona w miarę nowoczesna, wysublimowana w brzmieniu, introwertyczna. Dominikowi Niedźwieckiemu idzie, jak się wydaje, o wydobywanie niuansów ekspresji. Pełen dystansu Lutosławski nie jest tu dobrym porównaniem; powinno by ono iść raczej w kierunku dzieł muzyki ekspresjonistycznej z początku XX wieku.

Igor Bojczuk zaprezentował się jako autor *Miniatury* op. 1 nr 2 na fortepian oraz *Miniatury* op. 2 nr 2 na flet i fortepian (wykonawcy: Wojciech Zbrożek – fortepian, Igor Bojczuk – flet). Te utwory nawiązywały bezpośrednio do tradycji muzyki tonalnej XIX wieku. Jak widać, w tej konwencji można się jeszcze z powodzeniem odnajdywać.

W wykonaniu oboistek Alicji Matuszczyk i Mai Łagowskiej, puzonistów Patryka Makowskiego i Michała Sinkowskiego oraz kontrabasistów Aleksandra Górnego i Jakuba Zonia usłyszeliśmy kompozycję Artura Dobiji *In memoriam René de Chalon*. Jako że do partytury utworu został dołączony wizerunek rzeźby, którą przywołano w tytule (chodzi o słynny pomnik renesansowego księcia w kształcie odróżającego kościotrupa, służący w dodatku za rodzaj upiornego relikwiarza – rzeźba trzyma w ręku autentyczne serce zmarłego władcy, oczywiście stosownie opakowane), można traktować go jako ekfrazę i w nutach kompozycji, starannie wyselekcjonowanych i ułożonych w statyczne wiązki, ujrzeć coś na podobieństwo szkieletu. Efekt à la Poe osiągnął młody twórca poprzez zastosowanie środków sonorystycznych.

Na koniec zabrzmiały, w wykonaniu rybnickiego chóru pod dyrekcją Joanny Glenc, dwa utwory religijne Przemysława Kadłubka: *Stala Matka boleściwa* i *Laudate Dominum*. Nawiązują one do popularnego idiomu użytkowej muzyki chóralnej, gdyż są napisane z myślą o tym, by wygodnie je było śpiewać. Dobra faktura i forma oraz ciekawe pomysły melodyczne świadczą o wyrobieniu muzycznym autora (jest on organistą – praktykiem).

Cieszy fakt, że młodzi twórcy wykonali swoją pracę obywatelnie, bez komputera i innych „polepszaczy”. Słuchaliśmy dobrej, rzetelnie napisanej muzyki, świadczącej nie tylko o tym, że kompozytorzy otrzymali solidne wykształcenie muzyczne, ale i o tym, że potrafią samodzielnie poszukiwać inspiracji i twórczo sięgać po odpowiadające im wzory.

MAGDALENA DZIADEK

Początki Gminnej Biblioteki Publicznej w Zbroslawicach sięgają 1946 roku. Wtedy księżnica rozpoczęła swoją działalność w małym, liczącym zaledwie 24 m², pomieszczeniu, znajdującym się w budynku Prezydium Rady Narodowej. W ciągu 68 lat istnienia biblioteka kilkakrotnie zmieniała siedzibę. Często nie wiązało się to z poprawą warunków lokalowych. Przełom nastąpił w 1993 roku, kiedy bibliotekę przeniesiono do budynku w centrum Zbroslawic. Dogodna lokalizacja i powierzchnia (152 m²), pozwalająca na wyeksponowanie księgozbioru, korzystnie wpłynęły na jej działalność. Niestety, w 2008 roku ten lokal również przyszło bibliotece opuścić i wrócić na poprzednie miejsce, znacznie oddalone od centrum. Szczęśliwie była to sytuacja przejściowa, gdyż w 2010 roku rozpoczęła się budowa nowoczesnego, przestronnego budynku, który wyróżnia się innowacyjną formą architektoniczną.

Mieści się tu biblioteka na miarę XXI wieku. Na parterze znajdują się: wypożyczalnia i czytelnia dla dzieci oraz sala konferencyjna, a na piętrze wypożyczalnia dla dorosłych, czytelnia czasopism i nowoczesne stanowiska komputerowe z bezpłatnym dostępem do Internetu. W budynku zastosowano rozwiązania ułatwiające korzystanie z obiektu osobom niepełnosprawnym. Otwarcie nowej siedziby odbyło się 14 września 2011 roku. Od tego momentu biblioteka nieustannie poszerza ofertę kulturalną i edukacyjną dla mieszkańców gminy. W tym samym roku przystąpiła do Programu Rozwoju Bibliotek Fundacji Społeczeństwa Informacyjnego, który umożliwił jej pracownikom udział w szkoleniach, co zaowocowało stworzeniem Planu Rozwoju Biblioteki 2012–2015. Uzyskano nowoczesny sprzęt komputerowy wraz z oprogramowaniem i aparaty cyfrowe dla filii.

Wydarzenia organizowane przez GBP i jej filie kierowane są do szerokiej grupy odbiorców. Z myślą o dzieciach od pierwszego do piątego roku życia powstał w bibliotece Kącik Malucha (dzięki współpracy z Fundacją J. A. Komenskigo), wyposażony w kolorowe meble, zabawki, gry edukacyjne. Systematycznie odbywają się w nim spotkania Grup Zabawowych. W ofercie adresowanej do dzieci znajdują się także: bal karnawałowy, Święto Ziemiaka, Dzień Pluszowego Misia, Dzień Czekolady, konkursy na najpiękniejszą pisanekę i bombkę choinkową, lekcje biblioteczne,



Budynek zbrosławickiej biblioteki nocą

Gminna Biblioteka Publiczna w Zbroslawicach

Po pierwsze dla mieszkańców

głośne czytanie bajek. Od kilku lat z okazji rocznicy urodzin H. Ch. Andersena w bibliotece gromadzą się mali czytelnicy, by wziąć udział w zabawach i konkursach wiedzy o jego twórczości i posłuchać baśni. Spotkania do 2012 roku odbywały się w ramach „Wieczorów z Andersenem”, a od dwóch lat dzieci spędzają noc w bibliotece.

Spotkania autorskie to skuteczna forma popularyzacji książki i czytelnictwa. W bibliotece gościli m.in. tacy pisarze tworzący dla młodych czytelników, jak: Wiesław Drabik, Aleksandra Rogala, Bogumiła Rostkowska, Jolanta Reisch-Klose, Elżbieta Bednarczyk. Pod hasłem „Franklinowe odwiedziny na terenie naszej gminy” odbywają się spotkania z lubianą przez dzieci bajkową postacią – Żółwem Franklinem. W czasie zajęć zimowych i letnich dzieci wykonują prace plastyczne, np.: zielniki, makiety, origami. Prowadzone są też warsztaty z filcowania i decoupage’u. Wśród tych atrakcji nigdy nie brakuje zabawy z książką i głośnego czytania.

Przystąpienie do konkursu grantowego „Aktywna Biblioteka” umożliwiło księżnicy realizację dwóch dużych projektów. Pier-

szy – „Mama, tata i maluch w bibliotece” – skierowany był do najmłodszych mieszkańców i ich rodziców. Uczestnicy spotykały się ze specjalistami, m.in. z psychologiem dziecięcym, terapeutką integracji sensorycznej, lekarzem pediatrą, dietetyczką. Wysłuchali również porad Doroty Zawadzkiej, znanej z programu telewizyjnego *Superniania*. Celem drugiego przedsięwzięcia – „Aktywny Senior w Bibliotece” – było zachęcenie mieszkańców w wieku 60+ do aktywnego spędzania wolnego czasu, m.in. poprzez naukę *nordic walking*, spotkania z kosmetyczką, specjalistami od bezpieczeństwa osobistego i pierwszej pomocy.

Wychodząc naprzeciw oczekiwaniom seniorów, zorganizowano – we współpracy z Latarnikami Polski Cyfrowej – kurs komputerowy „Srebrni Surferzy”. Aktualnie realizowanym przedsięwzięciem jest „Akademia Jesieni” – seria zajęć dla mieszkańców gminy po pięćdziesiątym roku życia. Gościem pierwszego spotkania był znany aktor, piosenkarz i kabareciarz Krzysztof Respondek. Kolejne zajęcia prowadzili specjaliści z zakresu ogrodnictwa i diety. Do końca roku zaplanowano jeszcze konsultacje z prawnikiem, informatykiem,

psychologiem i florystą.

Biblioteka otwiera szeroko drzwi przed lokalnymi artystami oraz pasjonatami zamieszkującymi gminę i jej okolice, umożliwiając im wystawienie prac i przybliżenie innym swoich zainteresowań. Dotychczas można było zobaczyć wystawę malowanych i haftowanych obrazów oraz kolekcję starych zegarów. W tym roku odbyła się po raz trzeci Gminna Wystawa Koron Złotych, która nawiązuje do tradycji rolniczych gminy Zbroslawice. Czytelnicy mieli też okazję spotkać się z finalistkami I i II edycji kulinarnego show *MasterChef* – Kingą Paruzel oraz Marią Ożgą i poznać tajniki programu.

Naszym priorytetem jest zerwanie ze stereotypem biblioteki, chcemy pokazać, że jest to miejsce nie tylko wypożyczania książek, ale również aktywnego i twórczego spędzania wolnego czasu, rozwijania zainteresowań oraz nawiązywania nowych znajomości. Najważniejsze jest, aby mieszkańcy naszej gminy wiedzieli, że biblioteka istnieje przede wszystkim dla nich.

ANITA NALEPA



Promocja czytania wśród najmłodszych – spotkanie z bajkową postacią



Akademia Jesieni – wizyta aktora i kabareciarza Krzysztofa Respodka



Dąb ma nowy dom kultury!

Zachwyca swym wyglądem nowoczesna architektura wpisana w zabytkowe otoczenie ulicy Krzyżowej w dzielnicy Katowic – Dębie. Jest filią MDK „Koszutka”. Uroczyste otwarcie odbyło się 21 października br. Budynek powstał niedaleko parku, w którym dawniej znajdował się zrujnowany gmach kopalnianego domu kultury. Decyzję o budowie nowego podjęto w 2005 roku (miasto przejęło wówczas budowlę od Katowickiego Holdingu Węglowego). Architekci z Pracowni Architektury i Urbanistyki Rafała Mazura zaproponowali, aby powstała bryła rozbita była kilkoma patiami, a także kilkoma wejściami. Jedno z nich prowadzi z poziomu terenu chodnika na ukośny, zielony dach, gdzie znajduje się zielony taras i ławki. Budowla jest dwukondygnacyjna. Na parterze umieszczono siedzibę Miejskiego Domu Kultury, na pierwszym piętrze znajduje się Biblioteka Publiczna. W nowym MDK jest także sala baletowa i widowiskowa, którą bez problemu można będzie zamienić w otwarty amfiteatr, bowiem jedna z jej ścian działa jak ściana garażowa.

Wszyscy zainteresowani mogli odwiedzić nowy obiekt podczas Dnia Otwartego. Na dzieci czekały gry i zabawy, spektakl teatralny, warsztaty cyrkowo-kuglarskie, szrudlarze, warsztaty plastyczne i wiele innych atrakcji. (wk)



Zdjęcia: Zbigniew Sawicz



Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu: wieczór autorski z okazji 25-lecia pisma „Znad Wilni”. (od lewej) prowadzący spotkanie Janusz Wójcik oraz poeci z Wilna – Józef Szostakowski, Henryk Mażul, Romuald Mieczkowski (red. naczelny) i Wojciech Piotrowicz



Zamek Piastów Śląskich w Brzegu: koncert finałowy XXV Najazdu Poetów na Zamek, recital piosenki poetyckiej z udziałem Agaty Klimczak i Romana Kołakowskiego



Publiczność podczas koncertu finałowego XXV Najazdu Poetów wypełniła niemal do ostatniego miejsca zamkową salę Pinottiego



Laureatki Zamkowego Turnieju Poetyckiego: (druga od lewej) Agnieszka Tomaszewska (ZSZ nr 1 w Brzegu), która zajęła pierwsze miejsce w kategorii szkół ponadgimnazjalnych



XXV NAJAZD POETÓW NA ZAMEK PIASTÓW ŚLĄSKICH W BRZEGU

Tegoroczny Najazd Poetów na Zamek Piastów Śląskich w Brzegu zainaugurowano Zamkowym Turniejem Poetyckim dla młodzieży szkolnej z udziałem ponad 40 uczestników, który nawiązywał do tradycji książęcego dworu, kiedy konkursy poetyckie były ozdobą święta brzeskich żaków Gimnazjum Piastowskiego. Współorganizatorem turnieju od kilku lat jest Zespół Szkół Zawodowych nr 1 w Brzegu. Wśród gości XXV Najazdu byli poeci z Wilna: Romuald Mieczkowski, Józef Szostakowski, Henryk Mażul, Wojciech Piotrowicz, poeci czescy z Olomuńca: František Všeticka, Aleš Kauer, poetki ukraińskie z Iwano-Frankiwka: Natalia Tkaczyk, Maria Tkaciwska, Natalia Asaturian oraz liczne grono poetów z Opola, Wrocławia, Nysy, Gdyni i Krakowa. Podczas Najazdu w czytelni WBP w Opolu odbyło się spotkanie „Wilno miasto w chmurach” z okazji 25-lecia pisma literackiego „Znad Wilni”, którego redaktorem jest Romuald Mieczkowski. Poeci spotkali się również z młodzieżą brzeskiego II LO im. Z. Herberta w auli szkoły. Festiwal zakończyła „Noc Poetów”, prowadzona przez Janusza Wójcika – dyr. departamentu kultury, sportu i turystyki UMWO, animatora wszystkich edycji Najazdu Poetów. Komplet publiczności w największej sali Zamku oklaskiwał Romana Kołakowskiego i Agatę Klimczak podczas koncertu pieśni do wierszy poetów polskich oraz bardów światowej sławy (Okudźawy, Wysockiego, Cohena, Waitsa). Spotkanie zakończył maraton poetycki dedykowany pamięci Tadeusza Różewicza, wzbogacony piosenkami młodych wokalistów z Iwano-Frankiwka i Opola. Organizatorami XXV Najazdu Poetów był Urząd Marszałkowski Województwa Opolskiego, Wojewódzka Biblioteka Publiczna w Opolu, Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu, Zespół Szkół Zawodowych nr 1 w Brzegu. Patronat nad imprezą objął Marszałek Województwa Opolskiego. dks



Zamek Piastów Śląskich: laureaci Zamkowego Turnieju Poetyckiego dla młodzieży szkolnej z organizatorami imprezy i jurorami

Poeci na Śląskim Wawelu

Zapewne jedną z ostatnich strof w czasach świetności śląskiego Wawelu zapisał w 1675 roku poeta Kaspar von Lohenstein, oplakując przedwczesną śmierć ostatniego Piasta – Jerzego IV Wilhelma: *Phyńcie lzy czule, phyńcie na lica i papier/Piastów gałąź ostatnia, księżę szlachetny tu leży/Z nim w grób zapada cedru wysokie drzewo/Co przez dziewięć wieków cień dawało krajowi. W pierwszej połowie XIX w. zachwycali się Zamkiem Piastów Śląskich, ubolewając jednocześnie nad jego losem – Julian Ursyn Niemcewicz i Bogusz Zygmunt Stęczyński. Na kilka wieków w murach zniszczonej rezydencji zamilkło poetyckie słowo, dopiero w 1990 r. podczas I Najazdu Poetów – polscy i dolnośląscy poeci powrócili do renesansowych sal, gdzie niegdyś recytowano poezje Jana Kochanowskiego, zarówno w oryginale jak i w języku niemieckim, dzięki Scherfferowi, nadwornemu poecie, który przelożył fraszki mistrza z Czarnolasu. Niemal do północy w blasku świec czytano wiersze i nikt nie spodziewał się, że to spotkanie zamieni się w międzynarodowy festiwal poezji, który trwa już ćwierć wieku. W kolejnych jego odsłonach wzięło udział ponad tysiąc gości (poetów, tłumaczy, naukowców, dziennikarzy, aktorów, plastyków, muzyków, pieśniarzy) nie tylko z krajów europejskich (takich jak Niemcy, Czechy, Słowacja, Austria, Węgry, Grecja, Rumunia, Ukraina, Białoruś, Rosja, Litwa, Francja, Włochy, Anglia, Szwajcaria) ale także z Iraku, Tunezji i USA. Wśród uczestników byli twórcy różnych pokoleń, stowarzyszeń literackich, kręgów kulturowych i orientacji światopoglądowych. Stale grono stanowili przedstawiciele Polonii i Polaków zza oceanu, Litwy, Zaolzia i Ukrainy oraz Serbołużyczanie – poeci najmniejszego słowiańskiego narodu Europy. Oprócz maratonów poetyckich, spotkań i lekcji literackich w szkołach, odbywały się spektakle, wystawy, sesje popularnonaukowe i koncerty, przyznawano również nagrodę literacką im. M. Jodłowskiego. W kolejnych Najazdach Poetów brali udział: W. Siemion, Z. Zapasiewicz, J. Zelnik, D. Olbrychski, A. Awdiejew, H. Banaszak, A. Zarycki, R. Kolakowski. Impreza przyczyniła się do promocji Brzegu i regionu w mass mediach. Liczne publikacje z festiwalu ukazywały się w czasopiśmie, artyści zainspirowani pobytem w Brzegu tworzyli nowe dzieła: wiersze oraz ich przekłady, obrazy, utwory muzyczne. To co wydarzyło się podczas jego wszystkich odsłon wymagałoby opisanego w obszernej pracy naukowej. Najazd przechodził zmienne koleje losu, od edycji pełnych rozmachu z gwiazdami, po wyciszone spotkania poetyckie z bezdomnymi w schroniskach im. Brata Alberta i sierocińcach. Dzielił się słowem przy stole misterium chleba i na stronach almanachów, z przekonaniem, że poezja może zbliżyć do materialny wymiar naszej egzystencji.*

JANUSZ WÓJCIK

OPOLE NOTATNIK KULTURALNY

IV Opolski Festiwal Fotografii

Ponad dwa tygodnie trwał „Opolski Festiwal Fotografii OFF” zorganizowany przez Fundację Warszawską Fotograficznych 2.8. Hasło tegorocznej edycji – „Bez granic” zainspirowało wielu twórców do realizacji oryginalnych prac. Artystyczne wyzwanie podjęli m.in. Eustachy Kossakowski, Marek Arcimowicz, Wojciech Grzędziński, Adam Pańczuk, Maksymilian Rigamonti, Tomasz Tomaszewski, Grzegorz Welnicki, Slav Zatoka, Piotr Zbierski oraz Robert Danieluk, a także studenci Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego oraz członkowie Opolskiego Towarzystwa Fotograficznego. W bogatym programie OFF zaprezentowano interesujące wystawy: „6 metrów przed Paryżem” Eustachego Kossakowskiego w Wojewódzkiej Bibliotece Publicznej oraz Marka Arcimowicza, fotografa, który w ciągu 20 lat pracy odbył szereg dalekich podróży po świecie. W Muzeum Śląska Opolskiego gościły wystawy: „Sugar Town” Tomasza Tomaszewskiego, „Eli, Eli” Grzegorza Welnickiego, „Afganistan jest w nas” Maksymiliana Rigamontiego oraz „Światła północy” Roberta Danieluka. Podczas festiwalu rozstrzygnięto również konkurs fotograficzny im. Tadeusza Kwaśniewskiego, organizowany przez „Nową Trybunę Opolską”. Zwyciężyło zdjęcie „Cud narodzin” autorstwa Moniki Piechowskiej z Łowicza. Natomiast w Miejskiej Bibliotece Publicznej odbyło się spotkanie ze Slavem Zatoką – fotografikiem i filmowcem o międzynarodowej sławie, który od kilkunastu lat tworzy w USA. Uzupełnieniem części artystycznej OFF były warsztaty: „Adobe Lightroom bez tajemnic” oraz „Światło w fotografii studyjnej i plenerowej”.

XXII Śląski Festiwal im. Ludwiga van Beethovena

Tegoroczny Śląski Festiwal im. Ludwiga van Beethovena rozpoczął się koncertem Michała Kryworuczko, który wykonał fortepianową transkrypcję Liszta – *V Symfonii c-moll op. 67* Ludwiga van Beethovena. Koncerty z udziałem znaczących artystów z kraju i z zagranicy (Rosji, Czech i Węgier) cieszyły się sporym zainteresowaniem publiczności. Festiwal nawiązuje w swojej genezie do historycznych wydarzeń związanych z pobytem Ludwiga van Beethove-

Jednym zdaniem

■ Podczas dwunastej edycji Festiwalu Filmowego Opolskie Lamy, poza projekcjami filmów, wręczono statuetkę Honorowej Lamy 2014 Kazimierzowi Barabaszowi oraz przyznano nagrody w ramach Konkursu Głównego dla najlepszych etiud filmowych i filmów amatorskich.

■ O życiu i osiągnięciach profesora Damiana Tomczyka – badacza losów najmłodszych jeńców wojennych i byłego dyrektora Muzeum, opowiedziano podczas spotkania z cyklu „Twarze Opola” w Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych.

■ Politechnika Opolska wraz z Towarzystwem Społeczno-Kulturalnym Polonia – Kresy zorganizowała konferencję naukową „Osiągnięcia gospodarze na dawnych Kresach Rzeczypospolitej” z referatami wystąpili m. in.: prof. dr hab. S. Niciejka, A. Wilgusiewicz, K. Ziolo, którzy przedstawili sylwetki wybitnych postaci Opolszczyzny wywodzących się z dawnych kresów II RP.

■ Zdjęcia Wojciecha Gędzińskiego można było oglądać podczas wystawy fotografii „Afganistan” w Centralnym Muzeum Jeńców Wojennych w Opolu, która pokazywała codzienną służbę żołnierzy, którzy wchodzi w skład polskiego kontyngentu wojskowego w Afganistanie.

na w rezydencji Oppersdorffów w Głogówku w 1806 r. Organizacja festiwalu w zabytkowych wnętrzach obiektów Głogówka i Prudnika przyczynia się do popularyzacji muzyki klasycznej oraz promocji zabytków i dziedzictwa kulturowego regionu: willi Fraenkłów w Prudniku, Muzeum Regionalnego w głogóweckim zamku a także ratusza i barokowych kościołów śląskiego miasteczka. Odbyło się 11 koncertów w wykonaniu blisko 40 muzyków, docenianych na salonach muzycznych oraz międzynarodowych konkursach. Rozbrzmiewała muzyka m.in. F. Liszta, I. J. Paderewskiego. Rosyjska pianistka E. Iwanowa wykonała utwory Karola Szymanowskiego oraz Sergiusza Rachmaninowa. Natomiast Łukasz Mikołajczyk po raz pierwszy na festiwalu zagrał *II Koncert fortepianowy f-moll op. 21* Fryderyka Chopina. Wydarzeniem artystycznym festiwalu był koncert organowy wirtuoza tego instrumentu – prof. Juliana Gembałskiego. W miejscowych zabytkach koncertowały również zespoły: Campagnuolo Barock Ancamble, Krios Quartet oraz kwintet smyczkowy Altra Voltra.

Opolanie pożegnali Różę Bednorz

W wieku 94 lat odeszła pani Róża Bednorz – nestorka polskich dziennikarzy i muzealników, postać szlachetna o znaczących zasługach dla Polski i Śląska. Pochodziła z rodziny o głębokich korzeniach patriotycznych, związanej z tradycją powstań śląskich. W czasie okupacji, kiedy była łączniczką Armii Krajowej (pseudonim Iza) w konspiracji poznała przysiężonego męża – literata Zbyszko Bednorza (pseudonim Józek). W latach stalinowskiego terroru podjęła heroiczną i skuteczną walkę o jego uwolnienie z ciężkiego więzienia. Z Opolem związała się od 1954 r., pozostając nieco w cieniu Zbyszko Bednorza i poświęcając się rodzinie, publikowała cenne artykuły popularyzujące kulturę i dzieje Śląska Opolskiego m.in. na łamach prasy polonijnej za oceanem. Dzięki temu zdołała nawiązać dobrą współpracę z Polonią w Kanadzie, co zaowocowało lokalizacją i sfinansowaniem w Opolu budowy nowoczesnego Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących im. Kazimierza Gzowskiego, popularnej „kanadyjki”. Pani Róża Bednorz była również długoletnim pracownikiem Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Opolu – Łambinowicach, autorem wielu cennych wystaw oraz publikacji poświęconych tematyce jenieckiej. W opolskim oddziale stowarzyszenia „Wspólnota Polska” prowadziła aktywną działalność m.in. na rzecz Polaków z Zaolzia. Za swoje dokonania została uhonorowana Nagrodą im. Karola Miarki a także laurem honorowego członka Stowarzyszenia Absolwentów i Nauczycieli Zespołu Szkół Technicznych i Ogólnokształcących im. Kazimierza Gzowskiego w Opolu. Róża Bednorz spoczęła na opolskiej nekropolii na Półwsi.

■ W Collegium Civitas Uniwersytetu Opolskiego odbyła się konferencja naukowa „Wielokulturowość na Śląsku Opolskim i w Kazachstanie”, w trakcie której przedstawiono referaty dotyczące mniejszości narodowych, stosunków Polski z Kazachstanem oraz osiedlenia repatriantów z Kazachstanu na Opolszczyźnie.

■ Z okazji 60 rocznicy internowania Stefana Wyszyńskiego w klasztorze ojców Franciszkanów w Prudniku, Muzeum Ziemi Prudnickiej wraz z Prudnickim Ośrodkiem Kultury zorganizowały Ogólnopolską Konferencję Naukową „Prymas Stefan Wyszyński – więzień Prudnika”, która zainaugurowała obchody Prudnickiego Roku Prymasowego.

■ Józef Chyży, absolwent Instytutu Sztuki Uniwersytetu Opolskiego, artysta współpracujący z Galerią Sztuki Współczesnej, uroczystie otworzył nową wystawę „Pogłos horyzontu” w Galerii ZPAP w Opolu.

■ Podczas Zamkowego Wieczoru Artystycznego w Muzeum Piastów Śląskich w Brzegu koncercie z cyklu „Wieczory Lisztońskie” wystąpił wybitny pianista Eugen Indjic, zaprezentowano również wystawę zbiorową artystów z Grupy OŚcienia.

Pamiętać – nie tylko w rocznicę

Każdego roku odchodzą z tego świata wybitni artyści. Ani się oglądniemy, jak brakuje wokół nas tych, bez których jeszcze chwilę temu nie wyobrażaliśmy sobie Śląska... Pozostają wspomnienia i powracanie do ich twórczości w kolejne rocznice śmierci. Dedykowane są tym niezwykłym postaciom festiwale, ich nazwiska nadawane są przybytkom kultury i ulicom, ustawia popiersia w Galerii Artystycznej. A za życia? A za życia nie zawsze doceniani, albo raczej nie dość doceniani. Najczęściej doceniamy ich dzieła dopiero, gdy ich już nie ma, a odchodzą czasem zniechęca, choć spodziewanie.

Jerzy Duda-Grac – choć osiadł w Katowicach i tu jest jego miejsce wiecznego spoczynku, nie ma swojego trwałego śladu – poza nazwą ulicy, która znalazła się w tzw. katowickiej Strefie Kultury, nieopodal nowego Muzeum Śląskiego i siedziby NOSPR. W 10. rocznicę śmierci artysty jedynie Opera Śląska w Bytomiu przygotowała skromną – na miarę swoich możliwości – wystawę jego kilkunastu prac z cyklu chopinowskiego, dodając do niej folder z tekstem Tadeusza Kijonki i reprodukcjami obrazów. Lecz nadal nie ma Duda-Grac swojego trwałego miejsca w Katowicach. Zapewne w owej Strefie Kultury nie powinno zabraknąć miejsca dla tej wybitnej postaci.

A Piotr Smitke? Artysta niespokojny i niepokorny – również od roku nie ma go wśród nas. Z szerokiego świata powrócił do Katowic i pozostał... przy Francuskiej. Może niewystarczająco poznaliśmy się na tej twórczości? Jego pamięci przygotowano Metawera Art. Festiwal. Był to przegląd i ogląd możliwości artystycznych Piotra Smitke – od rysunków po teoretyczne analizy podczas konferencji w Wyższej Szkole Technicznej z którą był związany, od koncertu jego utworów w wykonaniu przyjaciół po prezentację autorskich spektakli w Teatrze Śląskim i Radiu Katowice. I mamy w pamięci niezwykle spektakl „Muzeum Historyczne Mme Eurozy”, który był – jak na dzieło operowe przystało – konglomeratem wszystkich zdolności artystycznych i talentów Piotra Smitke. Szokował, ale zachwycał, a wszystko to widać... swoim niezwykle wielotalentem: muzycznym, literackim, aktorskim, malarzkim, graficznym i wszelkim innym. Ekscentryczny, ale przecież znakomicie funkcjonujący w codzienności artystycznej Śląska. Niezapomniany. Czy na pewno? Bo kiedy zakończą się festiwale, wystąpienia i wszystko to, co złożyło się na wielodniowy, znakomity skądinąd program – co pozostanie? Kolejna rocznica? I jemu z pewnością warto oddać stałe miejsce – bądź co bądź – Strefie Kultury, którą na swój sposób współtworzył. Był przecież iskrzącym elementem w stworzonej przez siebie metawerystycznej przestrzeni Sztuki.

Kiedy zmarł przed rokiem, w „Śląsku” pisał o swoim Przyjacielu Roman Maciuskiewicz: „Ta wiara w świat idei, w nadrzędną rolę sztuki w życiu, niezgoda na banał, przekora i upór pozostały w Piotrze do końca”. Potrzeba i nam trochę przekory i uporu, by znalazł swoje miejsce – trzeba się o nie upominać. A lista nazwisk „do zapamiętania” jest coraz dłuższa.

WIESŁAWA KONOPELSKA

KATOWICE NOTATNIK KULTURALNY

Pod patronatem „Śląska”

Akademia Polskiego Filmu w Tychach

Krakowska Akademia im. Andrzeja Frycza Modrzewskiego Wydział Zamiejscowy w Tychach zaprasza zainteresowanych: studentów, nauczycieli, uczniów szkół licealnych oraz wolnych słuchaczy na Akademię Polskiego Filmu – bezpłatny dwuletni kurs historii polskiego kina. Kurs przeznaczony jest dla wszystkich zainteresowanych historią kina i kultury, a w szczególności dla studentów, nauczycieli prowadzących w swoich szkołach lekcje FilMOTEKI Szkolnej oraz dla uczniów, którzy planują studiować na wydziałach humanistycznych. Na kursie uczniowie będą mieli okazję zobaczyć arcydzieła polskiej kinematografii, wysłuchać akademickich wykładów o polskim kinie oraz podyskutować nie tylko ze specjalistami filmoznawcami i kulturoznawcami, a także z twórcami kina.

Spotkania Akademii Polskiego Filmu są otwarte dla wszystkich osób zainteresowanych historią polskiego filmu i chcących poszerzyć swoją wiedzę na ten temat, także niebędących studentami Wydziału Zamiejscowego ani słuchaczami Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Akademia Polskiego Filmu powstała z inicjatywy Polskiego Instytutu Sztuki Filmowej. APF organizowana jest już od paru lat w kinie Kultura w Warszawie. Następnie zajęcia APF zostały zorganizowane w Łodzi w kinie Polonia, później w Kielcach, a od jesieni tego roku będą odbywały się również w Tychach w „Pasazu Andromeda”.

Spotkania Akademii Polskiego Filmu są otwarte dla wszystkich osób zainteresowanych historią polskiego filmu i chcących poszerzyć swoją wiedzę na ten temat, także niebędących studentami Wydziału Zamiejscowego ani słuchaczami Uniwersytetu Trzeciego Wieku.

Miejsce odbywania się Akademii Polskiego Filmu w Tychach, sala kinowa w Pasazu Kultury „Andromeda”, plac Baczyńskiego 2, Tychy.

W programie Akademii Polskiego Filmu w Tychach są następujące spotkania: **25. listopada 2014 (wtorek) godz. 15.30** – Przegląd na Mariensztacie, 1953 r., 93 min, Celuloza, 1954, 120 min; **2. grudnia 2014 (wtorek) godz. 15.30** – Godziny nadziei, 1955 r., 87 min, Człowiek na torze, 1956 r., 80 min; **9. grudnia 2014 (wtorek) godz. 15.30** – Zimowy zmierzch, 1956 r., 87 min, Zagubione uczucia, 1957, 75 min; **16. grudnia 2014 (wtorek) godz. 15.30** – Kanał, 1956 r., 91 min, Eroica, 1957 r., 78 min; **7. stycznia 2015 (środa) godz. 15.30** – Popiół i diament, 1958 r., 97 min, Krzyż walecznych, 1958 r., 84 min; **13. stycznia 2015 (wtorek) godz. 15.30** – Ostatni dzień lata, 1958 r., 66 min, Baza ludzi umarłych, 1958 r., 104 min; **20. stycznia 2015 (wtorek) godz. 15.30** – Pożegnania, 1958 r., 97 min, Pociąg, 1959 r., 93 min; **27. stycznia 2015 (wtorek) godz. 15.30** – Do widzenia, do jutra, 1959 r., 80 min, Niewinni czarodzieje, 1960 r., 83

min. Więcej informacji na stronie www.akademiapolskiegofilmu.pl

Wojciech Kilar uhonorowany we Lwowie

Z inicjatywy Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w dniu 12 października 2014 r. we Lwowie miała miejsce uroczystość odsłonięcia tablicy poświęconej Wojciechowi Kilarowi. Wydarzenie to było częścią organizowanego przez Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej we Lwowie 3. Przeglądu Najnowszych Filmów Polskich „Pod Wysokim Zamkiem”. Tablica została umieszczona na budynku, w którym urodził się kompozytor. Wśród obecnych na ceremonii byli między innymi: Konsul generalny RP we Lwowie Jarosław Drozd, marszałek województwa śląskiego Mirosław Sekuła oraz wiceprezydent Miasta Katowice Michał Luty.

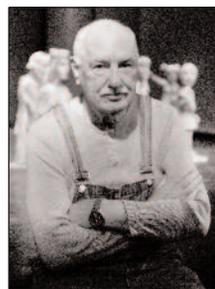


Odszedł Karel Brožek

21 października w swoim domu w Kladnie zmarł w wieku 79 lat Karel Brožek, wybitny reżyser, aktor teatralny i filmowy, współtwórca legendarnego czeskiego teatru SEMAFOR, związany też ze słynną Laterną Magiką, z którą zwiędził niemal cały świat. Od prawie 30 lat podziwiać można w Pradze zrealizowanego przez Niego w marionetkach *Don Giovanni* Mozarta. Pracował do ostatnich dni, na 10 dni przed śmiercią odbyła się przygotowana przez Niego premiera w Teatrze im. Klicpera w Hradcu Králové. Brožek od wielu lat związany był ze Śląskim Teatrem Lalki i Aktora „Ateneum”, w którym w latach 2007-2012 pełnił funkcję zastępcy dyrektora do spraw artystycznych. W Katowicach zrealizował uhonorowany został „Złotą Maską”. Jego zasługą było wprowadzenie na lalkową scenę spektakli dla widzów dorosłych – *Jamy* Kafki oraz *Joanny d'Arc* skomponowanej przez Artystę z kompilacji tekstów poświęconych Dziewicy Orleańskiej przez różnych dramaturgów.

Odszedł wielki Artysta a zarazem wspaniały, ciepły Człowiek, który pozostanie w pamięci Jego katowickich przyjaciół.

Ziętara w galerii ArtNova2



Tadeusz Ziętara jest absolwentem Państwowego Liceum Sztuk Plastycznych w Krakowie i Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie – Wydział Grafiki w Katowicach. Dyplom z medalem otrzymał w 1982 roku. Studiował grafikę i malarstwo. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Plastyków i Stowarzysze-

Jednym zdaniem

■ „Za wolność, prawdę i chleb” – pod takim tytułem Muzeum Archidiecezjalne w Katowicach przygotowało wystawę w 30. rocznicę śmierci bl. ks. Jerzego Popiełuszki patrona Solidarności.

■ Muzeum Historii Katowic zapraszało do odwiedzenia wystawy poświęconej postaci znakomitego aktora – Zbigniewa Cybulskiego, znanego przede wszystkim z takich filmów jak „Pokolenie”, „Popiół i diament” czy „Rękopis znaleziony w Saragossie”, tragicznie zmarłego w 1967 roku.

■ Instytut Mikołowski zapraszał na wystawę Grupy Fotograficznej „Karbon” zatytułowanej „Planeta Silesia. Górni nie z tej ziemi”, na której swoje prace pokazali Kaja Świętochowska, Damian Cyfka, Tomasz Rybok i Maciej Mutwil.

■ Koncert inauguracyjny tegoroczny XXIV Międzynarodowy Festiwal Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych z udziałem Kingi Bo-

rowskiej (mezzosopran), Łukasza Hajduczenia (baryton), Grzegorza Biegasa (fortepian), Bartosza Kolsuta (akordeon, bando neon) oraz Humi Accordion Band pod dyktando Artura Miedzińskiego odbył się Sali koncertowej Akademii Muzycznej w Katowicach.

■ Śląska Orkiestra Kameralna pod dyktando Roberta Kabaly oraz soliści: Simone Rubino (Włochy) – perkusja, Florian Mitrea (Rumunia) – fortepian i Andrei Ionitã (Rumunia) – wiolonczela, wystąpiła w Sali koncertowej Akademii Muzycznej w ramach Międzynarodowego Festiwalu Młodych Laureatów Konkursów Muzycznych organizowanego przez Instytucję Promocji i Upowszechniania Muzyki „Silesia”.

■ 21 października w Studio Koncertowym Radia Katowice po raz pierwszy zbrzmiał Kwartet fletowy Piotra Mossa pt. „Angst Und Vertrauen”, którego wykonawcami byli Łukasz

Pożar w sosnowieckiej katedrze

Noc z 28 na 29 października tragicznie zapisała się w historii Sosnowca, z niewiadomych przyczyn ogień ogarnął najcenniejszy i najpiękniejszy zabytek miasta – kościół pw. Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, który decyzją Ojca Świętego Jana Pawła II, po utworzeniu 25 marca 1992 r. diecezji sosnowieckiej, został podniesiony do godności katedry biskupa sosnowieckiego. Świątynia zaprojektowana przez architekta Karola Kozłowskiego wzniesiona została w latach 1893–1901.

Żywioł strawił prawie cały dach, zawaliła się także wieżyczka, od której, prawdopodobnie rozpoczął się pożar; z sufitu odpadły żyrandole... Niepowetowaną stratą jest jednak zniszczenie znacznej części bezcennych fresków, dzieła Włodzimierza Tetmajera, twórcy m.in. polichromii w katedrze na Wawelu i Henryka Uziembły, autora m. in. plastycznej oprawy oficjalnego aktu zaślubin Polski z morzem, które odbyły się 10 lutego 1920 w Pucku. Ściany i sklepienie świątyni wypełnia czternaście scen historyczno-religijnych, sześćdziesiąt dwa wizerunki świętych. O dziele krakowskich twórców informuje umieszczona na ścianie w kruchcie kościoła inskrypcja: „Kościół ten staraniem przewielebnego księdza Dominika Zmirocha Milberta proboszcza naonczas w Sosnowcu z dobrowolnych ofiar przez artystów z Krakowa: panów Włodzimierza Tetmajera i Henryka Uziembło w roku 1904–1906 malowaniem ozdobiony został ku Bożej chwale i Rzeczypospolitej nieszczęśliwej. Wspomożeniu dla dźwignięcia serc wszystkich Polaków ozdobiona świątynia niechaj będzie przybytkiem wiary w sprawiedliwość Bożą”. Sceny figuralne są dziełem W. Tetmajera, motywy ornamentalne – H. Uziembły. Ołtarz główny jest kopią ołtarza krakowskiego kościoła Bożego Ciała z r. 1634. To dzieło w stylu renesansowym ufundowali robotnicy i majstrowie Walcowni Miłowickiej a wykonał go rzeźbiarz z Olkusza Paweł Turbas, ponadto w ołtarzu głównym znajduje się namalowany przez Tetmajera obraz Wniebowzięcia Matki Boskiej.

O dramacie sosnowieckiej katedry zdecydowała czyjaś nieuwaga, niedopatrzenie, może nawet beztroška. Znalezione przyczyny a nawet winnego niczego jednak nie zmienia. Odnowienie monumentalnych fresków trwać będzie przez długie lata i pochłonie ogromne środki, których zdobycie zapewne nie będzie łatwe. Spontaniczne zapewnienia o wsparciu, pozostają jak na razie w sferze deklaracji i coraz bardziej niepokoją apele i prośby o przyspieszenie robot zabezpieczających przed nieuchronnie nadchodzącą zimą, która zniszczenia i straty może znacznie pomnożyć. W Sosnowcu niejedyn obiekt zniknął już bez śladu, choć ich unicestwianiu towarzyszyły okrzyki żalu i sprzeciwu, Mało kto dziś pamięta cerkiew św. Mikołaja Cudotwórcy, Dom Czterech Kupców, gmach kina Udziałowego (potem Zagłębie), restaurację i kawiarnię Savoy, komorę celną w Maczkach... Oby bezcenne malowidła matki wszystkich kościołów diecezji sosnowieckiej nie spotkał podobny los.

MARIA SZTUKA

ZAGŁĘBIE NOTATNIK KULTURALNY

Tropem Kolberga

Ocalić od zapomnienia – to najkrótsze przesłanie projektu „Tropem Kolberga – etnograficzne badania terenowe Zagłębia Dąbrowskiego”. Zadania tego podjęli się Regionalny Ośrodek Kultury w Katowicach i Muzeum Zagłębia w Będzinie. Badania rozpoczęły się w styczniu. W pierwszym ich etapie, przy współudziale współpracujących szkół, ośrodków kultury i stowarzyszeń, w dziesięciu miejscowościach Zagłębia Dąbrowskiego przeprowadzono krótkie badania etnograficzne pięciu wybranych zwyczajów dorocznych oraz rodzinnych. Drugi etap skoncentrował się na kwestionariuszowych badaniach terenowych, które dotyczyły dorocznych oraz rodzinnych zwyczajów i obrzędów w 24 wsiach i miejscowościach leżących na terenie zagłębiowskich gmin i parafii (Zelislawice, Koziegłowy, Niegowa, Niegowonice, Tucznawa, Targoszyce/Toporowice, Siemonia, Bobrowniki, Psary, Ogrodzieniec). Zwieńczeniem projektu było zgromadzenie dokumentacji i przygotowanie cyklu fotografii uroczystości kościelnych, zachowań ludycznych oraz obrzędów rodzinnych na terenie pogranicza małopolsko-śląskiego. Zdjęcia wykonano w 28 miejscowościach leżących na terenie Zagłębia Dąbrowskiego m.in. w Dąbiu, Niegowonicach, Mzurowie, Tucznawie, Psarach, Leśniakach, Koziegłówkach oraz Sączowie. W ramach ministerialnej Promesy – Kolberg 2014 zgromadzono również fotografie tradycyjnego budownictwa w 10 zagłębiowskich miejscowościach i dzielnicach, m.in. w Czeladzi, Górze Siewierskiej, Kolonii Cieśle, Pińczycach, Postaszowicach, Sławkowie, Strzemieszczach, Trzebiniowie, Wierzbicy oraz Winowie.

28 października w Pałacu Mieroszewskich w Będzinie odbyło się spotkanie podsumowujące projekt. W Muzeum w Będzinie można oglądać wystawę fotografii dokumentujących realizację przedsięwzięcia a przed realizatorami pozostaje najważniejsze zadanie – rozpropagowanie zdobytej wiedzy.

110. urodziny chóru „Lutnia”

Jest młodszy od miasta zaledwie o 2 lata, choć z datą powstania można dyskutować, ponieważ tradycje śpiewacze w bujnie rozwijających się Sosnowicach sięgają głęboko w wiek XIX. Formalnie chór

powołał do życia ks. Roch Milbert, budowniczy i pierwszy proboszcz parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny w Sosnowcu a ówczesny organista Antoni Lewandowski był pierwszym dyrygentem chóru, którym kierował do 1930 r. Jak pisze Czesław Ryszka: *Już jako uczeń gimnazjum im. S. Staszica w Sosnowcu, śpiewał w kościele Wniebowzięcia Jan Kiepura, co najmniej kilkanaście razy występował w mariackiej świątyni. Szczególnie zapadło słuchaczom w pamięci jego wykonanie Ave Maria Franciszka Szuberta. W 1936 roku miało miejsce ostatnie spotkanie z Kiepurą po jego ślubie z Martą Eggerth. Obydwoje złożyli wizytę pożegnalną ks. proboszczowi Teofilowi Jankowskiemu. W kościele Wniebowzięcia występował również brat Kiepury, Władysław, zwany Ladis Kiepura, oraz jego żona, znana sopranistka Violetta (Włoszka).*

Największe sukcesy chór odnotował w latach 80. Swoimi głosami wspomagali go wówczas m.in. Czesław Gałka, Janusz Jaronicki, Wiesława Oramus. W życzliwej pamięci mieszkawców Sosnowca szczególnie zachowały się koncerty w okresie stanu wojennego, kiedy to śpiewacy towarzyszyli uroczystościom patriotycznym, w których uczestniczyli m.in. Maja Komorowska i Daniel Olbrychski.

Chór występował również podczas pierwszej i drugiej pielgrzymki Ojca Świętego do Polski, w Częstochowie, gdzie 18 czerwca 1983 roku „Lutnia” – jako jedyny chór obecny na ładowisku w Częstochowie – zaśpiewała Ojcu Świętemu *Gaude Mater Polonia*. Od 2009 r. chórem kieruje Ryszard Młyniczak. 23 października w auli Miejskiej Biblioteki Publicznej w Sosnowcu miały miejsce uroczyste obchody 110. rocznicy powstania chóru „Lutnia”.

Nasze spotkania z Janem Pawłem II

To tytuł wystawy, którą można oglądać do 23 grudnia w Muzeum Miejskim „Szturgarka” w Dąbrowie Górniczej. Na ekspozycję składają się fotografie, pamiętki, dzieła sztuki, prezentacje multimedialne i świadectwa ze spotkań z Ojcem Świętym. Znajdują się tam m.in. osobiste pamiętki wypożyczone z Centrum Jana Pawła II „Nie lękajcie się” w Krakowie, kolekcja medali wykonanych przez prof. Czesława Dźwigaję; kilkadziesiąt fotografii Papieża autorstwa reżysera Zdzisława Sowińskiego pod wspólnym tytułem „Spotkanie z Janem Pawłem II”; kilkadziesiąt zdjęć osobistego fotografa Papieża – Arturo Mari, wypożyczonych od kolekcjonera z Dąbrowy Górniczej Tomasza Grabiwody; wystawa fotografii „Pielgrzymki do tej Ziemi” z Niepołomic, prezentująca niepublikowane nigdzie wcześniej fotografie autorstwa Arturo Mari, opatrzone cytatami z wystąpień Jana Pawła II.

Jednym
zdaniem

■ 3 października w Muzeum „Saturn” w Czeladzi odbył się wernisaż malarstwa i rysunku Teresy Strojniak, absolwentki katowickiego Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

■ 7 października w Miejskiej Bibliotece Publicznej w Sosnowcu odbyło się spotkanie upamiętniające rotmistrza Pileckiego.

■ 18 października w Teatrze Zagłębia w Sosnowcu wystąpiła Katarzyna Skrzynicka, artystka zaprezentowała romantyczne brzmienia, pop z damską r'n'b oraz piosenki z własnego repertuaru.

■ 24 października w Galerii Extravaganza zaplanowano XVII Sosnowieckie Spotkania Artystyczne Plener Fotograficzny pt. „Morze, może”.

Po śladach Michała Anioła

6 października 2014 r. w Paryżu zmarł najbardziej znany na Zachodzie polski artysta rzeźbiarz Igor Mitoraj. Urodził się 26 marca 1944 w Oederan z matki Polki zesłanej na roboty do Niemiec i ojca Francuza – jeńca wojennego. Przeżył słynne bombardowanie Drezna przez aliantów w lutym 1945 r., traktowane jako pomoc dla Armii Czerwonej i uwiecznione m.in. przez Kurta Vonneguta w „Rzeźni nr 5”. Dzieciństwo spędził w Grojcu pod Oświęcimiem. Przyjął nazwisko ojczyma. Już wtedy nade wszystko cenił wolność. Nauczyciela go tego mama: – Przymycała nas, żeby nie poddawać się przeciwności. Walczyła u siebie na wsi z różnymi elementami politycznymi. Dlatego nie mieliśmy żadnych stypendiów czy innej pomocy. Byliśmy tylko my – klan Mitorajów (czterech braci i siostra) – zwierzył mi się w Pietrasancie w 1998 r. Twierdził też, że wcześniej zaczął marzyć o nauce w Liceum Technik Plastycznych w bielskim Zamku Sulkowskich.

Marzenie spełnił w latach 1958-1963. Do końca życia pamiętał swe nauczycielki – historyczkę sztuki Irenę Gocman i „Sizalową Wróżkę” Halinę Gocylę-Kocybową. Mieszkał w bielskim internacie. Często nie miał nawet, co jeść. Koledzy z klasy dzielili się z nim kromką chleba. Jednym z nich był późniejszy rektor katowickiej ASP Michał Kliś. Wraz ze starszym o rok kolegą z „Plastyka” Bogusławem Kiercem oraz Stanisławem Gołą i Mieczysławem Stanclikiem Igor Mitoraj należał do grupy poetyckiej „Skarabeusz”. Prowadziła ją w swym mieszkaniu przy ul. Wyspiańskiego słynna bielska nauczycielka, pani Lala – Elżbieta Smoleńtowa, mama Bohdana Smoleńta. Przyszły rzeźbiarz nie pisał jednak wierszy; próbował sil w prozie. Drukował nawet opowiadania w Kronice Beskidzkiej. 40 lat później miałem zaszczyt publikować na łamach kwartalnika Polonia Włoska – tych samych, na których on pisywał szkice o sztuce.

W czasie studiów w krakowskiej ASP nie był zainteresowany rzeźbą. Zresztą mało kto się tam tą trudną dyscypliną sztuki interesował, gdyż – jak wyznał – w akademii była tylko godzina rzeźby tygodniowo i wszyscy nudzili się okropnie. Po przerwanych studiach jeszcze nie był pewien, co chce w życiu robić. Myślał nadal o malarstwie. Dopiero pod koniec lat 60. w Meksyku zdecydował, że poświęci się rzeźbie. Wrócił na Stary Kontynent. Rzeźbił, ale na życie zarabiał, wnosząc fortepiany i meble na szóste piętra paryskich kamienic. Jego dzieła doczekały się rychło pochlebnych recenzji. Pracowni dorobił się w Paryżu, w miejscu, w którym wcześniej spłonęła twórcownia Pabla Picassa. Aby czerpać z tych samych źródeł marmuru co Michał Anioł, w 1983 r. osiadł w tokańskiej Pietrasancie.

W halach po manufakturze przy ul. Garibaldiego stworzył dom i pracownię. W ogromnej antresoli salonu zgromadził mnóstwo książek, świadectw jego erudycji. Pod nimi utworzył lapidarium z dzieł własnych i swych przyjaciół, m.in. Niki de Saint Phalle. Otaczał się tam nie tylko pięknymi rzeźbami, ale i pięknymi ludźmi płci obojga. Miał też w Toskanii inne miejsca twórczego odosobnienia, w których pracował koncepcyjnie, odcięty od telefonów i ludzi. Pod koniec życia nabył obok Via Aurelia w Provanisj XII-wieczną warownię zbudowaną na ruinach rzymskiego zamku. Być może kupił ją dlatego, że przypominała mu bielski Zamek Sulkowskich, w którym przez pięć lat pobierał nauki? Wszak na łamach Polonii Włoskiej pisał jeszcze kilka miesięcy przed śmiercią, że wszyscy jesteśmy związani z przeszłością: – Terza-niejszości i przeszłości nie można rozdzielić – tyle tylko że niektórzy z nas nie zdają sobie z tego sprawy. Mówił ponadto: – Dla mnie ideałem byłoby zrobienie tak doskonałego dzieła, aby w nim zniknąć i dokonać metamorfozy ciała w ideę. Czyż nie jest już teraz idei tej bliżej?

JAN PICHETA

BIELSKO-BIAŁA NOTATNIK KULTURALNY

Londyn po raz pięćdziesiąty

Podczas II Festiwalu Poezji Słowiańskiej, który odbył się od 16 do 19 października w Polskim Ośrodku Społeczno-Kulturalnym w Londynie, koncertował bielski kompozytor i pianista Janusz Kohut. Był to jego 50. koncert w tym mieście! W Londynie – wśród kilkudziesięciu poetów słowiańskich od Warny po Wilno i Dublin – bawili również rudzicki liryk i satyryk Juliusz Wątroba oraz bielski twórca Jan Picheta, który przygotował specjalnie na tę okazję tom wierszy w polskiej i angielskiej wersji językowej pt. „góra issy” w tłumaczeniu bielszczanki Julii Dziubek. Podczas prezentacji Juliuszowi Wątrobie i Janowi Pichecie towa-



Fot. Renata Cygan

50. koncert Janusza Kohuta w Londynie.

rzyszył Janusz Kohut ze swą improwizowaną muzyką. W festiwalu uczestniczyli również inni – znani już w Londynie czechowiczanie – Ryszard Grajek i Dominik Witosz oraz pomysłodawca festiwalu poeta Aleksy Wróbel. Jest on liderem grupy artystycznej KaMPe przy Związku Pisarzy Polskiej na Obczyźnie, która znakomicie zorganizowała imprezę – przy współpracy z redaktorem czasopisma „Poezja dzisiaj” Aleksandrem Nawrocinem. Muzycznymi akcentami były występy wokalne innych czechowiczów – Anny i Sebastiana Gabrysiów oraz Eweliny Stanclik z Czechowickiego Teatru Muzycznego Movimento. Kolejny akt Festiwalu Poezji Słowiańskiej odbędzie się od 21 do 23 listopada br. w Czechowicach-Dziedzicach – w gościnnych salach MDK i Pałacu Kotulińskich.

Jednym zdaniem

■ Nagrodę Śpiewaka Roku 2014 w XXI edycji jednej z prestiżowych niemieckich nagród muzycznych Echo Klassik otrzymał czechowicki tenor Piotr Bezczała (Śpiewaczką Roku została Anna Nettekko).

■ Płyta „Missa de Maria a Magdala” w wykonaniu Chóru Akademii Techniczno-Humanistycznej w Bielsku-Białej pod dyr. dra hab. Jana Borowskiego otrzymała Grand Prix Orphee d'Or – francuskiej Académie du Disque Lyrique.

■ Jerzy Fryckowski z Dębicy Kaszubskiej otrzymał Grand Prix Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego „Impulsy i niuanse” MDK w Czechowicach-Dziedzicach (wyróżnienie przyznano m.in. Marcie Jurkowskiej z Olkusza).

■ Andrzejowi Panufnikowi był m.in. poświęcony XIX Festiwal Kompozytorów Polskich im. Prof. H.M. Góreckiego, który odbył się od 9 do 11 października w Bielsku-Białej.

■ Od 4 października do 16 listopada potrwa VIII Wystawa Kuratorska Bielskiej Jesieni

40 lat z „Apostrofą”

23 października w Książnicy Beskidzkiej jubileusz czterdziestolecia obchodzili twórcy z nauczycielskiej grupy poetyckiej „Apostrofa”. Z tej okazji zaprezentowano wiele ciepłych wierszy autorów, którzy od czterech dekad mają siedzibę – pod skrzydłami nieocenionej opiekunki Barbary Nowickiej – w przytulnych wnętrzach Klubu Nauczyciela na bielskim Wzgórzu. Podczas uroczystego wieczoru odbyła się prezentacja tomu poezji pt. „Apostrofa wczoraj i dziś”, na który złożyły się wiersze byłych i obecnych twórców grupy. Na szczególną uwagę zasługują zapewne dojrzałe utwory Zbigniewa Huberta, Danuty Niemieczyk, Krystyny Krzyżanowskiej-Nastulczyk, Agnieszki Lubos czy Janiny Pieniążek, które roztańczają przed czytelnikiem rozległe pejzaże intelektualne.



Fot. Archiwum klubu

Twórcy „Apostrofy” w Klubie Nauczyciela w Bielsku-Białej.

Powrót Franciszka Dzidy

Od 14 października do 21 listopada potrwa wystawa dzieł Franciszka Dzidy w galerii ATH, której był pomysłodawcą i kierownikiem zmarły rok temu artysta. Ekspozowane są obrazy, rysunki i fotografie z różnych okresów twórczości. Szczególnie wznuszące są jego dzieła malowane tuż przed śmiercią. Podczas wernisażu zaprezentowano także filmy o Franciszku Dzidzie – m.in. z udziałem Krzysztofa Kiesłowskiego – oraz wiele dzieł filmowych twórcy AKF „Klaps” w Chybiu, wieloletniego pracownika Filii Politechniki Łódzkiej i ATH w Bielsku-Białej, laureata Złotego Medalu Międzynarodowej Unii Filmu Nieprofesjonalnego i Video UNICA. Byli rektorzy śląskich uczelni, np. prof. Marek Trombski czy prof. Michał Kliś podkreślali jego uwielbienie dla sztuki i umiejętność rozbudzania entuzjazmu. W jego filmach występowali za darmo tak znani artyści jak Anna Guzik, Piotr Machalica czy Jan Nowicki. Na życiowe niedostatki Franciszek Dzida miał receptę, którą przepisywał ludziom także Tadeusz Kantor. – Trzeba widzieć w sobie nadal małego chłopca, który prowadzi nas za rączką z wiarą, że świat jest piękny.

„Nie-widoki. O pejzażu współcześnie” Jolanty Ciesielskiej.

■ Rozpoczęła się realizacja projektu Galerii Bielskiej BWA pn. „oBraz miasta”, w którym o wielkoformatowe murale przestrzeni Bielska-Białej wzbogacają Artur Bosowski, Izabela Ołdak i Maciej Szymonowicz.

■ Kolegium Nauczycielskie w Bielsku-Białej zorganizowało w październiku festiwal czeskiej sztuki pn. „Czuli barbarzyńcy” 2014”.

■ 16 października w Książnicy Beskidzkiej podczas spotkania z cyklu „Bohaterowie Kalendarza Beskidzkiego” gościł Tomasz Jastrun.

■ 24 października w bielskiej Galerii ROK odbył się koncert Kapeli Braci Byrtków z Pawli Wielkiej połączonej z promocją najnowszej płyty Edwarda i Władysława Byrtków.

■ W październiku w Bielsku-Białej odbył się XXX Tydzień Kultury Chrześcijańskiej.

Dotyk kobiety po raz drugi

Na przełomie września i października Teatr im. Adama Mickiewicza w Częstochowie zaprosił na VIII Przegląd Przedstawień Istotnych „Przez dotyk”. Podobnie jak w ubiegłym roku tematem przewodnim była Kobieta. Program wypełniły propozycje teatrów stołecznych: Teatru Dramatycznego, Ateneum, Och-Teatru Warszawa, Teatru Polonia, oraz teatrów z Bielska-Białej, Sosnowca, Kielc. W programie znalazły się też dwa spektakle-koncerty – inauguracyjna „Piąt” z Teatru Lubuskiego w Zielonej Górze w reżyserii J. Szurmiejki i finałowy koncert piosenek Agnieszki Osieckiej w reżyserii Artura Barcisia. To inscenizacje nagradzane i dyskutowane, by wymienić choćby „Poskromienie złośnicy” Szekspira w reżyserii Katarzyny Deszcz czy „Tramwaj zwany pożądaniem” Tennessee Williamsa reżyserowany przez Bogusława Lindę.

Subiektywny przegląd teatralnych wydarzeń ubiegłego sezonu (poza „Zbrodnią” przygotowaną przez Teatr Polski z Bielska-Białej cztery lata temu na podstawie „Zbrodni z premedytacją” Witolda Gombrowicza) został dostosowany do możliwości finansowych teatru i terminarza gości. Dziesięć spektakli według sztuk klasycznych oraz współczesnych na dwóch scenach stworzyło opowieść o kobietach, ich relacjach ze światem oraz o sposobach realizacji obowiązków i reguł – jak wyglądać i jak się zachowywać. Oprócz więc zagadnień uniwersalnych pojawiły się tematy dyskutowane współcześnie, np. prawo do aborcji czy miłość homoseksualna. A ponieważ trudno wyobrazić sobie kobietę w izolacji, na scenie obserwowaliśmy przede wszystkim konfrontację dwóch płci, ich wrażliwości czy światopoglądów.

O znaczeniu norm i ról społecznych opowiadało przedstawienie „Koi, kobieta i kanarek” (reż. Remigiusz Brzyk, dramaturgia Tomasz Spiewak), rzecz o górnikach i ich sposobie postępowania świata, gdy grupa zdaje się dominować nad indywidualnością bohaterów, co trochę przypominało częstochowską „Moralność pani Dulskiej”. Przeciwnym biegunem były „Konstelacje” (Nick Payne, reż. Adam Sajmuk), ujawniające konsekwencje niepowtarzalności życia, a nawet jego przypadkowości. O tym, że najdrobniejsze zachowania, mimowolne gesty, przejęczenia, mogą mieć dalekosiędne znaczenia przekonują m.in. badacze zajmujący się teorią chaosu. Tym samym była to kolejna sztuka naukowa, odwołująca się do mechaniki kwantowej, teorii względności, teorii wielu światów, w programie pojawiły się przeciwieństwa nazwiska fizyków – noblistów Maxa Plancka, Alberta Einsteina czy zmarowanego geniusza Hugh Everetta III, ale także do wzorca dramatu naukowego, reprezentowanego w polskim międzywojniu choćby przez Brunona Winawera czy Antoniego Cwojdzińskiego. To niezwykła opowieść o nietrwałości relacji między postaciami, gdy ich ocena często zależy również od przyjętego punktu widzenia, jak w wyznaczaniu kształtu gwiazdnych konstelacji. Wystarczy więc drobne poruszenie obserwatora, by wprowadzić zmianę.

Różne typy kobiecości prezentowały bohaterki, aktorki, reżyserki (Ewelina Pietrowiak, Ewelina Marciniak, Katarzyna Deszcz czy Maria Seweryn), a nawet autorki (Ama Conroy, Gabriela Zapolska, a także Agnieszka Osiecka). W przeciwieństwie do męskich opowieści, historie kobiece zdają się odważniejsze wobec obowiązującego schematu – inny Szekspir; inna Zapolska, co być może wynikało także z potrzeby adaptacji klasyki do oczekiwań współczesnej publiczności.

Oczywiście, przegląd był również doskonałą okazją do refleksji nad scenografią, muzyką teatralną i innymi środkami tworzącymi przedstawienia. Imprezą towarzyszącą było spotkanie autorskie Agaty Pruchniewskiej, odtwórczyni Juliusiewiczowej w „Moralności pani Dulskiej”, autorki książki „I Bóg stworzył kobietę”. O kobiecie można nieskończenie, więc z zaciekawieniem należy oczekiwać przyszłorocznego tematu przeglądu.

JOANNA KOTKOWSKA

CZĘSTOCHOWA NOTATNIK KULTURALNY

Połączył ich Stradivarius

Ambicją organizatorów X Festiwalu Wioliniściycznego im. Bronisława Hubermana (4–14 X) było zaprezentowanie muzycznych możliwości skrzypiec. Do Filharmonii Częstochowskiej zaproszono więc wirtuozów, Joshuę Bella, który wystąpił u nas po raz drugi dzięki wsparciu Zygmunta Rolata i zagrał na czerwonym stradivariusie należącym kiedyś do częstochowskiego patrona festiwalu, ale także polskich mistrzów – Konstantego Andrzeja Kulkę, Adama Bałycha (Adam Bałych Imaginary Quartet). Wystąpili również zwycięzcy ubiegłorocznego Międzynarodowego Konkursu Muzyki Kameralnej, Magdalena Bojanowicz (wiolonczela) oraz Mischa Kozłowski (fortepian).

Głównym wydarzeniem był koncert Bella – brzeg sceny ustrojono strelcami i czerwonymi liśćmi dębu; przemówienia wygłosili Ireneusz Kozera, Krzysztof Matyjaszczyk oraz Waldemar Dąbrowski, dyrektor Teatru Wielkiego, Opery Narodowej. Mistrz z orkiestrą symfoniczną prowadzoną przez Adama Klocka zagrał utwory Feliksa Mendelssohna-Bartholdy’ego, a na bis – Jana Sebastiana Bacha. Po koncercie otrzymał bukiet czerwonych róż w kształcie skrzypiec, a następnie cierpliwie rozdawał autografy.

W programie festiwalu przygotowanym przez dyrektora filharmonii do spraw artystycznych, Adama Klocka, znalazły się różne utwory, style muzyczne, a nawet niezwykle instrumenty. Dzięki temu *Wariacji Goldbergerowskich* Jana Sebastiana Bacha można było posłuchać w klasycznym wykonaniu Trio Leopoldium (wykładowców Akademii Muzycznej im. Karola Lipińskiego we Wrocławiu), a następnie zespołu jazzowego Atom String Quartet. Był Bach, Mendelssohn-Bartholdy, Antonio Vivaldi, Karol Lipiński (Konstantemu Andrzejowi Kulce towarzyszyli Agnieszka Luksza z Filharmonii Częstochowskiej, Wojciech Koprowski i Nikolay Grabovskiy; koncert prowadził Jan Miłosz Zarzycki), a także repertuar współczesny (Adam Strug zaprezentował materiał z płyty *Adieu*, na scenie pojawił się m.in. z Mateuszem i Szczepanem Pospieszalskimi). Częstochowscy melomani poznali także możliwości wiolonczeli klawiszowej, zbudowanej wg projektu Leonarda da Vinci przez Sławomira Zubrzyckiego.

W czasie festiwalu zaprezentowano też film na podstawie książki Piotra Szalszy, wydanej przez Muzeum Częstochowskie w 2001, *Bronisław Huberman, czyli pasje i namiętności zapomnianego geniusza*, a w foyer przygotowano wystawę fotografii Zbigniewa Burdy, dokumentujących kolejne odsłony festiwalu.

Czytania wielorakie

W drugim tygodniu października już po raz czwarty odbył się Festiwal Dekonstrukcji Słowa

„Czytaj!” Tegoroczne spotkanie było niezwykle różnorodne i bogate w wydarzenia. Rozmawiano o tradycyjnych książkach (spotkania z pisarzami – Krzysztofem Vargą, Witem Szostakiem, Rafałem Kosikiem, Kaliną Błażejowską), komiksach, zaproponowano głośne czytanie z udziałem zawodowych aktorów, ale przede wszystkim spotkania poświęcono siłę słowa, pozwalającej literaturze przekroczyć Gutenbergowską formę. W tym roku po raz pierwszy Akademia im. Jana Długosza włączyła się w przygotowanie seminarium otwartego *Maszyny kruszenia słowa*, co wyznaczyło teoretyczny fundament. W dyskusji uczestniczyli m.in. Ryszard W. Kluszczyński, Andrzej Głowacki, Piotr Zawojski oraz Grazyna Pietruszewska-Kobiela.

Dekonstrukcje słowa rozgrywały się w rozmaitych stylach muzycznych (wystąpili: hip-hopowy skład z Częstochowy Wszystko Jasne, Bionolor uczył setną rocznicę urodzin Williama S. Burroughsa, autora *Čpuna i Nagiego lunchu*, wystąpił zespół Mięśnie, Ragazzi Calvi, a Krzysiek Niedźwiecki zaprezentował swoją muzyczną wersję *Krzyżaków*), i tworzywach – fotografii, sztuce filmowej, teatralnej oraz sztukach plastycznych (*Obraz w literaturze – Literatura w obrazie* Piotra Kanieckiego, wystawa inspirowana pracami Stanisława Ignacego Witkiewicza oraz Etgara Kerela, *Bibeloty* Marceliny Amelii Gawrońskiej). Przygotowano również warsztaty literackie, hipertekstowe czy książki dotykowej. Wiele propozycji kontynuowało działania z poprzednich lat, inne proponowały zupełnie nowe aktywności, zgodnie z przekonaniem, że o literaturze i słowie można przecież nieskończenie.

Honorowy profesor

7 października w czasie inauguracji roku akademickiego w Akademii im. Jana Długosza honorowym profesorem został Zygmunt Rolat, częstochowianin i jednocześnie jej Honorowy Obywatel, który w czasie wojny pracował przymusowo w zakładach Hasag Pelcery, a potem przez Francję wyjechał do USA. Od lat 60. chętnie wraca do Polski, a przede wszystkim do Częstochowy. Obecnie jest m.in. przewodniczącym amerykańskiego komitetu wspierania Muzeum Historii Żydów Polskich w Warszawie, poza tym przyczynił się także do wystawy *Żydzi Częstochowie. Współistnienie. Holocaust. Pamięć*. W uroczystości wzięły udział dzieci Zygmunta Rolata, jego syn Geoffrey i córka Samantha. Laudację wygłosił prof. Jerzy Mizgalski, przyjaciel wyróżnionego.

Z tej okazji w Muzeum Dobrej Sztuki pracownicy Instytutu Plastyki AJD przygotowali wystawę *Odcienie Pamięci*, na którą złożyły się prace o wojnie, żydowskim losie oraz człowieku-żółtaczku, m.in. cykl Grzegorzora Banaszkiewicza *Ściana placu* (1987–1990), *Walizy oświęcimskie* czy *Święto Trąbek* Zdzisława Wiatra, grafiki, fotografie, *Sztandar Spalonej Synagogi* Włodzimierza Kuleja czy *Ikar* Andrzeja Desperaka.

Nie była to jedyna forma uświetnienia tego wydarzenia. Biblioteka Główna AJD zaprosiła na wystawę „*I dałem im miejsce i imię...*”, w Sali Reprezentacyjnej Ratusza odbyła się promocja książki *Tożsamość i stereotypy – Żydzi i Polacy* redagowanej przez Jerzego Mizgalskiego oraz Małgorzatę Soję, a studenci Instytutu Muzyki wystawili spektakl.

Jednym zdaniem

■ Zagraли: klub Rura – Pokahontaz; OPK Gaude Mater – Agata Szlasyk, The Jan Galach Band, Paweł Łowicki; Klub Muzyczny Klimaty – Janusz „Yanina” Iwański, Elżbieta Adamiak; Filharmonia Częstochowska – Justyna Steczkowska; TFP – Alcoholic; MDK – Zbigniew Wodecki; Kamil Bednarek.

■ W OPK Gaude Mater retrospektywna wystawa z 10 plenerów Artystycznych ISD Huty Częstochowa.

■ W Free Art Fest from Poland, czyli spotkania ze sztukami plastycznymi, fotografią, muzyką, literaturą, połączone z warsztatami animacji kulturalnej.

■ W TFP spektakl *1913*; scenariusz i reżyseria Jarosław Filipiński; scenografia i kostiumy Joanna Chwastek; obsada: Wojciech Kowalski oraz Paweł Ziegler; śpiewała Iwona Choluż;

■ Inauguracja 70. sezonu artystycznego Filharmonii Częstochowskiej; utwory W.A. Mozar-

ta oraz L. van Beethovena na fortepianie zagrał Andrzej Jasiński.

■ VII Międzynarodowy Festiwal Chórny Pieśni Maryjnej Częstochowa i Koziegłowy pod patronatem abp. Wacława Depo; polskie, czeskie i białoruskie chóry walczyły o Złotą Pochodnię; skład jury: dr Beata Młynarczyk (przewodnicząca), prof. Kazimierz Szymonik, dr hab. Jolanta Szybalska-Matczak (AM Wrocław), dr Anna Waluga (AM Katowice), Anna Luszczyk-Matyja (sekretarz, chórmistrzyni Pochodni).

■ W IX Częstochowskich Dniach Muzyki Organowej wystąpili Pierre Pincemaille, Trio Wojciecha Karolaka oraz Józef Serafin, organista z Krakowa.

■ Aktorka Teatru im. Adama Mickiewicza, Ewa Agapowicz, świętowała 35-lecie pracy artystycznej 26 września w *Mayday* (Ray Coney, reż. W. Pokora).

Dla kogo nagroda „Złoty jestem”?

Dyrektor Gimnazjum Polskiego Andrzeja Bizoń, chór „Collegium Iuvenum” z dyrygentem Leszkiem Kaliną, plastyk Bronisław Liberda, Chór Żeński „Melodia”, ZPiT „Olza”, literatka Renata Putzlacher, woltyżerka Weronika Schönwald, fotograf Marian Siedlaczek, pianista Michał Šupák czy redaktor Otylia Toboła i operator kamery Jiří Brzóska... Kto z nich zostanie laureatem tytułu „Złoty Jestem 2014” w tegorocznej edycji konkursu Kongresu Polaków w RC „Tacy Jesteśmy”? Werdykt zostanie ogłoszony w sobotę 29 listopada w Teatrze Cieszyńskim.

– Będzie to podwójny werdykt, ponieważ zostaną przyznane dwie równorzędne nagrody: dwa bony o wartości 15 tys. koron. Podobnie jak w poprzedniej edycji, o zwycięzcy jednej z nagród za decyduje kapituła konkursowa, o zwycięzcy drugiej: publiczność – mówi Aneta Roszka z Kancelarii Kongresu Polaków w Czeskim Cieszynie. Jak dodaje, nagroda publiczności zostanie przyznana na podstawie wyników głosowania, które rozpoczęło się w połowie października i potrwa do niedzieli 23 listopada. Głosować można będzie na dwa sposoby – za pomocą SMS-ów oraz na oryginalnych kuponach, które przez najbliższe cztery tygodnie będą publikowane w jedynej w Republice Czeskiej polskiej gazecie, „Głosie Ludu”.

Dziesiątkę nominowanych spośród przeszło dwudziestu propozycji wybrała specjalna kapituła, w tym roku złożona nie tylko z członków Kongresu Polaków, ale również z przedstawicieli różnych środowisk. – Po raz kolejny okazało się, że rok na Zaolziu był bardzo bogaty i różnorodny. Wyróżniły się zarówno zespoły, jak i poszczególne osoby. Niektórzy przedstawiciele naszej grupy narodowej są tak aktywni, że pojawiają się wśród nominowanych dosyć często. To jednak wcale nie świadczy o monotonii naszego życia społecznego i kulturalnego, ale przeciwnie – o wielkim zaangażowaniu i ciągłości pewnych działań – powiedział prezes KP, Józef Szymeczek, który czuwał nad pracami kapituły.

Zaolziacy będą się mogli osobiście spotkać z nominowanymi podczas koncertu galowego, w sobotę 29 listopada, w Teatrze Cieszyńskim w Czeskim Cieszynie. Razem z nimi przedstawi się pochodząca z Zaolzia piosenkarka Renata Drössler, która przyjedzie do Czeskiego Cieszyna z premierowym programem.

Projekt „Tacy Jesteśmy 2014” realizowany jest dzięki wsparciu finansowemu Ministerstwa Kultury RC, Województwa Morawsko-Śląskiego, Konsulatu Generalnego RP w Ostrawie oraz Miasta Czeski Cieszyn.

JACEK SIKORA

ZAOLZIE NOTATNIK KULTURALNY

Gimnazjum świętowało

Absolwenci, dawni i obecni nauczyciele, rodzice i młodzież świętowali w sobotę 11 października wielki jubileusz swojej szkoły. Polskie Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszynie obchodziło podwójny jubileusz. Dokładnie zaś 105. rocznicę założenia Gimnazjum Realnego im. J. Słowackiego w Orłowej-Obrokach oraz 65. rocznicę usamodzielnienia się polskiej placówki gimnazjalnej w Czeskim Cieszynie.

Uroczystości rocznicowe rozpoczęto w Orłowej, w miejscu, gdzie stało kiedyś pierwsze na terenie dzisiejszego Zaolzia polskie gimnazjum. Od pięciu lat jego obecność tu przypomina pomnik. Helena Pszeniczka, z domu Siudówna, odwiedziła to miejsce po 45 latach. Maturę zdała w 1957 roku. – Przyjechałam, żeby spotkać się z koleżankami i kolegami, których niestety ubywa. Przyprowadził mnie sentyment. To były bardzo ładne lata. Wszystko wtedy było ładne... – wyznaje.

Spotkania absolwentów, kolegów i koleżanek ze szkolnej ławki, odbywały się przez całe popołudnie w budynku czesko-cieszyńskiego gimnazjum, później zabawa przeniosła się do ośrodka kulturalno-towarzystkowego „Strzelnica”.

Punktem kulminacyjnym obchodów była gala jubileuszowa w Teatrze Cieszyńskim, gdzie z ust zaproszonych gości, a wśród nich ambasador RP w Pradze, prof. Grażyna Bernatowicz, zabrzmiały słowa uznania pod adresem szkoły. Niekończące się brawa należały zaś do występującej na scenie młodzieży gimnazjalnej – zarówno tej śpiewającej w chórze „Collegium Iuvenum”, jak i tej recytującej poezję Słowackiego oraz grającej w spektaklu „Historia jed-

nej kariery” opartym na dramacie patrona szkoły.

Szukając „wysepek normalności”...

Uczniowie bystrzyckiej polskiej podstawówki im. Stanisława Hadyny od wakacji realizują nowy projekt ekologiczny. W ramach „Do źródeł” odkrywają tajemnice dorzecza potoku Suchego.

Przed rokiem młodzi bystrzyczanie ratowali lasy na wznoszącej się nad ich wioską Praszywą. Przy tej okazji mogli się też sporo dowiedzieć na temat powiązań między przyrodą a działalnością człowieka, o tym, jakie ma ona negatywne i pozytywne konsekwencje. – Projekt bardzo się uczniom podobał. Postanowiliśmy więc przygotować taki ekologiczny tryptyk projektowy. Pierwsza jego część jest za nami. Bohaterem obecnej, drugiej, części jest przyroda dorzecza potoku Suchego. Nazwaliśmy ten projekt „Do źródeł”. Chodzi nie tylko o rzeczywiste źródła tego strumienia, znajdujące się na Łączce, ale też o źródła nas samych, o poznanie historii regionu, jego przyrody, życia naszych przodków. Dla wielu uczniów udział w tym projekcie to pierwsza możliwość głębszego poznania swojej małej ojczyzny – wyjaśnia Roman Wróbel, dyrektor polskiej podstawówki w Bystrzycy.

Zakończyło się Babie Lato Filmowe

Nagrodę Złoty Debiut 22. Babiego Lata Filmowego jury przyznało filmowi „Hany” reżysera Michała Samira. Jednocześnie nagrodę publiczności otrzymał film „Děti” w reżyserii Jaroslava Vojtki. Obaj reżyserzy musieli niestety wyjechać przed ogłoszeniem wyników, przekazali jednak swe pozdrowienia festiwalowej publiczności za pośrednictwem łącza telefonicznego.

Tegoroczne Babie Lato Filmowe trwało od 8 do 12 października. W tym czasie miłośnicy dobrego kina obejrzyli 23 polskie, czeskie i słowackie filmy. Bazą sztabu festiwalowego i miejscem, gdzie odbywała się większość projekcji, było kino gminne w Bystrzycy. Festiwalowe filmy wyświetlano jednak również w innych miejscowościach Zaolzia.

Jednym zdaniem

■ Jury XIV Festiwalu Dramaturgii Współczesnej „Rzeczywistość przedstawiona”, który odbył się w Teatrze Nowym w Zabrzu 18–26 października, przyznało wyróżnienie Joannie Litwin-Widerze, aktorce Sceny Polskiej Teatru Cieszyńskiego za rolę *Claudi Roe* w spektaklu „Enron”.

■ Sławne „Requiem” Wolfganga Amadeusza Mozarta zabrzmiało w niedzielę, 2 listopada, w kościele pw. św. Marii Magdaleny w Stonawie. Utwór zaprezentowała Orkiestra Kameralna Janáčka z Ostrawy.

■ 23 października sala konferencyjna Rady Kościelnej Śląskiego Kościoła Ewangelickiego Augsburgskiego Wyznania w Czeskim Cieszynie na Niwach gościła uczestników Konkursu Recytatorów Poezji Chrześcijańskiej.

■ Zespoły teatralne działające przy miejscowych kolach Polskiego Związku Kulturalno-Oświatowego mogą wziąć udział w przeglądzie teatralnym Melpomeny 2014, który 12 i 13 grudnia odbędzie się w Wędrzynie. Imprezę w tamtejszej Czytelni przygotowuje Zespół Teatralny im. Jerzego Cieniały, działający przy wędryńskim Kole PZKO.

■ Z dwiema złotymi i jedną srebrną nagrodą powrócił z Korei Południowej chór Permonik. Karwiński zespół, który zjeżdżał już spory kawa-

lek świata, tym razem wybrał się do południowo-koreańskiego miasta Busan.

■ Święto ziemiaka w Suchoj Górnicy co roku odbywa się w zapelnionej sali Domu Robotniczego. Nie inaczej było 18 października. „Wykopki” zorganizowane przez Miejscowe Koło PZKO połączone były z promocją nowej płyty „Chórku” i kapeli „Smykka”.

■ Duży sukces odniósł Polski Zespół Śpiewaczy „Hutnik” z Trzyńca. Na X Międzynarodowym Festiwalu Chórów Gaude Cantem w Bielsku-Białej, w kategorii Chórów Seniora, śpiewacy z Zaolzia wywalczyli pierwsze miejsce.

■ Wiceprezes Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, Dariusz Piotr Bonisławski, obejrzał w sobotę 11 października na Zaolziu dwie duże inwestycje, które rosną dzięki wsparciu państwa polskiego – Dom PZKO w Karwinie-Frysztacie oraz polskie przedszkole w Gnojniku.

■ Polskie Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Czeskim Cieszynie gościło uczniów i nauczycieli 16 szkół noszących imię poety. W czwartek 9 października uroczystym „Gaude Mater Polonia” w wykonaniu szkolnego chóru „Collegium Iuvenum” został zainaugurowany XXX jubileuszowy Złot Europejskiej Rodziny Szkół im. Juliusza Słowackiego.

Anekdoty

HENRYK BZDOK

Zagłębiłem się ostatnio w listy Andrzeja Czczota, z pierwszego okresu pobytu w Stanach Zjednoczonych, opisując wrażenia stamtąd, pisze: „Uczucia są rzeczywiście mieszane: zachwyty i obrzydzenie – z tym, że zachwyty i fascynacja zdecydowanie przeważają.”

To zrozumiałe, że takie były wrażenia, wszak wyjechał z Polski w jej najciemniejszych latach.

Zdawało się, że wtedy nawet słońce świeciło nam w dni pogodne jakby słabiej a pejzaż w odległej perspektywie spozregany był przez lepka wilgotną cuchnącą mgłę stanu wojennego.



Odwiedzający mnie wtedy zagraniczni Przyjaciele po przejściu przez miasto powiedzieli:

„Mówiłeś, że nie ma u Was herbaty, a ja widziałam jej wiele w sklepie tu zaraz za winklem...”

Tak zgadza się, leżała płasko wyłożona na półkach, nie herbatka a Herbatniki, to mała różnica w pisowni, duża w smaku, która była dla nich nieuchwytna. I dalej pisze: „Reklamy to zaraz w zarazie, ale dzięki niej TV jest bezpłatna...”

Super głupie „Mydła” czyli „Soap” komedie kretynów dla kretynów z nagranyymi wybuchami śmiechu, żeby matoly wiedziały kiedy się śmiać!!!

Soap – Opera – właśnie, to jest ów przysmak amerykańskich durniów.”

Znalazł się i u nas geniusz co podłożył śmiech pod serial o Matolach dla matolów.

Ja, który się praktycznie rzemiosła reklamy uczyłem... (wszak nasza katowicka uczelnia zwała się ongiś Wydziałem Grafiki Propagandowej), dziś jej wszechobecnemu przerostowi jestem przeciwny.

Dla potrzeby Reklamodawców stworzono pojęcie – Ogładalności.

Termin ten kształtuje cały program telewizyjny – dotarcie wszelkimi środkami do najszerzego grona oglądaczy stało się jedynym celem. Popołudniowe transmisje maratonów kabaretowych w amfiteatrach dorównujących Colosseum, gromadzą

tlumy rechoczących z tekstów, których komizmu trudno się doszukać w kiepskich tekstach, zenująco kiepskich wykonawców.

Spójrzmy na ulice, zdobne w anglojęzyczne nazwy sklepów i usług.

Markety czynne są 24 h, nic to, że pod tym skrótem liternictwem w tym kraju zupełnie inne słowo się rozumie. Doszło do tego że będąc w Anglii poczułem się bardzo swojsko, kiedy na fasadach nieco innej architektury znalazłem naszo brzmiące szyldy znane z kraju: For sale, Market, Shop, Night Club, Car wash, Cinema, itp.

Zamerykanizowało się już prawie wszystko a zaczęła się niewinnie pod „Pewex”em” słowem „Czincz many...”

Naonczas także usłyszałem pod Hotelem Katowice zawołanie Panienek, do wychodzących

obcokrajowców z Klubu nocnego: „Hello panie Johnny, my som tukej...” to chyba były jedyne próby łączenia naszej godki z światem...

Ło!... Nie mówi Och, mówi się Wow... ■

Dzieje się od lat tak, że w dni pogodne i świąteczne, wybieram się na podmiejski spacer zdrowotno-fotograficzny z byłym scenografem Telewizji Katowickiej i artystą malarzem Józefem Krupą.

Chodzimy, pstrykamy, przysiadamy, gadamy... Coraz częściej siadamy i coraz dłużej gadamy, z prostej przyczyny nie bycia już rumakami.

Czego to już w tych tematach nie było:

Ano nie było o sporcie, bo to nie nasz temat.

Nie było o polityce, bo i po co, jest jaka niestety jest.

Bywa o telewizji, w której w latach siedemdziesiątych Józek wprowadzał mnie w tajniki grafiki ekranowej.

Omawiamy także kolegów, których już tylko wspominać można, o wydarzeniach minionych często zabawnych...

Tak to wspominał mi Józek, o reakcji swego mailowego przyjaciela na wieść o tym, że ruch to zdrowie i że dlatego więcej się poruszać musi, miast siedzieć przed komputerem czy też telewizorem, że w tym celu musi poszukać sobie jakąś zgrabną laskę...

Pisał: „Widziałem, taką, która byłaby dla mnie pasowna, giętka, a nie gruba. Taką zauważyłem, gdy byłem w supermarkecie. Nabrałbym znów pewności i poruszał bym się żwawiej. Zapomniał bym o dolegliwościach.

Trochę trudno mi się zdecydować bo wybór jest dość duży”.

No i wnet otrzymał odpowiedź, była w gwarze, bo jak mówi – Często tak do siebie pisujemy...

Zabrzmiało to dosadnie: „Nie je żeś młody synek, kiebyś szpacyrował se z jakim laskom, za kierom żeś śypiami przewrocił we markecie. Dej se pozór, bo baba Cie kulokiyem zdzieli.

O szukaniu laski, ani mi nie gódej. U nos doma, blisko Czech się tak nie prawiyło, bo to brzydko było tak rzondić. Starry chop żeś je, to się opamiyntej i czas byś o dobro kryka się wystarał, żebyście zaś mogli dalej chodzić po tym parku za Siemianowicami i od czasu do czasu siednonić się tam po drodze na ławce”.

Odpowiedź Józka była krótka: Laska, to już nie dla mnie. Dobra kryka jest w moim wieku potrzebna. ■

ŚLASK

kolekcja jubileuszowa

Redakcja miesięcznika „Śląsk” wkraczając w 20. rok istnienia, pragnie z tej okazji sprezentować Czytelnikom publikowaną co miesiąc „Kolekcję jubileuszową”. Złożą się na nią grafiki i malarstwo wielu znakomitych artystów z regionu śląskiego. Każdej pracy towarzyszyć będzie nota o autorze. Mamy nadzieję, że nasz pomysł Państwu się spodoba.



Joanna Piech

Laureatka Grand Prix Międzynarodowego Triennale Grafiki Kraków 2009. Uprawia grafikę warsztatową – głównie linoryt i drzeworyt, malarstwo i ilustrację. W jej dorobku znajdują się m.in. monumentalne polichromie w kościele krakowskiego zakonu Zmartwychwstańców. Ma na swoim koncie liczne wystawy indywidualne (Katowice, Bielsko-Biała) i zbiorowe (Wiedeń, Sofia, Essen, Kijów, Kraków). Jest m.in. laureatką srebrnego medalu na 14. Międzynarodowym Biennale Grafiki – Tajwan 2010 oraz stypendystką Ministra Kultury i Sztuki (1998). W 2012 roku uzyskała pierwszą nagrodę w ramach CANSON – 8 Triennale Grafiki Polskiej w Katowicach.

Jest absolwentką katowickiego Wydziału Grafiki Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie (dyplom w 1978). Artystyczną aktywność łączy z praktyką pedagoga – w Instytucie Sztuki Uniwersytetu Śląskiego w Cieszynie prowadzi autorską pracownię druku wypukłego.





Joanna Piech, *Odmienne stary świadomości*, linoryt, 115x 150 cm, 2012



WYŻSZA SZKOŁA TECHNICZNA W KATOWICACH

Wyższa Szkoła Techniczna w Katowicach istnieje od 2003 roku i zalicza się do wiodących Uczelni w obszarze nauk technicznych oraz artystycznych. WST jest pierwszą, niepubliczną Uczelnią w regionie, kształcąca na studiach pierwszego i drugiego stopnia architektów, specjalistów budowlanych, mechatroniki i gospodarki przestrzennej oraz projektantów mody i wnętrz, a także reżyserów i operatorów filmowych. Kształcenie prowadzone jest na studiach jednolitych magisterskich oraz pierwszego i drugiego stopnia.

Wizytówką Uczelni jest specjalnie opracowany program nauczania i wysoko wykwalifikowana kadra naukowo-dydaktyczna, którą stanowią wybitni specjaliści wywodzący się ze śląskiego, krakowskiego, poznańskiego i łódzkiego środowiska akademickiego. Zbudowany na interdyscyplinarnej wiedzy, bogaty program studiów przygotowuje studentów do przyszłej pracy zarówno teoretycznie, jak i praktycznie.

Systematycznie rozszerzamy ofertę edukacyjną, co daje szansę zwiększenia konkurencyjności Uczelni na polskim i międzynarodowym rynku. Misją Uczelni jest tworzenie nowoczesnego systemu kształcenia licencjatów, inżynierów oraz magistrów odpowiadającego współczesnym europejskim standardom.

Wydział Architektury, Budownictwa i Sztuk Stosowanych

- Architektura Wnętrz
- Architektura i Urbanistyka
- Budownictwo
- Wzornictwo
- Gospodarka Przestrzenna
- Grafika
- Mechatronika

Wydział Mediów, Aktorstwa i Reżyserii

- Realizacja Obrazu Filmowego, Telewizyjnego i Fotografia
- Reżyseria

www.wst.pl

Studia podyplomowe

- Interoperacyjność, certyfikacja, najnowsze systemy sterowania ruchem kolejowym.
- Zarządzanie nieruchomościami i pośrednictwo w obrocie nieruchomościami
- Zarządzanie nowoczesnym systemem gospodarki odpadami
- Urbanistyka i planowanie przestrzenne
- Architektura wnętrz
- Public relations
- Konserwacja zabytków architektury i urbanistyki
- Fotografia
- Inwestycje i instalacje fotowoltaiczne - teoria i praktyka PV

